

Frances Shelley Wees



WRÓG

bez



TWARZY

Frances Shelley Wees

Wróg bez twarzy

Przełożyła Irena Szymańska



ISKRY WARSZAWA • 1971

Rozdział pierwszy

Dziewczyna, która zameldowała się w motelu w Sugar River jako pani Jamesowa Morgan z Windsoru, była bardzo inteligentna.

Zawsze była bystra. Wszystko rozumiała o wiele szybciej niż inni. Z czasem nauczyła się nie okazywać tego. Każdy jej błąd, wszystkie kłopoty, w jakie kiedykolwiek popadała, wynikały tylko z tego, że na moment zapominała mówić czy postępować jak otaczający ją ludzie. Raz czy dwa straciła panowanie nad sobą, zdenerwowała się, i to było niebezpieczne. Co prawda, trudno nie denerwować się, mając do czynienia z ciężko myślącymi tumanami. Ale teraz nauczyła się już, że nigdy nie wolno jej wpadać w pasję i że nigdy, nigdy nie może dopuścić, aby ktokolwiek domyślił się, jaka jest mądra.

Tylko dzięki własnej inteligencji mogła siedzieć teraz w motelu i czekać, kiedy wóz policyjny przyjedzie od strony Toronto, śmignie koło motelu i skręci do domu Fitzgeraldów. Policja musi nadjechać, i to wkrótce; właściwie nie trzeba było tu czekać. Wszystko zostało zrobione; uwzględniła najdrobniejsze szczegóły. Równie dobrze mogła znajdować się o tysiąc mil stąd. Ale nie chciała być o tysiąc mil, chciała siedzieć tutaj i patrzeć, delektując się każdą chwilą, w oczekiwaniu na to, co się stanie.

Dziś jest poniedziałek. Policja mogła tu być już w sobotę, ale łatwo było przewidzieć, że nie będą działać pochopnie, kiedy chodzi o tak znakomitego, uczciwego i szacownego obywatela. Jasne, że muszą zachować ostrożność. Pan Kimball Fitzgerald jest, znakomitym, uczciwym i szacownym obywatelem. Jest

wykładowcą na uniwersytecie w Toronto. Ma posiadłość ziemską, pieniądze i cieszy się bardzo, ale to bardzo dobrą reputacją. Co prawda, policja nie odważy się też za długo zwlekać. Naturalna ambicja, żeby popisać się własną przenikliwością, skłoni ich do akcji. Sądziła nawet, że przyjadą już w niedzielę, i dlatego wczoraj wynajęła tu pokój. Ale w niedzielę się nie pojawili.

Wiadomość o morderstwie podana została przez wszystkie rozgłośnie radiowe, a dziś rano nawet w dzienniku telewizyjnym. Nie, ani słowa o mordercy — jeszcze nie. Tylko informacja o znalezieniu w zamkniętym pokoju podrzędnego hoteliku — starego hotelu „Meridian” w północnym Toronto — zwłok mężczyzny z pięcioma ranami zadany mi nożem w plecy. Zbrodnia w afekcie — napisał jeden z reporterów; bo nie trzeba aż pięć razy ugodzić człowieka nożem, żeby go zabić. Wściekłość, nienawiść, namiętność. Świetnie. Alvin Hood, sprzedawca pianin, trzydzieści pięć lat, brunet w typie hiszpańskim — jego fotografie były w sobotnich gazetach — przystojny, żonaty, czworo dzieci, nie zaplątany w żadne afery. Człowiek zupełnie nie nadający się na ofiarę zbrodni popełnionej w afekcie przez zadżganie nożem w pokoju hotelowym. Alvin Hood był praktykującym chrześcijaninem, należał do dwóch stowarzyszeń, był działaczem harcerskim. Kto chciałby zabić Alvina Hooda? Nikt. Na tym właśnie polegał urok sytuacji. Nikt.

Na stole stał dzbanek z kawą. Wypiła wszystko i umyła starannie filiżankę. Nie miała zamiaru opuszczać swego punktu obserwacyjnego, żeby pojechać do miasta na śniadanie. Z motelu widać było most i dalej drogę wiodącą wzdłuż rzeki, a potem w górę do Willi Fitzgeralda. Ruch w kierunku północnym był niewielki, zwłaszcza w poniedziałek rano. Naładowane samochody jechały w odwrotną stronę, wioząc z powrotem do rozprężonego, dusznego miasta po dwóch tygodniach wakacji dzieci, psy, namioty i kajaki.

Zajrzała jeszcze do szuflad komody, żeby upewnić się, czy nic tam nie zostało; nikt tu co prawda nie będzie szukał, ale trzeba brać pod uwagę i bzdurne przypadki. Zdarza się, że ludzie

wścibiają nos w sprawy, które nic ich nie powinny obchodzić. I taką możliwość trzeba wykluczyć. Jej walizka zapakowana leżała na łóżku. Dziewczyna była gotowa do wyjścia; miała na sobie lekką, białą suknię, prostą i elegancką, która kosztowała sześćdziesiąt dolarów, doskonale pasującą do eleganckiego, białego, ogromnego samochodu, budzącego wszędzie sensację. Czterocalowe obcasy zielonych pantofli z koźlącej skóry nabijane były świecącymi kamieniami, które mogły uchodzić za prawdziwe brylanty. Torebka, rękawiczki i długi przezroczysty szal — wszystko było w tym samym odcieniu. Bujne złociste wijące się włosy upięła wysoko nad czołem. Włosy były naprawdę piękne; wszyscy najpierw patrzyli na nie, a potem dopiero dostrzegali wytworną suknię, zgrabną sylwetkę i, kiedy zdejmowała rękawiczki, wielki szmaragd na serdecznym palcu. Każdy musiał ją zapamiętać.

Na zegarku było pięć po dziewiątej.

Zaczynała się niecierpliwić; a jeśli policja wcale się nie zjawi? Co wtedy? Muszą przyjechać. Ale jak się zachować, jeśli... stała w otwartych drzwiach patrząc na most i rozmyślając intensywnie. Wtedy należałoby zrobić nowe posunięcie. Drastyczne. No cóż, jest do tego zdolna, jeśli będzie trzeba, potrafi coś wykombinować. Nie po raz pierwszy w życiu.

Po drugiej stronie mostu błysnęła biel. Błysk zbliżył się, przeleciał przez most. Wóz policyjny z Toronto. Żeby zdążyć, musieli wyjechać z miasta o siódmej. Nie powinna była spodziewać się ich wcześniej. Byli już niedaleko. Dwaj mężczyźni w - samochodzie — jeden w mundurze przy kierownicy, drugi po cywilnemu. Samochód przemknął koło lasku sosnowego przed motelem, skręcił i zaczął wspinać się na wzgórze.

Na szczycie pagórka szosa krzyżowała się z lokalną drogą. Czy aby na pewno się nie myli? Czy naprawdę to ten samochód? Otworzyła drzwi siatkowe i wybiegła na gruby dywan igieł sosnowych, ale opanowała się i zwolniła kroku. Pod drzewami stały leżaki. Usiadła na jednym z nich, ułożyła się wygodnie, rozluźniła mięśnie.

Samochodu nie było już widać. Jeśli zmierzał do domu

Fitzgeralda, skryłyby go teraz drzewa na poboczu pagórka — wzgórza Fitzgeralda gęsto porośniętego jasnozieloną koniczyną. Nazywano to miejsce Domem nad Łąką. Coś cudownego. W czerwcu całe zbocze było różowe od kwitnącej koniczyny.

Dom Fitzgeralda stał na osobności poniżej szczytu wzgórza. Dom z kamienia, solidny, bezpieczny i wygodny, wszystko w najlepszym gatunku, z trzema kominami. Drzwi i okiennice pomalowane na biało, farba była jeszcze świeża. U Fitzgeraldów wszystko było zawsze białe i świeżo malowane.

Koniczyna była intensywnie zielona, tak zielona jak szmaragd na jej palcu. Lipiec w tym roku był na pewno deszczowy. Nie zawsze padało w lipcu w okolicach Sugar Lake nad rzeką Sugar. Czasem od czerwca do września na próżno wyglądało się choćby jednej kropli; wtedy w ogrodach i na łąkach wszystko marniało od suszy i głodni ludzie, liczący na warzywa czy mleko od wynędzniałej krowy, po prostu dalej głodowali.

Wóz policyjny? Czekala wystarczająco długo.

Nareszcie. Przejechał już linię drzew, pnąc się na szczyt i posuwał się wzdłuż łąki. Ale w ogrodzie Fitzgeraldów rosły wysokie krzaki bzu. Czy samochód skręcił w bramę, czy może pojechał dalej? Co tam może być dalej?

Oszklony pawilon, w którym Lance Latourelle miał swoją pracownię, stał na samym szczycie pagórka za domem Fitzgeralda. Latourelle'a chyba nie było w domu; nie mieszkał tu, przyjeżdżał tylko od czasu do czasu, kiedy chciał przez parę dni w spokoju malować. Zresztą, co miała do roboty policja u Lance'a Latourelle'a? Na pewno łamał wszelkie istniejące prawa, kiedy chodziło o kobiety, ale gdyby za to policja miała go ścigać, był na to czas już dwadzieścia lat temu. Nie, nie chodzi tu o Lance'a Latourelle'a.

Ale... Nagle przeszył ją niepokój. Tego nie wzięła pod uwagę. Zwłoki kobiety utopionej w jeziorze. Czyżby o to chodziło? Kiedy myślała o tych zwłokach, doznawała tylko podniecającego uczucia radości, że pan Kimball Fitzgerald jest zewsząd otoczony śmiercią. Przed dwoma tygodniami koło tej drogi na brzegu jeziora znaleziono trupa. Znalazł go pan

Kimball Fitzgerald z Domu nad Łąką na terenie posiadłości pana Kimballa Fitzgeralda. Zabawne.

Ciało nie zostało zidentyfikowane. Jak napisał bez ogródek któryś z tych bezczelnych reporterów, nie można go było zidentyfikować. Nie było palców u nóg ani u rąk i na domiar złego krowa gasząca pragnienie wodą z jeziora nadepnęła na szczękę, tak że żaden dentysta, nawet gdyby jakimś cudem znalazł właściwego, nie mógłby stwierdzić, że ta kobieta była jego pacjentką. Żadnej biżuterii. Zwłoki leżały długi czas w wodzie. Dwa lub trzy miesiące — pisały gazety.

Prawdopodobnie nie pochodziła z okolicy Sugar Lake, zajął się więc tym Wydział Osób Zaginionych w Toronto, najbliższym dużym mieście.

Czyżby przyjechali tu w tamtej sprawie? Chodziło im o dziewczynę z jeziora, a nie o aresztowanie mordercy Alvina Hooda? Chyba po dwóch tygodniach nie mieli już co badać na wybrzeżu. A może?

Siedziała bez ruchu, pełna napięcia, wyczekująca.

Półtorej mili stąd, tam gdzie rzeka wpadała do jeziora, stały dwa żółte domki letnie z werandami wychodzącymi na plażę, tak że wprawny pływak mógł wspiąć się na barierkę i skoczyć wprost w głęboką wodę. Rzeka była płytka u brzegu, ale o parę metrów dalej dno obniżało się; w głównym korycie głębia sięgała sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu stóp i dno usiane było pniami drzew i połamanymi gałęziami. Niewiele ludzi ośmielało się pływać w rzece; miała ona niebezpieczne wiry.

Ciekawska wiewiórka wychyliła się zza drzewa i usiadła o krok od jej pantofla. Miała w życiu takie chwile, kiedy na serio myślała o zaprzyjaźnieniu się z wiewiórką — dziewczynie musi być bardzo ciężko, jeżeli roi jej się przyjaźń z wiewiórką.

Zwłoki kobiety w jeziorze... Leżała tam dwa lub trzy miesiące. Od maja. Musiała utonąć mniej więcej w maju i gazety doniosły w tydzień po znalezieniu ciała, że była od dwóch miesięcy w ciąży. Ta drobna wiadomość prasowa mogła dla kogoś być wstrząsem, katastrofą niemal.

Zaraz... Trzeba to przemyśleć. Pan Kimball Fitzgerald ożenił się w maju. Dwudziestego piątego maja. Podobno, jak głosiła

fama, z punktu postanowił ożenić się z dziewczyną, którą dopiero poznał, bo wybierał się do Londynu, miał przez całe lato pracować w British Museum i nie chciał rozstawać się ze swoją lubą. Tak więc pan Kimball Fitzgerald...

Ocknęła się z ręką przy ustach, jakby zabierała się do ogryzania paznokci. Szybko ją opuściła i zacisnęła dłonie. Miała piękne paznokcie, długie, gładkie i połyskliwe. Czasami, nieczęsto, kiedy myślała o czymś intensywnie, przylapywała się na ich ogryzaniu. Ale to nieważne. Można sobie nakleić sztuczne paznokcie i polakerować. Nie cierpiała ogryzionych paznokci; budziły w niej wstręt.

Coś mignęło na szczycie pagórka. Wracał samochód policyjny. Przejechał wzdłuż łąki porosłej koniczyną i zniknął za drzewami. Pojawił się znów na zboczu i zbliżał do motelu. Teraz było w nim trzech mężczyzn. Obok kierowcy w mundurze siedział pan Kimball Fitzgerald, równie przystojny jak zawsze, ale niezbyt szczęśliwy. Pan Fitzgerald miał rude włosy, ale bardzo ciemne, mahoniowe. Gęste, wijące się, na pewno irytowało go, że nie można ich przyglądać. Wydatny profil z tak zwanym szlachetnym czołem i prostym nosem, profil normandzkiego krzyżowca wyrzeźbiony w marmurze. Fitzgeraldowie pochodzili od normandzkich krzyżowców i wiedzieli o tym. Zresztą, pan Kimball Fitzgerald był z zawodu historykiem, a każdy, kto zna historię Irlandii, musi wiedzieć, kim są Fitzgeraldowie.

Więc pan Fitzgerald jest niezadowolony. Jego wrażliwe, pięknie zarysowane usta są mocno zacisnięte. Spojrzenie jego szarych oczu jest na pewno zimne, twarde, może pogardliwe. Patrzy wprost przed siebie. Nie miałyby znaczenia, gdyby obejrzał się i zobaczył ją. Mignęłaby mu tylko niewyraźna twarz w modnych ciemnych okularach.

Wóz przejechał przez most i zniknął z jej pola widzenia. Już po wszystkim. Zrobiła, co należy. Teraz wreszcie sprawa została ostatecznie załatwiona. Koniec opowieści.

Wstała, strzepnęła sosnowe igły z białej sukni i wróciła do pokoju. Sprawdziła, czy włosy są w porządku, czy szminka z warg się nie starła. Wzięła szal i rękawiczki. Walizczkę włożyła

do bagażnika lśniącobiałego cadillaca.

Łysy, spocony facet w recepcji motelu zagadnął ją:

— Opuszcza nas pani? Gorąco tam w mieście. O wiele bardziej niż tutaj. Fala upałów podobno.

— W Windsor będzie jeszcze goręcej. Ale muszę już jechać do domu... Prawie cały tydzień spędziłam tu na jeziorach. — Wyjęła portfel. — Szukałam jakiegoś domu do kupienia lub wynajęcia. Szkoda, że nic mi się nie trafiło.

— Piętnaście dolarów — mruknął mechanicznie, utkwivszy chciwe spojrzenie w grubym pliku zielonych banknotów. — Cieszylibyśmy się, gdyby się pani tu spodobało. W mieście jest agencja mieszkaniowa. Mógłbym do nich zadzwonić.

— Teraz nie mam już czasu. Ale może wrócę... Widziałam bardzo przyjemny dom z kamienia na wzgórzu w stronę jeziora. Chyba nie jest na sprzedaż?

Otworzył kasę i troskliwie ułożył w niej banknoty.

— O, nie. Przez ostatnie dziesięć lat mogła go pani zawsze wynająć na cały sezon, ale teraz już nie.

— Ktoś go kupił?

— Nie, tylko jego właściciel Kim Fitzgerald dotychczas go nie potrzebował. Matka umarła mu nagle dziesięć lat temu, on sam pojechał na studia i jego adwokat Ben Parsons wynajmował dom. Niedawno Kim się ożenił. Wykłada na uniwersytecie w Toronto, ale będzie tu mieszkał latem i spędzał weekendy zimą. Właśnie wprowadzili się tam z żoną, jeszcze się urządzają. Fitzgeraldowie mieszkają tu od trzech pokoleń... Pionierska rodzina. Nie, żadnych szans, żeby teraz dało się coś z tym zrobić.

— Trudno, straciłam okazję. A jego żona chce tu mieszkać? Pochodzi z tych okolic?

— Żona Kima? Nie, to nietutejsza, z miasta, zdaje się. Mnóstwo naszych dziewcząt ostrzyło sobie zęby na Kima, ale on nigdy nie zwracał na nie uwagi. Tutaj w każdym razie. Ale ta dziewczyna to prawdziwa piękność — tak, każdy musi to przyznać, prawdziwa piękność. Nie dziwię się, że stracił dla niej głowę. Nikt tu jeszcze dobrze jej nie zna, i być może, że taka kobieta...

— Co być może?

Wzruszył ramionami.

— Wie pani, jak to jest. Pani też jest ładną dziewczyną z miasta. Może nie chciałoby się pani siedzieć na wsi, gdzie jest cicho i nudno. Kim pisze książki, zawsze nos w robocie. Napisał już trzy lub cztery. Historyczne. Niczym innym się nie zajmuje, tylko książkami. Taka ładna babka wolałaby chyba pobawić się czasem, potańczyć. Mamy tu parę niezłych zespołów.

— Ładne dziewczyny lubią tańczyć. Więc, jak pan mówi, nic nie wiadomo. — Roześmiała się. — Chyba podjadę i rzucę okiem na ten dom. Nic nie wiadomo.

Wyprowadziła samochód na drogę. Więc młoda pani Fitzgerald jest prawdziwą pięknoscią. Oczywiście. Niektórzy ludzie muszą mieć wszystko, co najlepsze i najpiękniejsze. Nie zadowolą się byle czym.

Wóz lekko brał wzniesienie. Jedzie za szybko. Zdjęła nogę z gazu. Samochód sunął gładko wśród sosnowego lasu, po czerwonej bitej drodze, upstrzonej cieniami drzew i plamami słonecznych prześwitów. Drzewa przerzedziły się, podjeżdżała do bramy Fitzgeraldów.

Brama była otwarta. Wjechała na podjazd i stanęła przed ganeczkiem kuchennego wejścia. Wsiadła z samochodu. Nagle poczuła się radośnie podniecona. Stała na świętej ziemi Fitzgeraldów.

Stara kobieta, mała i pulchna, w niebieskiej sukience, wyszła na ganek. Kto to może być? Matka pana Kimballa Fitzgeralda nie żyje. Zresztą, ta kobieta jest o wiele za mało dystygowana, żeby należeć do rodziny. To na pewno żona farmera, pani Holland; pomaga w gospodarstwie młodej pani Fitzgerald, jak przez całe życie pomagała jej teściowej. Miała pytające, trochę niespokojne spojrzenie. Naturalnie. Policja przecież właśnie zabrała panicza do mamra. Czy aby wie o tym? Może tylko zdziwiła ją niespodziewana wizyta policjantów? Może rozegrali to bardzo, bardzo dyskretnie? Zupełnie możliwe.

— Czy zastałam pana Fitzgeralda?

— Nie, nie ma go. To znaczy... Nie ma go teraz w domu. Wyjechał przed chwilą.

— A kiedy wróci?

Nie, nic jej nie powiedziano i niczego się nie domyślała. Odpowiedziała spokojnie:

— Nie wiem dokładnie. Ale na pewno nie tak zaraz. Pojechał do Toronto. Czy mam poprosić panią Fitzgerald?

Właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi na prawo, te, przez które wchodziło się wprost do jadalni. Młoda pani Fitzgerald wyszła do ogrodu; niosła bardzo piękny kryształowy wazon i sekator. Nie spojrzała w stronę samochodu, nie usłyszała go chyba, nie wiedziała, że tu jest. Skierowała się przez murawę w stronę krzewów różanych ciągnących się wzdłuż stoku. Miała na głowie wielki, szerokoskrzydły kapelusz słomkowy, na pewno żeby chronić swą piękną cerę. Ubrana była w kitel z długimi rękawami, tak że trudno było ocenić jej twarz i figurę.

— Czy to jest pani Fitzgerald?

— Chce pani z nią 'mówić?

— Wątpię, czy potrafi udzielić mi odpowiedzi. Chyba, że... Nie wie pani przypadkiem, czy pan Fitzgerald zamierza sprzedać ten dom?

— Ten dom? — pani Holland była zdumiona. — Skąd to pani przyszło do głowy? To bzdura. Na pewno nigdy tego domu nie sprzeda.

— Tak pani sądzi? — Wsiadła z powrotem do samochodu. — Zawsze można zmienić zamiary — dodała z uśmiechem i zapuściła motor.

Młoda małżonka ścinała jasne herbaciane róże i układała je w wazonie. Uroczę zajęcie — w sam raz dla młodej małżonki. Nie wydawała się zdenerwowana ani speszona. Była spokojna i najpewniej bardzo szczęśliwa, jakby nic nie zwiastowało, że różane niebo miodowych miesięcy może się zachmurzyć.

Pani Morgan pojechała boczną drogą do miasteczka. Jadąc śmiała się, naprawdę głośno śmiała się sama do siebie. Dlaczego by nie? Odwaliła kawał roboty i świetnie to wszystko zaplanowała. Groziła jej okropna katastrofa, gdyby niemal natychmiast nie wykombinowała, jak odwrócić bieg zdarzeń. Musiała wysilić całą swoją inteligencję, rozpaczliwie szukać właściwego tropu i bez wahania, śmiało wykorzystać trafiającą

się szansę. Ale dokonała tego i ostatni fragment łamigłówki trafił na swoje miejsce.

Naprzeciwko piął się pod górę jakiś samochód. Stary wóz, źle prowadzony, szarpiący i zasapany. Brudnoszary, ozdobiony pretensjonalnymi jaskrawoczerwonymi błotnikami w politowania godnym wysiłku, żeby wydać się czymś lepszym, niż był w istocie. Zjechała nieco w bok, żeby go wyminąć; kierowca nie najlepiej panował nad maszyną. Mijając dostrzegła go kątem oka; wysoki mężczyzna, chudy, kościsty, z gładkimi czarnymi włosami, w okularach, pochylony nad kierownicą, skłopotany i nieporadny. Odwróciła za nim głowę, żeby mu się lepiej przyjrzeć, ale tylne okno jego wozu było grubo pokryte kurzem.

Na świecie jest wielu wysokich, chudych, ciemnowłosych mężczyzn w okularach. Ten, którego przypomniał jej człowiek w samochodzie, na pewno nie mógł się tutaj znaleźć. A może?

Czy mógł? Sugar Lake...?

Nie, nie wolno dopuszczać do tak absurdalnych wybryków wyobraźni. Takie szaleńcze pomysły sprawiają, że morderca wraca na miejsce zbrodni, przerażony, że o czymś zapomniał, że nie był dość ostrożny. Trzeba zachować spokój. Żadnych śmiesznych urojeń, żadnych przesadnych lęków. Ma być opanowana, pewna siebie, zrównoważona. I na pewno potrafi być opanowana, pewna siebie i zrównoważona. Dowiodła tego już wielokrotnie.

A jeśli znowu będzie musiała tego dowieść? To łatwe. Ale bardzo, bardzo mało prawdopodobne. Może spokojnie jechać do domu.

Rozdział drugi

Na stole w jadalni nie było miejsca, a sekator był ciężki i Melissa musiała szybko pozbyć się wazonu z różami. Ustawiła go ostrożnie na wolnym rogu kruchego mahoniowego biureczka, należącego kiedyś do matki Kima. Sterta papierów i notatników na drugim końcu biurka ześliznęła się z blatu i

spadła na podłogę.

Melissa odłożyła sekator, potarła obolały kciuk i uklękła, żeby pozbierać rozrzucone papiery. Pani Holland wyjęła je wczoraj z płaskiego kartonowego pudełka; oświadczyła, że sama je tam ułożyła dziesięć lat temu, opróżniwszy szuflady biureczka. Były to osobiste papiery matki Kima. Kilkanaście spiętych spinaczem przepisów kucharskich, plik listów, zaproszenie na ślub z datą sprzed dziesięciu lat. Blok papieru listowego z wytwornym nadrukiem w prawym górnym rogu „Dom nad Łaką” i odpowiednie koperty. A także cienka książeczka bez tytułu w oprawie z wzorzystego płótna. Padając otworzyła się i jedna kartka się zgmiotła. Melissa automatycznie wygładziła zagięcie i wpadły jej w oczy słowa wypisane u góry z lewej strony; staranne, okrągłe pismo dobrej uczennicy, wyraźne jak druk. „Jestem przerażona. Boję się śmiertelnie. Wiem, że niebezpieczeństwo jest realne.

Ale co mogę powiedzieć Kimowi? Ach, co mam powiedzieć Kimowi?”

Melissa nie wierzyła własnym oczom. Szybko zamknęła książeczkę. Pamiętnik pani Fitzgerald? Czy to były ostatnie słowa matki Kima? Ostatnie myśli przed śmiercią? Prędko odłożyła książeczkę na biurko i przykryła ją stertą papierów.

Niebezpieczeństwo? W tym pogodnym domu, cichym, i pełnym błęgiego spokoju? W tym sielankowym ustroniu? Wyjrzała przez frontowe okno na widoczną za łakami koniczyny senną rzekę, wyglądającą stąd jak wstążka z czarnego atlasu, przypięta do zielonej sukni pól. Po drugiej stronie na horyzoncie widać było łagodne wzniesienie, przecięte w pewnym miejscu białymi krzyżami i nagrobkami miejscowego cmentarza. Tam właśnie, w tym cichym zakątku, pochowana jest na pewno pani Fitzgerald. Inne wzgórze usiane było białymi punkcikami pasących się owiec. Nie, w tym idyllicznym pejzażu nie było miejsca na niebezpieczeństwo.

Kim nie rozmawiał z nią o śmierci matki. W ogóle nie mówił o matce. Nawet przez parę ostatnich dni, kiedy w odnowionym, odmalowanym i lśniącym czystością od piwnic po dach domu rozpakowywali jej skarby, nie zrobił żadnej uwagi na temat

rodzinych pamiątek.

Po liściach herbacianych i morelowych róż wazonie pełzały zielone żuczki. Melissa zaniósła wazon do kuchni i włożyła róże do zlewu, żeby splukać je zimną wodą. Weszła pani Holland zamykając za sobą drzwi od ganku. Na dziedzińcu stał przedtem jakiś samochód — często zajeżdżały tu wozy przez pomyłkę, szukając drogi do dalszych miejscowości nad jeziorami. Pani Holland zatrzymała się na progu, wytrzepała wiklinową słomiankę i położyła ją równo.

— Jakaś dziewczyna — zakomunikowała. — Dużo gada. Zachciało jej się kupić ten dom. Ciekawam, na co jej takie ciepłe gniazdko. Ma obcasy wysadzone brylantami. Tupetu też jej nie brak. Powiedziała, że Kim może zmienić zdanie i sprzedać. — Zakrzętnęła się koło zlewu, naląła wody i nasypała detergentu z żółtego pudełka. — Ta cała porcelana i szkło jakby zmętniały trochę leżąc tak długo zapakowane. Każdą jedną sztukę sama zawinęłam w gazetę, kiedy je pakowałam. Matka Kima była zawsze bardzo uważająca, dbała o swoje rzeczy i wiedziałam, że nie pozwoliłaby tego zrobić na łapu capu.

Wytarła ręce, poprawiła okrągły koczek siwych włosów na czubku głowy i spięła je mocno białym grzebykiem.

— Po tej rozkwitłej róży łązi robak — pokazała. Wyjęła kwiat z wazonu i bezlitośnie wyrzuciła go do papierowej torby na odpadki.

Melissa poczuła się nagle nieswojo.

— Dlaczego Kim miałby zmienić zdanie? Co ta pani powiedziała? Czy ten dom był kiedyś wystawiony na sprzedaż?

— Ale gdzie tam, nic podobnego! Nie wiem, skąd jej to przyszło do głowy. Zresztą, to nie jej interes. Może wiedziała, że był wynajmowany na sezon przez ostatnie lata. Kim nawet nie bardzo chciał, ale pan Parsons i Joe, i ja nie daliśmy za wygraną. Jak dom stoi kilka lat pusty, to niszczeje. A porządni lokatorzy zawsze dostrzegą, co się psuje, i można z miejsca naprawić, co trzeba. To bardzo piękny dom, wszystko w najlepszym gatunku, i nie mogliśmy pozwolić, żeby się zmienił w ruderę. A jeszcze na dodatek, jak stoi tak na uboczu, to nigdy nie wiadomo, kiedy banda dzieciaków włamie się latem, żeby

sobie urządzić zabawę. Trafiły się takie historie tu nad jeziorami. Na wynajęcie Kim się w końcu zgodził. Ale nigdy by go nie sprzedał. — Zerknęła przebiegle na Melisę. — Pani by też mu nie pozwoliła, prawda?

— To jest najładniejszy i najmilszy dom, jaki widziałam w życiu.

— Na mój rozum, Kim też go lubi, ale przeżył tu mnóstwo zmartwień. Jego ojciec zginął w wypadku, kiedy Kim miał dwanaście lat, taki piękny, rzetelny, elegancki mężczyzna. Matce Kima omal serce nie pękło. Ale jakoś się pozbierała. Po czterech latach Kim zachorował na Heine Medina. O włos, a by umarł. Przez rok albo więcej wyglądało na to, że będzie całe życie kaleką. Ale Kim zawziął się w sobie, upartszego chłopaka świat nie widział. Jak miał osiemnaście lat, całe lato spędził na rzece. Mój Joe zawoził go tam na wózku inwalidzkim. Uwiązali linę do drzewa na brzegu. Joe okręcał nią Kima i pomagał mu wchodzić do wody. Pływanie podobno jest na to najlepsze. Więc ćwiczył i ćwiczył bez przerwy i zanim lato się skończyło, już nie potrzebował liny, przepływał rzekę tam i nazad dziesięć razy. Cały dzień siedział na wodzie w łódce, dawaliśmy mu coś do jedzenia na obiad, zabierał książki i kiedy już się solidnie zmęczył, siadał pod drzewem i uczył się. Sam się wykurował. Teraz tylko ciut-ciut kuleje, ale tego wcale nie widać.

— W każdym razie mu to nie przeszkadza. Na pewno już o tym nie pamięta.

— Na szczęście nie musi stać od rana do nocy, żeby zarobić na życie, chociaż i tak dałby radę. — Spojrzała ciekawie na Melisę. — W domu też będzie pani nosiła ten kapeliner? Nie wiem, skąd się to tu wzięło. Ktoś go musiał zostawić. Wygląda jak namiot.

Melissa stropiła się. Zdjęła kapelusz i kitel z długimi rękawami. Róże mają kolce i trzeba chronić przed nimi ręce. A kapelusz... Rzadko przebywała dotychczas na silnym słońcu; nie lubiła upałów. Kochała Londyn, londyńskie lato, chłodne i mgliste z nagłymi ciepłymi ulewami odświeżającymi powietrze. Spędzili sześć tygodni w Londynie; Kim chodził co rano do British Museum, a ona maszerowała na Marylebone Road i

dalej za róg do sklepu rybnego i owocarni, i kwaciarni, i do zabawnego sklepu spożywczego. Wydawca Kima odnajął im swoje własne uroczysko mieszkanki w Dorset House. Mieli tam cztery pokoje, wysłane jasnoszarymi dywanami, dwie łazienki, kuchenkę, małe elektryczne kominki w każdym pokoju i życzliwą rozkochaną Irlandkę, która przychodziła sprzątać, czyli „pućować dom”, jak to nazywała. Było to lato niemal nierealne, lato z bajki; poznawali się wzajem, uczyli się współżyć z sobą, szczęśliwi, że jest przed nimi wiele-długich radosnych lat.

Za domem rozległ się warkot silnika i ostry zgrzyt hamulców. Pani Holland odchyliła firankę.

— O rety, ale mamy urodzaj na dziwacznych gości! Najpierw policja aż z Toronto, potem ta ważniaczka z brylantowymi obcasami i teraz jakiś facet w landarze nie z tego świata. — Wytarła ręce w ścierkę do naczyń i pobiegła na ganek. — Na pewno zablądził — mruknęła.

Melissa nie słuchała. Myślała o wizycie policji i o Kimie. Słowa wyczytane w dzienniku pani Fitzgerald wzbudziły w jej sercu głuchy niepokój. Dlaczego policjanci nie wytłumaczyli, po co tu przyjechali? Kimowi nie podobało się, że ma jechać do Toronto bez słowa wyjaśnienia, bo jakiś detektyw Harper chce mu zadać parę pytań. Jakich pytań?

Dlaczego Kim zgodził się pojechać? To głównie niepokoiło Melissę. Dlaczego nie oświadczył stanowczo, że nie pojedzie, jeśli mu nie podadzą wystarczająco ważkiego powodu? Dlaczego nie zadzwonił do miejscowego policjanta Jerry Morana, sympatycznego człowieka, który był u nich przed dwoma tygodniami, kiedy znaleziono zwłoki utopionej kobiety. Dlaczego nie oznajmił, że jeżeli chodzi o coś, czego nie chcą poruszać w obecności kobiet, mogą iść do biura Jerry'ego, tam im wszystko powie? Nie zrobił tego. Pojechał, niechętnie, ale tak jakoś, jakby wiedział, że musi. Dlaczego? Nie było to w jego stylu. Był łagodny, ale stanowczy i obstawał przy tym, że należy postępować logicznie i rozsądnie.

Pani Holland rozmawiała z kimś koło ganku. Do Melissy dochodził szmer głosów. Mężczyzna mówił szorstko, ale także

jakby przeprasza jąco i miał wiele do powiedzenia. Pani Holland musiała go chcąc nie chcąc wysłuchać. Wreszcie nastąpiła chwila ciszy i Melissa zdziwiła się słysząc stuknięcie drzwi kuchennych i słowa pani Holland:

— Może napije się pan wody?

— To prawda, że zgrzałem się i chyba jestem trochę roztrzęsiony.

Mężczyzna był wysoki i bardzo chudy; proste, czarne włosy przyprószone siwizną opadały mu na czoło. Zdjął okulary, żeby je przetrzeć; miał ciemne, trochę nieprzytomne oczy i podłużną bladą twarz o zapadniętych policzkach. Był wyraźnie strapiony i zmieszany.

Pani Holland podała mu szklanę wody.

— To jest pan Calvin Johnson — wyjaśniła Melissie. — Ubrdał sobie, że dziewczyna znaleziona w wodzie przed dwoma tygodniami to jego znajoma. — Lekko potrząsnęła głową. — Mówiłam mu właśnie, że to mało prawdopodobne, ale dalej trwa przy swoim. — Zwróciła się do mężczyzny: — To jest pani Fitzgerald. Nie widziała tej dziewczyny. Zwłoki oglądał jej mąż, chociaż to nie on ją znalazł, mówiłam panu. Znaleźli ją letnicy jadący na camping. Przylecieli tu do telefonu i Kim, pan Fitzgerald, poszedł z nimi na brzeg. Był tam, kiedy przyjechała policja i sanitarka. I przez to jego nazwisko dostało się do gazet. On zresztą też nie. powiedziałby panu dokładnie, jak ta dziewczyna wyglądała, panie Johnson, nawet gdyby był w domu, ale i tak go nie ma.

Melissa pamiętała pobladłą, ściągniętą twarz Kima po znalezieniu zwłok.

— Naprawdę pan sądzi, że to pana przyjaciółka? Dlaczego?

— Szukam mojej narzeczonej Sary Hansen — powiedział bezradnie. — Najpierw nie myślałem, że to mogłaby być Sara. Daleko stąd do Toronto. Ale Sara bała się czegoś, co dotyczyło Sugar Lake, panicznie się bała. Dowiedziałem się przypadkiem... Moja siostra Olive opiekuje się od śmierci mojej żony moimi dziećmi, Elsie i Lennie, i przyjechała z nimi tutaj do Sugar Lake na wakacje. Dzieciom szalenie się tu podobało. Powiedziałem Sarze, że to wspinała miejscowość i kiedy się

pobierzemy, sprawimy sobie namiot i przyjedziemy tu z dziećmi na mój tygodniowy urlop. Myślałem, że zemdleje, a Sara nie należała do kobiet, które o byle co mdleją. I wyjąkała, że nie, tylko nie Sugar Lake. Że najstraszniejsza rzecz, o jakiej w życiu słyszała, tam właśnie się wydarzyła.

I dodała: „To jeszcze się całkiem nie skończyło”. Z dużym trudem udało mi się ją uspokoić, ale nie chciała nic więcej powiedzieć. Dopiero kiedy tak nagle zniknęła, zacząłem sobie wszystko przypominać i pomyślałem o tej utopionej dziewczynie. Może Sara tu wróciła, bo musiała wrócić?... To znaczy wiedziała za dużo... Rozumie pani, o co mi chodzi? Byłbym się tu wcześniej pojawił, ale musiałem pożyczyć samochód szwagra i poczekać na wolny dzień. — Spojrzał na Melisę. — Jak ta dziewczyna wyglądała?

Po chwili milczenia Melissa spytała:

— A jak wyglądała Sara?

— Była drobna, bardzo drobna; schludna, czyściutka, ubierała się skromnie. Włosy miała dość rzadkie. Ciemne. Nosila okulary. Była bardzo zasadnicza. Nigdy nie pudrowała się ani nie malowała. Panna Vandenberg, panna Coral Vandenberg, bogata dziewczyna, u której Sara pracowała, miała Bóg wie ile różności i szminek, i kosmetyków, ale Sara tego nie znosiła. Panny Vandenberg też nie lubiła, młodej dziewczyny, która odziedziczyła kupę pieniędzy i szastała nimi na wszystkie strony. To co prawda zadecydowało, że Sara zgłosiła się do niej do pracy — chciała zarobić. Zobaczyła w gazecie duże zdjęcie panny Vandenberg i przeczytała, że jest to bogata panna, która przyjechała na wschód, żeby studiować muzykę, i mieszka w Coronation Arms. Więc pomyślała, że nie da sobie sama rady, bo nie będzie wiedziała co i jak. Zresztą — ładne duże pokoje, żadnych dzieciaków do pilnowania, lekka praca i dobra pensja. Sara miała głowę na karku. Zgłosiła się i została przyjęta. Przy gospodarstwie można zaoszczędzić więcej pieniędzy niż gdzie indziej — mówiła, a próbowała już każdej roboty: w sklepach i teatrach, w szpitalach i hotelach. Panna Vandenberg miała szczęście, że na nią trafiła, bo trzy miesiące temu ciężko zachorowała i musiała leżeć w łóżku. Dotknęła

trującego bluszczu. Ręce i twarz jej spuchły tak, że nic koło siebie nie mogła robić, a czasem trzeba jej było z miejsca dawać zastrzyk, bo gardło też jej puchło, bardzo niebezpiecznie. Doktor mówił, że Sara jest nie gorsza niż wykwalifikowana pielęgniarzka — zadyszał się. — Sama pani widzi, że Sara nie mogła po prostu odejść i tak jej zostawić. Panna Vandenberg jest jeszcze chora i ma wysypkę na twarzy, a ręce i gardło też nie są w porządku. Sara była naprawdę odpowiedzialna, chociaż jej nie lubiła. Nigdy by nie odeszła bez uprzedzenia. Ale przecież znikła, musiało więc jej się stać coś naprawdę złego, coś poważnego, i przypomniałem sobie, co się z nią działo, kiedy wspominałem o Sugar Lake. — Głos mu się załamał.

Pani Holland już od pewnego czasu przejawiała zniecierpliwienie. Teraz zapytała z irytacją:

— Kiedy ta straszny rzecz miała się tu wydarzyć? Całe życie tu mieszkam i nic takiego nie słyszałam. Ostatnio? Co to za historia, co się jeszcze całkiem nie skończyła? Co ona miała na myśli?

— Chyba nie ostatnio. Sara pracowała u panny Vandenberg od Nowego Roku, a tamto musiało zdarzyć się dawno, całe lata temu. Próbowałem to jakoś sobie wykombinować... Może pracowała u jakichś bogaczy i przypadkiem natknęła się na jakiś ich sekret. Nie była zupełnie pewna, bo gdyby była, poszłaby na policję. Pewnie wiedziała coś, ale nie potrafiła udowodnić, o jakimś podłym człowieku, który może nawet popełnił zbrodnię, i uważała, że jest niebezpieczny, ale nie miała dowodów. Coś w tym rodzaju. Żyła w strachu. I może... po pewnym czasie on odkrył, że ona coś wie, i chciał się jej pozbyć. Nic innego nie przychodzi mi do głowy

Pani Holland spojrzała na Melisę.

— W Sugar Lake nie ma takich ludzi. Latem zjeżdżają czasem rozmaite gatunki z miasta, żeby się tu zabawić. Ale w maju nie. Rozumie pan? I dlatego nie ma w tym wszystkim za grosz sensu. Nie miała tu po co przyjeżdżać.

— Ale gdzie mogła pojechać? Policja nie chce mnie słuchać. Nie mają nikogo podobnego do Sary w swoich kartotekach. Mówią, że była dość dorosła, żeby wiedzieć, czego chce, i mogła

iść gdzie i kiedy jej się podoba. Ale my mieliśmy się pobrać. Spłaciłem już raty za śliczny czteropokojowy domek i mieliśmy tam zamieszkać. Nigdy nie miała własnego mieszkania. Nie zostawiłaby tak panny Vandenberg i nie zostawiłaby tak mnie, gdyby nie musiała koniecznie. Ktoś ją zmusił na pewno, żeby ją wykończyć. Bo jak inaczej?

— Jak to się odbyło? — spytała Melissa.

— Po prostu wyszła z hotelu z małą walizką, Zjechała windą, dała Luke Bryantowi trochę pieniędzy, żeby zapłacił za jakieś paczki, które przyszły dla panny Vandenberg, i poszła sobie. Dlaczego wzięła walizkę? Miała na pewno zamiar gdzieś przenocować. Ja myślę, że w Sugar River; chciała wyjaśnić tę starą historię. Może ten człowiek przyrzekł jej, że coś wytłumaczy. Rozumie pani ?

Pani Holland spytała cicho:

— Ile ona miała lat?

— Trzydzieści. Nie ukrywała swego wieku. Ja mam trzydzieści siedem.

— W takim razie niepotrzebnie się pan gryzie. Dziewczyna, którą znaleźli w jeziorze, nie miała więcej niż dwadzieścia pięć. Widzi pan?

Spojrzał na nią niepewnie.

— Lekarze mogą się mylić. Jeśli to nie była Sara, to gdzie jest Sara?

— Tego to ja nie mogę wiedzieć. Ale nasz doktor zna się na rzeczy i lekarz policyjny też tu był. I, panie Johnson, niech pan sobie wybije z głowy, że ktoś panu powie, jak ta dziewczyna wyglądała za życia. Za długo leżała w wodzie. Nieprzyjemnie o tym myśleć, ale tak jest.

— Czy to ważne, parę lat więcej czy mniej? Czy lekarze mogą tak dokładniej określić wiek? I to nie było znowu tak długo, żeby nie mogli powiedzieć, jak wyglądała — mała, szczupła, ciemne włosy...

— Nie tak długo? — - szybko wtrąciła się Melissa. — Kiedy Sara znikła?

— Drugiego lipca, proszę pani. Zdawało mi się, że o tym wspomniałem. Przez to też pomyślałem sobie o Sugar River.

Wszyscy jadą do Muskoka w końcu czerwca, każdy mógł jej tu wyznaczyć spotkanie.

— Panie Johnson — pani Holland starała się mówić wyraźnie — zwłoki tej dziewczyny były w jeziorze od maja. Od połowy maja, zdaniem lekarzy. Już panu mówiłam. To nie mogła być pańska Sara. O sześć tygodni by się nie pomylili, szkoda gadać.

Wpatrywał się w nią nierozumiejącym wzrokiem.

— I co więcej, ta dziewczyna była w ciąży. Czy to pasuje do pańskiej Sary?

Poderwał się gwałtownie z krzesła.

— W ciąży?! O, nie, nie! To nie mogła być Sara, na pewno nie — i patrząc bezradnie od jednej do drugiej, spytał: — Więc gdzie jest Sara? Co się z nią stało?

Rozdział trzeci

Dennis Savage z Wydziału Zabójstw w Toronto po trzech latach pobytu w Kanadzie — przedtem terminował w policji brytyjskiej — zakochany był w swej nowej ojczyźnie, ale nie zawsze zgadzał się z metodami swoich zwierzchników. Kiedy dochodzenie prowadził inspektor William Blake, kierunek był jasno wytyczony i Dennis nie obawiał się fałszywych posunięć. Ale w tej chwili Bill Blake był nieobecny, od trzech tygodni gonił za gangiem handlarzy narkotyków i funkcje szefa pełnił detektyw Harper. Harper był stary, zmęczony, dojrzały do emerytury i uznawał tylko własne opinie i metody.

Tego ranka Savage pojechał wozem do Sugar River i bez trudności przywiózł na zlecenie Harpera niejakiego Kimballa Fitzgeralda. Właśnie ten brak trudności zbił go nieco z tropu. Fitzgerald nawet nie protestował, niemal o nic nie pytał, a przecież Kanadyjczycy nie są skłonni ustępować nagłym żądaniom policji. Sprawa, w jakiej miano go przesłuchać, była według Savage'a, absurdalna, chociaż bardzo zagadkowa. Fitzgerald nawet nie zapytał, czego mają dotyczyć jego zeznania; jakby w głębi duszy obawiał się, że zapytają go o coś zupełnie innego, o tajemnicę z zamierzchłej przeszłości,

starannie zatajoną i w niczym niepodobną do tego brutalnego, zuchwałego morderstwa.

Harper siedział za swoim biurkiem, ciężki, zgrzany, zmęczony i zniecierpliwiony. Nienawidził roboty papierkowej i brał się do niej jak sztubak, wysuwając koniuszek języka i pocąc się obficie. Zarówno wygląd, jak metody Harpera nie były ani jowialne, ani subtelne. Jego marynarka wisiała na poręczy krzesła, jasnoniebieskie szelki były przepocone, a szara koszula wilgotna pod pachami. Spojrzał z niesmakiem na jasne flanelowe ubranie Dennisa i warknął:

— Przepytał go pan?

— To pan chciał go przesłuchiwać.

— A on mówił coś? Oni przeważnie udają, że nie wiedzą, o co chodzi, i niby próbują zgadywać.

— Nie sprawia wrażenia ciekawego.

— Rzeczywiście? Nie interesuje go to? Zgrywa się. — Rozparł się na krzesle. — A ta jego żona? Jaka ona jest? To zagadkowa postać. Ja stawiam na nią jako na motyw zbrodni.

Savage zastanowił się. Żona, Melissa Fitzgerald, bynajmniej nie wydawała się zagadkową postacią. Odrzekł ostrożnie:

— Ma dwadzieścia dwa czy dwadzieścia trzy lata, metr sześćdziesiąt cztery lub około tego, szare oczy i czarne rzęsy, czarne włosy. Czesze je w koronę z warkoczy.

— Coś pan taki powściągliwy? Jest taka piękna, jak mówią, czy nie? To ważna okoliczność.

— Wiele ludzi na pewno uważa ją za bardzo piękną, ale nie jest to uroda klasyczna.

— Co pan przez to rozumie? Badał pan jej przeszłość w rodzinnym mieście. Uważa pan, że to przyzwoita dziewczyna? Nie ma podejrzanej reputacji? Wygląda na taką, która by wdała się w romans z żonatym mężczyzną, doprowadzając męża do furii z zazdrości?

Savage dobrze pamiętał niezwykłą jasność szarych oczu pod firanką rzęs, ufne, niewinne, otwarte spojrzenie.

— Ona jest bardzo młoda, proszę pana. Mieszkała całe życie w małym miasteczku z ciotką, starą panną, którą bardzo kochała i szanowała. Nazywa się z domu, jak pan wie, Melissa

Starr. Jej ciotka, panna Moira Starr, otaczała ją bardzo troskliwą opieką.

— Żadnych skandali? Żadnych plotek?

— Owszem — Savage zawahał się. — Matka uciekła z kochankiem, kiedy dziecko było małe. Ciotka postanowiła wychować ją tak, żeby się to w następnym pokoleniu nie powtórzyło.

— Ach tak! — Harper był zadowolony. — To najpewniejszy sposób, żeby je nauczyć oszukiwać. Założmy, że Hood bywał w Edgeley? Dlaczego nie? Przystojny facet. A jeśli to dla niego właśnie zeszłej wiosny dziewczyna przeniosła się do Toronto? Mogło tak być.

— Zeszłej wiosny umarła jej ciotka. Dziewczyna dostała w Toronto pracę w dużej księgarni.

— Tak ona mówi. Założę się, że trafimy na ślad Hooda w jej przeszłości. A potem przyjechała do Toronto, spotkała tego Fitzgeralda i wydała się za niego w try-miga. W ogóle to cholernie dziwna historia. Ten Fitzgerald też jest za dobry, żeby był prawdziwy. Zagrzebany w książkach, żadnych wad, żadnych nałogów. O kobietach toż ani słyhu. A przecież jest młody, przystojny, ma forszę pieniądze z ubezpieczenia, posiadłość, dobrą pensję. I żadnej kobiety? To nonsens. Musiała jakaś być. A potem spotyka tę piękność, traci dla niej z miejsca głowę i musi odczepić się od tej poprzedniej. Dajmy na to, że Hood znał tamtą. Że mu się zwierzyła. I postanowił skorzystać z okazji i wyłudzić od Fitzgeralda trochę forsy. Szantaż... Dlaczego by nie?

Savage rzekł spokojnie:

— Nie możemy zrobić obu założeń na raz, proszę pana.

Albo Hood był związany z żoną Fitzgeralda, albo z tą drugą kobietą. Tak mi się wydaje, ale może się myłę.

— Czepia się pan. Świetnie pan wie, o co mi chodzi. Coś tam jest. Musi być.

Wyciągnął zmiętą chustkę i otarł czoło.

— Niech go pan wprowadzi.

Fitzgerald siedział na ławce w korytarzu. Pod jego spokojem Dennis nadal wyczuwał tajemny lęk; lęk innego rodzaju niż

strach człowieka, który popełnił morderstwo i wie, że ma być przesłuchiwany. Harper obejrzał Fitzgeralda od stóp do głów. Wskazał mu palcem drewniane krzesło i Fitzgerald posłusznie usiadł, cierpliwy, grzeczny. Harper rzekł sucho:

— Wie pan, dlaczego tu pana sprowadziliśmy?

— Nikt mi nie powiedział.

Harper spojrział na niego zimno.

— Jedno chcę od razu jasno postawić. Jest pan wykształconym człowiekiem. Pisze pan książki. Umie pan wymyślać różne historyjki. Ale teraz to się na nic nie zda. Żadnych bajeczek. Wiemy, że zabił pan Alvina Hooda. Kłamstwa na pewno panu nie pomogą.

Na opanowanej twarzy Fitzgeralda odmalowało się bezgraniczne zdumienie. Tego nie oczekiwał z całą pewnością.

— Alvina Hooda? Kto to jest Alvin Hood?

— Dlaczego pan go zabił?

— Czy pan zadaje mi to pytanie na serio? Jeśli tak, muszę zażądać, żeby przy przesłuchaniu obecny był mój adwokat. Nie wiem, o czym pan mówi, i nie wiem, jak panu odpowiadać. Wydaje mi się to zgoła bezprawne. Odmawiam odpowiedzi. Mam prawo domagać się obecności adwokata.

— Nie potrzebuje pan adwokata. Jeszcze nie teraz. Na razie nie jest pan aresztowany. Może pan chyba odpowiedzieć na parę pytań? Czy ma pan jakieś obiekcje w tym względzie?

— Na jakie pytania?

— Po pierwsze: gdzie pan był w zeszły piątek wieczorem?

— Byłem w wielu miejscach. O której godzinie? Dlaczego? Czy ten Alvin Hood, obojętnie kto to był, został zabity w piątek wieczór?

— Tak. Czy wśród tych wielu miejsc był także hotel „Meridian”?

— Przypadkiem tak. Nigdy przedtem nie byłem w tym hotelu, ale miałem tam nieprzewidziane spotkanie o dziesiątej wieczorem i stawilem się na nie. W tym samym czasie było w hotelu wiele ludzi, więcej niż należałoby oczekiwać. Dlaczego właśnie ja zostałem tak wyróżniony?

Harper spiorunował go wzrokiem.

— Ponieważ ślady pana palców znajdują się na nożu, którym zabito Alvina Hooda. Pchnął go pan nożem w plecy pięć razy. Rękojeść jest rzeźbiona w esy-floresy, ale tuż pod nią zostawił pan ślad kciuka na ostrzu. Co więcej, odkryliśmy pańskie odciski na odłamkach stłuczonej szklanki, którą zawinał pan w gazetę i wrzucił do kosza. — Roześmiał się. — Zawsze szukamy w koszach na śmiecie.

— Ależ to śmieszne!

— Może być. Ale prawdziwe. Czy ma pan srebrny nóż do papieru z rzeźbioną rękojeścią?

— Mnóstwo ludzi ma podobne noże. Skąd wzięliście odciski moich palców do porównania?

— Ma pan swoją pracownię na uniwersytecie. W jednym z tych starych domów z czerwonej cegły na Millington. W zeszłym roku wynajmował pan w mieście mieszkanie i dozorca udzielił nam potrzebnych informacji. Tam zresztą nie znaleźliśmy odcisków, bo dom był świeżo po remoncie. Ale w pracowni było ich pod dostatkiem. Prosta sprawa.

— Mój srebrny nóż do papieru jest zawsze w pracowni. Kilka szklanek też tam stoi. Na pewno nic nie brałem do hotelu „Meridian”. Nie zabiłem żadnego człowieka. Jeśli te rzeczy znalazły się w hotelu, to nie ja...

— Aha — przerwał Harper — wiedziałem. Bajeczka. Ktoś próbuje pana obciążyć. A jak to jest, Fitzgerald, czy każdy może po prostu wejść do pańskiej pracowni i wynieść, co chce? My musieliśmy znaleźć dozorcę, żeby nas wpuścił.

— W tym budynku jest siedem różnych lokali. I stale ktoś się tam kręci — sprzątaczkę, personel techniczny.

— Więc można wejść niepostrzeżenie do pańskiej pracowni? Niech mi pan powie, Fitzgerald, kto mógł to zrobić? Proszę, niech mi pan to wyjaśni. Kto nienawidzi pana do tego stopnia, że chciałby pana ubrać w morderstwo? To bardzo istotna sprawa. — Fitzgerald utkwiał wzrok w oskarżycielskiej twarzy Harpera. Milczał. — Jeśli ktoś próbuje pana obciążyć, musi mieć jakiś powód. Ważny powód. Ktoś pana nienawidzi. Niech pan nam powie kto? W jaki sposób zafundował pan sobie aż takiego wroga?

Fitzgerald podniósł dłoń do twarzy. Przez chwilę siedział cicho.

— Nie mam wrogów. To koszmar. Kto to jest Alvin Hood? Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Co mnie mogło łączyć z tym człowiekiem?

— Nie był to nikt ważny. Sprzedawał pianina dla firmy „Tuttle & Tuttle” na Yonge Street. Przyjechał tu z Nowego Brunświku kilka lat temu. Żonaty, czworo dzieci. Przyzwoity, uczciwy obywatel.

— Co robił w hotelu „Meridian”, jeśli mieszkał w tym samym mieście? Czy miał z kimś się spotkać tak jak ja?

— Może właśnie z panem? — zapytał Harper z głupia frant.

— Po co?

— Jeszcze nie wiemy. Na razie wiemy tylko, że był pan w jego pokoju. Miał pan z sobą środek nasenny. Musiał pan mieć go z sobą; w do połowy opróżnionej butelce rumu nie było żadnego narkotyku. Hood wpuścił pana do pokoju. Oczekiwał pana. Nalał mu pan rumu do szklanki i odpowiednio zaprawił. A potem, kiedy leżał na łóżku nieprzytomny, pchnął go pan nożem — pięć razy, w plecy. Odwrócił pan ciało nożem na dół, żeby wyglądało, że śpi, i żeby nocna pokojówka nie odkryła za wcześniej zbrodni. Dlaczego nie wyciągnął pan noża z rany? Brzydził się pan czy zapomniał pan, zaślepiony wściekłością? — Wzruszył ramionami. — Dowiódł pan w innych okolicznościach, że umie pan szybko działać, że jest pan impulsywnym, porywczym człowiekiem. Świadczy o tym choćby sposób, w jaki się pan ożenił.

Fitzgerald powiedział stłumionym głosem;

— Pana wnioski są fałszywe.

— Naprawdę? Jak pan myśli, skąd wpadliśmy na to, że właśnie pana mamy szukać? Pana, Kimballa Fitzgeralda? Nie wysaliśmy sobie tego z palca. Powiem panu: zakładam, że pan nie wie. Pana nazwisko i numer telefonu zanotowane były na bloczku przy telefonie. Górna kartka została wyrwana. Ale litery odcisnęły się na następnej. Pański telefon w Sugar Lake.

Po chwili Fitzgerald powiedział powoli:

— A jaki był numer tego pokoju?

— Pokoju Hooda? Zapomniał pan? Numer dwieście osiemnaście.

Fitzgerald zerwał się z krzesła i podszedł do okna. Przez długą chwilę stał plecami do pokoju. Wreszcie odwrócił się.

— Powiedziałem panu, że miałem spotkać się z kimś w hotelu „Meridian” w piątek wieczór. Umówiłem się właśnie w pokoju dwieście osiemnaście. Zostało to ustalone w piątek po południu, chyba około wpół do drugiej. Miałem jechać do Toronto o drugiej. Co piątek wiozę tam porcję rękopisu do mojej maszynistki. Przygotowywałem się właśnie do wyjazdu, kiedy zadzwonił telefon. Mówił mężczyzna, starzec zapewne — przytłumiony, cichy głos, niewyraźny. Nazywał się doktor Patterson. Oświadczył, że ma stare książki. Pamiętniki lojalistów¹, wydania, o jakich nawet marzyć nie śmiałem, praktycznie nieosiągalne na rynku. Słyszał jakoby, że się tym interesuję. Chciał to sprzedać, potrzebował pieniędzy. Przed wszystkim chciał się upewnić, że zostaną wykorzystane, opublikowane. Oczywiście zgodziłem się na spotkanie. Chciałem wyznaczyć je na wcześniejszą godzinę, na piątą, żeby zdążyć do domu, ale odmówił. Szedł gdzieś na obiad, miał te książki dopiero stamtąd zabrać i nie wróci przed dziesiątą. Nie pozostawało mi nic innego jak czekać w mieście. I tak zrobiłem. Pojechałem do maszynistki, potem do biblioteki uniwersyteckiej po potrzebne mi materiały, wróciłem do biura i czytałem tam przez parę godzin. Tuż przed dziesiątą zaszedłem do hotelu „Meridian”. Zadzwoniłem z dołu do pokoju doktora Pattersona, ale nikt się nie zgłaszał. Ponawiałem próby przez dwadzieścia minut. Robiło się późno, byłem zdenerwowany, że zostawiam tak długo żonę samą, nigdy nie mieszkała na wsi, a nasz dom stoi na uboczu. Wreszcie postanowiłem zatelefonować do niego nazajutrz rano. I pojechałem do domu. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Harper słuchał. Jego znużona twarz zmieniała nieco wyraz. Wyglądało na to, że Fitzgerald mówi prawdę.

¹ Część ludności amerykańskiej, która w czasach wojny o niepodległość pozostała wierna koronie Brytyjskiej. Ok. 70 000 lojalistów osiedliło się następnie w Kanadzie.

— Znał pan poprzednio doktora Pattersona?

— Nie. Powiedział, że mieszka w Kingston. Miał chyba na myśli okolice Kingston. Może pan to sprawdzić. Próbowałem go odnaleźć, ale centrala w Kingston nie ma go w spisie abonentów. Dzwoniłem nazajutrz do hotelu „Meridian”, ale oświadczyli, że nikt taki nie jest u nich zameldowany. Bo ja wiem, może starzec mieszkał w tym pokoju przed Hoodem. To jedyna możliwość. I to on zanotował moje nazwisko i numer telefonu na bloczku przy telefonie...

— Sam pan widzi, że to nie trzyma się kupy. Jest jeszcze nóż i szklanka — ostro przerwał Harper. — Ale nieźle pan to wykombinował. Więc twierdzi pan, że przyszedłszy do hotelu, zadzwonił pan do pokoju Pattersona? Podał panu jakoby przez telefon numer dwieście osiemnaście. Ten właśnie, pod którym znaleziono trupa. Pokoju Hooda. Zapamiętał pan numer czy spytał pan o Pattersona w recepcji, zanim pan do niego zadzwonił?

— Nie musiałem pytać w recepcji. Powiedział mi przecież wyraźnie, że mieszka w pokoju dwieście osiemnaście. Dzwoniłem z wewnętrznego telefonu i prosiłem telefonistkę z centrali o połączenie.

— O dziesiątej?

— O dziesiątej. Przez dwadzieścia minut.

— Rozumiem. Telefonistka widziała pana: wysoki młody człowiek, przystojny, lekko utykający. Zorientował się pan, prawda? Wiedział pan, że pana zauważyła?

— Nie wiedziałem i nic mnie to nie obchodziło. Chciałem skontaktować się z doktorem Pattersonem. — Twarz mu stężała. — Czy nasuwałbym się ludziom na oczy, gdybym istotnie zabił Hooda? To stary hotel i w hallu jest wiele szerokich, ciemnych kolumn. Czy dzwoniłbym bez przerwy do jego pokoju, ryzykując, że telefonistka mnie zapamięta? Przecież to szaleństwo! Tak jak byłbym szaleńcem używając swego własnego srebrnego noża, pozostawiając go w ranie, nie zacierając śladów... Nie mówiąc o takim idiotyzmie, jak wrzucenie stłuczonej szklanki z odciskami palców do kosza na śmiecie. Wiem, że policja bada zawartość koszy na śmiecie,

wiem, że szuka odcisków palców. Nie interesowałem się co prawda kryminalistyką, ale nie jestem aż tak głupi. To wszystko musi mieć jakieś rozsądne wytłumaczenie. Zapewniam pana, że doktor Patterson dzwonił do mnie o wpół do drugiej i podał mi ten właśnie numer. Może mieszkał tam wcześniej lub korzystał z cudzego pokoju i to on zapisał moje nazwisko w bloczku. Potem wynajął pokój Hood, jego morderca znalazł moje nazwisko i zorientował się, że...

Nie, nie jest głupi. Jak morderca, człowiek całkiem obcy, mógł odszukać jego biuro, żeby zabrać szklankę i nóż, a potem zabić Hooda — wszystko w ciągu paru minut? Czy aby na pewno w ciągu paru minut? A jeśli zużył na to kilka godzin? Czyżby pewność Harpera została podważona? Harper też nie jest głupi. Jest ostrożny i nie ma ochoty popełnić gafy, zaarrestować niewinnego. Młody Fitzgerald jest przekonujący, ma dobre maniere, jego wygląd i sposób mówienia zrobią znakomite wrażenie na przysięgłych, ale...

Harper powiedział powoli:

— Charakter pisma na bloczku jest identyczny z charakterem pisma w notatniku Hooda. Wątpię, czy ten pański doktor Patterson, czy jak mu tam, miał dostęp do notatnika Hooda, żeby go skopiować. Coś się tu nie zgadza — przerwał. — Czy ktoś był przy pana rozmowie telefonicznej z Pattersonem?

— Sądzę, że moja żona ją słyszała.

Harper powiedział szorstko:

— Może to nie Patterson do pana telefonował? Może właśnie Hood?

Fitzgerald roześmiał się krótko.

— Według pana Hood wypełnił kartę meldunkową w hotelu o ósmej wieczorem. „Tak więc mógł do mnie zadzwonić przed drugą i podać mi numer pokoju? Czy może pan to wytłumaczyć?”

Harper obserwował go w milczeniu. Fitzgerald mówił dalej:

— Nie ma innej możliwości, jak ta, że doktor Patterson mieszkał w tym pokoju przed Hoodem. Jest bardzo stary, może miewa zaćmienia pamięci. Opuścił hotel i Hood się wprowadził. Absolutnie nie potrafię sobie wyobrazić, kto

wplątał mnie w tę nieszczęsną aferę, kto skorzystał z okazji, żeby mnie obciążyć, ale jest oczywiste, że tak właśnie musiało być. Nie znam Alvina Hooda, nigdy go nie znałem, nie odkryje pan żadnych kontaktów między nami. Jestem tego całkowicie pewien. Nie potrafi pan uzasadnić, dlaczego miałbym zabić człowieka, którego nigdy nie widziałem na oczy. A musi pan znaleźć motyw, prawda? Skąd go pan weźmie?

— Znajdzie się i motyw. Zawsze się znajduje. Przedstawił pan kilka argumentów, niezbyt co prawda mocnych, jak się przyjrzeć bliżej. Owszem, trzeba je rozważyć, ale jedno jest pewne: ten pokój stał pusty od tygodnia, zanim Hood go wynajął. Żaden doktor Patterson w nim nie mieszkał. Nikt go tego dnia nie zajmował. Ja osobiście w ogóle nie wierzę w istnienie pana doktora Pattersona i tych jego starych książek. Niezła bajeczka, owszem. Sprawdzimy to skrupulatnie, może pan być spokojny. Ale i tak. tkwi pan w tej sprawie po uszy. Nie wiem, dlaczego, gdzie i jak, ale jest pan w to zamieszany i nie jesteśmy tak naiwni, żeby pana teraz puścić. Rozumie pan?

— Aresztowanie mnie też byłoby dość niemądrym posunięciem — rzekł z goryczą Fitzgerald. — Nie macie żadnych dowodów, same poszlaki. Nawet nie możecie mnie uznać za podejrzanego, bo nie potraficie sformułować zarzutów, nie mając śladu powiązań między mną a Hoodem. Czy mimo to zamierza mnie pan aresztować? Po to mnie pan tu sprowadził?

Harper zwrócił się do Savage'a:

— Odstaw go w ciche, spokojne miejsce. Musimy jeszcze zadać mu wiele pytań. Och, całe mnóstwo.

— Stanowczo żądam, żeby umożliwiono mi porozumienie się z adwokatem.

— Wolno panu jeden raz skorzystać z telefonu. Ale adwokat panu nie pomoże. Możemy zatrzymać każdego, nawet nie mając tak mocnych podstaw, jak w tym przypadku. Na czterdzieści osiem godzin, Fitzgerald. Taki jest przepis. A zanim ten czas upłynie, będziemy mieli odpowiedzi na resztę pytań.

Rozdział czwarty

Długi, upalny dzień upływał powoli, minuta po minucie, a Kim nie telefonował. Pani Holland wygłosiła swoją opinię późnym popołudniem, kiedy prała ścierki i szmaty, szykując się do odejścia.

— Tu chodzi o trupa tej dziewczyny, Melisso. Na pewno. Policja wie już nareszcie, kto to był, i różni ludzie są w to zamieszani... Nie bardzo umiem to wszystko wyrazić... Przez tego pocziwego biedaka, co to dziś rano szukał swojej dziewczyny, takie mi się po głowie snują różności. Bo o czym by innym policja może gadać tak długo z Kimem? Gdyby mieli trochę rozumu, wiedzieliby, że trafili jak kulą w plot. O rety! lepiej by już zahaczyli mojego Joe. Co Kim może wiedzieć o tutejszych plotkach? Przez ostatnie dziesięć lat ledwo tu zaglądał.

Zwłoki dziewczyny. Melissa też o niej myślała. Nie mogła to być Sara pana Calvina Johnsona, ale kimś przecież była. Może wbrew pozorom nie była to po prostu nieszczęśliwa dziewczyna, która miała pecha i napytała sobie biedy? A jeśli miała męża? I przecież nie bez powodu znaleziono ją właśnie w tym jeziorze, a nie w żadnym innym. Tu, na terenie posiadłości Kima. Czyżby więc policja odkryła, że Kim ją skądś znał?

— Ludzie nie znajdują co dzień trupów pod swoim domem — perorowała dalej pani Holland. — Zapamiętaj sobie moje słowa, Melisso, idźcie o tę dziewczynę. Ona po chodzi z Toronto, policja już wie, kto to jest, i ubrdali sobie, że Kim powie im, co trzeba. No bo co by to mogło być innego?

— Kim nic o niej nie wie. Na to, co ma do powiedzenia, wystarczyłoby pięć minut.

— Oni na pewno nie o tę dziewczynę pytają, tylko w ogóle o to, co się dzieje tu, w naszych stronach. Nie mam zielonego pojęcia, o co. Ale kiedy ten Johnson opowiadał, że najgorsza rzecz na świecie, coś potwornego, co jeszcze na dodatek wcale nie jest skończone, przydarzyło się jego Sarze właśnie tu, nad Sugar River, to aż mnie dreszcz przejął. Mieszkam tu całe życie i za skarby świata nie zgadłabym, co ona mogła mieć na myśli.

— Wypłukała wiadro, wytarła do sucha i poszła odstawić je do komórki. — Czy mówił, że ona nazywała się Vandenberg?

— Sara? Nie, wymienił inne nazwisko. Wspomniał, że pracowała u panny Vandenberg. Panny Coral Vandenberg.

Pani Holland zdjęła fartuszek.

— Tak jakby mi się to nazwisko kiedyś obilo o uszy. Ale nie pamiętam, jak i kiedy. Może być, że przyjeżdżali tu do nas na lato jacyś Vandenbergowie dawno temu.

— Ale ta dziewczyna, której zwłoki znaleziono, to nie jest Sara. Cokolwiek przydarzyło się Sarze w Sugar River... — Melissa stropiła się. — To są przecież dwie różne historie. Sara pracowała u tej panny Vandenberg dopiero od pół roku. I nie mówiła wcale, że panna Vandenberg ma coś wspólnego z Sugar Lake. To w ogóle wykluczone. Przecież nie przyjęłaby u niej pracy, gdyby te sprawy miały jakiś związek.

— Tak, rozumiem, coś tu nie trzyma się kupy. Bo ten cały dzień taki jakiś zwariowany... Kim pojechał, nie wiemy, czego od niego chce policja, potem ten znikowany biedak... pomyliłam te dziewczyny i w ogóle wszystko mi się pomieszało, ale przecież tylko przez to trzymają tam Kima tak długo.

Poszła wreszcie do domu i Melissa została sama. Słońce chyliło się ku zachodowi. Dom bez Kima był obcy i smutny. Przez cały dzień wypakowywały z panią Holland rzeczy pieczołowicie gromadzone przez kobietę dawno zmarłą; kobietę, która czegoś się panicznie bała, kobietę, która umarła nagle, niespodziewanie. Zachorowała tu w domu nocą, była sama z Kimem, który wezwał doktora Marsha, a doktor Marsh sprowadził karetkę i przewiózł panią Fitzgerald do Toronto. Nikt jej już więcej nie zobaczył. Nawet pogrzebu nie było, ciało spalono w krematorium w Toronto. Kim przez cały rok nie przyjeżdżał do domu. Musiał to ciężko przeżywać. Nie mówił o tym. Nigdy.

Melissa przeszła do pokoju i stanęła koło mahoniowego biureczka. Pamiętnik oprawny w płótno nadal leżał pod stertą papierów, którymi go przedtem przykryła.

Nieszczęście, nagła śmierć, niebezpieczeństwo... A teraz Kim i policja. Najgorsza rzecz na świecie zdarzyła się właśnie w

Sugar River — mówiła Sara, szanująca się dziewczyna, skromna, przyzwoita, niegłupia. Co taka osoba mogła uważać za najgorszą rzecz na świecie? I kiedy się to zdarzyło? I co to znaczy, że jeszcze się nie skończyło? Dziewczyna nie znikła bez powodu. Zwłoki w jeziorze to nie trup Sary, ale Sara wiedziała coś o Sugar River. Coś strasznego...

Melissa otworzyła książeczkę. Ostatni zapis założony był czerwoną tasiemką i na marginesie widniała data: dwunasty września. Przerzuciła kartki i zaczęła od pierwszego dnia roku. Nie był to właściwie pamiętnik, raczej rodzaj dziennika czy kalendarza, z jedną lub dwiema linijkami notatek na każdej stronie. „Simpson ma przysłać pokrowce w przyszły czwartek”. „Pan Parsons twierdzi, że wszystkie domki są już wyremontowane”. „Kim jest coraz silniejszy, zabiera teraz ze sobą dużo jedzenia i przebywa na powietrzu przez cały dzień”. (To było w lipcu). „Fryzjer trzecia trzydzieści” i „Zapłacić pani Holland za nadgodziny w sobotę. Goście na kolacji”.

Energiczna kobieta, ani cienia hysterii, żadnych stanów lękowych. Rzeczowa, nie wdająca się w rozważania i samoanalizy, po prostu organizująca sobie życie dzień po dniu.

Melissa z ociąganiem odwróciła przedostatnią kartkę. Dwunasty września. U dołu strony zaczynał się ten dziwny, inny niż pozostałe, zapis przechodzący na następną, ostatnią kartkę. Melissa przeczytała go kilkakrotnie, nie wierząc własnym oczom. Przecież nie istnieją aż takie zbiegi okoliczności. To niemożliwe.

„Byłam ślepa. Teraz rozumiem wiele. Nazywa się Weronika Vandenberg”. A potem na następnej stronie: „Jestem przerażona. Boję się śmiertelnie. Wiem, że niebezpieczeństwo jest realne. Ale co mogę powiedzieć Kimowi? Ach, co mam powiedzieć Kimowi?”

Melissa stała z dzienniczkiem w ręce, próbując zebrać wirujące myśli, zagubiona i przejęta narastającym lękiem.

Ktoś zapukał cicho do drzwi jadalni. Zamknęła pamiętnik i schowała go pod papierami. Pukanie rozległo się po raz drugi. Za drzwiami stał Lance Latourelle. Mieszkał od dziesięciu dni w swojej pracowni i prawie codziennie wstępował tu idąc z

poczty do domu. Lance znał Kima od bardzo dawna. Melissa przywitała go z ulgą. Znakomity artysta, inteligentny, wrażliwy, rozumny. Przyjeżdżał do Sugar River od wielu lat. Był o wiele starszy od Kima. Przekroczył czterdziestkę. Nie wyglądał na to. Niewysoki, drobnej budowy, poruszał się z kobiecym niemal wdziękiem. Nie był specjalnie przystojny, ale trudno go było nie zauważyć, głównie z powodu oczu, mądrych, wszystko widzących, uważnych.

— Proszę — powiedziała Melissa. — Tak się cieszę, że pan przyszedł. Kima nie ma, a pani Holland poszła już i jestem... — przerwała.

Przez dłuższą chwilę nie odrywał wzroku od jej twarzy, po czym rozejrzał się po pokoju, rejestrując częściowo rozpakowaną porcelanę i szkło, pudła jeszcze pełne różnych ozdób i książek i oparte o ścianę obrazy.

— Czy denerwuje cię przejmowanie dziedzictwa po innej kobiecie? Wchodzenie w cudzą skórę?

To jej nie przyszło do głowy. Czy wchodzi w cudzą skórę?

— Nie bardzo znam się na rzeczach naprawdę dobrych. Wszystko po matce Kima jest piękne.

Wyjął papierosy, poczęstował ją i kiedy odmówiła, włożył jednego w długą fajeczkę i zapalił. Miał sprawne palce, mocne dłonie malarza.

— Gdzie jest Kim? Przyniosłem trochę wódki. Myślałem, że się napijemy. — Wyjął z kieszeni marynarki płaską butelkę. — Może sami zaczniemy? Kim chyba niedługo przyjdzie.

— Na pewno — powiedziała i oczy ich się spotkały. Wiedziała, że nie zmylił go pewny ton jej odpowiedzi. Uniósł lekko brwi, sam wyjął z barku dwa kryształowe kieliszki i otworzył butelkę. Zabrał butelkę i kieliszki do kuchni, gdzie nalał wódki i soku pomarańczowego, który znalazł w lodówce. Melissa mechanicznie przyjęła kieliszek.

— Nigdy jeszcze nie piłam wódki, nie wiem, jak smakuje.

— Nie chodzi tu o smak. Wypij, Melisso, dobrze ci to zrobi. Jesteś blada i wyglądasz, jakbyś ujrzała upiora. Dlaczego jesteś blada i wyglądasz, jakbyś ujrzała upiora? — Ujął ją za łokieć, zaprowadził do pokoju i usadowił w wygodnym, pokrytym

skórą fotelu. Sam przysiadł obok na podnóżku. — Melissa, czy coś się stało? Gdzie Kim?

Zacząła mówić bezładnie.

— Właśnie. Dziś rano bardzo wczesnie przyjechali po niego z Toronto. Policja. Nie wytłumaczyli, o co im chodzi. Mieli mu zadać parę pytań.

— W jakiej sprawie?

— Tej dziewczyny, której zwłoki znaleziono w jeziorze. Na pewno.

— Ale Kim przecież nic o niej nie wie.

— Nie wie, ale może oni myślą, że Kim potrafi im coś powiedzieć o tutejszych stosunkach.

— A co ta dziewczyna ma wspólnego z tutejszymi stosunkami? O ile wiem, była tu obca. Te okolice nie są gęsto zamieszkane poza letnim sezonem. W maju nikt z miejscowych nie mógłby zniknąć, żeby się nie zrobił od razu szum.

Melissa potrząsnęła głową.

— Przyjechał tu dziś rano jakiś dziwny człowiek, pan Calvin Johnson, szukał swojej narzeczonej, która zaginęła. Ta narieczona to kto inny. Była starsza, od tej dziewczyny i w ogóle daty się nie zgadzają. Ale on tyle gadał i mówił, że jego narieczona chyba mieszkała w Sugar River i wiedziała o czymś potwornym, co się tutaj wydarzyło. Nie wiem kiedy. I jeszcze inne rzeczy — dodała, czując zupełny zamęt w głowie.

— Dosyć to wszystko zagmatwane. Jeśli dziewczyna tego człowieka nie jest naszą topielicą, to cokolwiek by wiedziała czy sądziła o Sugar River, jest nieistotne. — Ujął w dłoń jej drobne, chłodne palce. — Jakbym słyszał panią Holland. Ona robi szmaciaki, wiesz o tym?

— Szmaciaki?

— Bierze stare skrawki rozmaitych materiałów i zszywa z nich dywaniki. Nieważne, skąd materiał pochodzi. Byleby było dosyć skrawków i już jest nowiuteńki dywan. — Uśmiechnął się. — Nie twierdzę, że jest plotkarką, ale mogę sobie wyobrazić, że lubi zszywać wszystko, co popadnie. Czy udało jej się wymyślić nieczne sprawy dziejące się w Sugar River? Może wpadła na trop handlarzy narkotyków lub jaskini fałszerzy

pieniędzy?

Melissa odprężyla się nieco. Wódka złagodziła napięcie.

— Może Sara przesadzała mówiąc o tych potwornościach. Chyba nie była specjalnie mądra. Pan Johnson jest raczej mało rozgarnięty, a ona miała wyjść za niego za mąż.

— Zdaje mi się, że zaczynam coś niecoś rozumieć. Wróćmy na chwilę do poprzedniego stadium rozmowy. W gruncie rzeczy nie wiesz wcale, czy policja przesłuchuje Kima właśnie w sprawie damy z jeziora?

— Nie ma go już cały dzień, proszę pana.

— Żadne „proszę pana”, moje ciemnowłose dziecko. Jestem po prostu Latourelle, nikt do mnie inaczej nie mówi. — Pociągnął długi łyk z kieliszka. — Pobraliście się z Kimem w maju. I zaraz pojechaliście do Londynu.

Wróciliście dopiero pierwszego sierpnia, zaledwie dzień czy dwa przed znalezieniem zwłok. Tak?

— Kim doprawdy nie wie nic o tym, co działo się w Sugar River, nawet jeśli coś istotnie tu się działo, prawda?

— Zna oczywiście w tych stronach każdy kąt. Spędził tu swoje szczęśliwe dzieciństwo. Policja może po prostu interesować się, dlaczego i jakim sposobem ta dziewczyna znalazła się właśnie na łące Kima. Tam dalej jest długa mielizna. Jeśli zatonała gdzieś na środku jeziora, to jak jej zwłoki dostały się na brzeg? Akurat w tym miejscu... Zdawałoby się, że raczej powinny pływać sobie w głębokiej wodzie po drugiej stronie jeziora.

— Poprzedniej nocy była silna burza.

— Trzeba by tornada, żeby zniosło je z głębokiej wody aż tutaj. — Przez chwilę obracał kieliszek w palcach. — Masz słusność, że Kim niewiele wie o tutejszych stosunkach. Wyjechał stąd nagle, kiedy jego matka umarła. — Głos mu się zmienił i zabrzmiał w nim dziwnie przykry ton. — Bardzo byli do siebie przywiązani, Kim i jego mama.

Dlaczego mówi z takim sarkazmem o nagłej śmierci matki Kima? Czy sądzi, że Kim jakoś... że ta tragedia... och, nie, nie. To na pewno da się jakoś zwyczajnie wytłumaczyć.

— Nie lubiłeś matki Kima, Latourelle?

— Cóż, to raczej ona mnie nie lubiła. Była... można ją nazwać

wcieleniem wszelkich cnót, kobietą stworzoną ze szlachetnego kruszcu, żeby krzepić, wspierać, pomagać. Pomagać? Może raczej wymagać. Chyba tak. Właściwie naprawdę ceniła tylko zasady i dyscyplinę.

Melissa przyglądała mu się w zadumie. Zasady? Kim jest zasadniczy, ale z nią ożenił się w sposób jak najbardziej niekonwencjonalny.

— Ja bym jej się chyba nie podobała.

Latourelle wstał, przeszedł do kuchni i wrócił z napełnionymi kieliszkami. Powiedział spokojnie:

— Z czasem by cię zaakceptowała. Muszę przyznać, że знаła się na tym, co dobre. Ale potrwałoby to jakiś czas. Wiele lat poświęciła, żeby zrobić z Kima człowieka odpowiedzialnego, rozważnego i opanowanego. I chyba jej się to udało. Tym bardziej zaskakujące było to małżeństwo z tobą zawarte w taki sposób. Wiadomość o tym zdumiała mnie. Jeszcze bardziej wstrząsnęłaby jego matką. Przeraziłaby ją.

— Przeraziła? — powtórzyła Melissa. Zamierzała spytać go o Weronikę Vandenberg. Nie miała ochoty wymieniać tego nazwiska, ale musiała to wyjaśnić. Ujrzała nagle całą sprawę w zupełnie innym świetle. Może niebezpieczeństwo, przed którym drżała pani Fitzgerald, zagrażało tylko jej marzeniom o przyszłości Kima?

Na dziedzińcu rozległy się kroki. Melissa zerwała się.

Nie był to Kim, tylko pan Parsons, adwokat Kima, okrągły, czerstwy mężczyzna o różowej twarzy i grzywie śnieżnych włosów. Przez chwilę stał w otwartych drzwiach kuchni. Zacerpnął oddechu, jak nurek, który ma skoczyć do głębokiej wody. Jego oczy były niespokojne, więcej — przestraszone.

Melissa spytała cicho:

— Kim?

— Nie, nic mu się nie stało, nie żaden wypadek. Telefonował do mnie. Nie dali mu, to znaczy pozwolili tylko na jeden telefon i chodziło mu o to, że pewnie jesteś bez pieniędzy i ja mam się o nie postarać. I naturalnie miał jeszcze inne sprawy.

— Gdzie on jest? Dlaczego wolno mu tylko raz zatelefonować?

— Został zatrzymany do wyjaśnienia. W tych okolicznościach policja ma do tego prawo.

— W jakich okolicznościach?

— Kiedy chodzi o morderstwo.

Zapadło nagłe milczenie. Wreszcie przerwał je głos La-tourelle'a dochodzący od strony jadalni:

— Chodzi o tę dziewczynę w jeziorze? Została zamordowana?

Pan Parsons spojrział na niego zaskoczony.

— Jaka dziewczyna? To nie o dziewczynę chodzi. O mężczyznę. O mężczyznę, o którym Kim, jak twierdzi, nigdy w życiu nie słyszał. I na pewno mówi prawdę. Czytałem nawet o tym w sobotnich gazetach. Alvin Hood. Policja jest zdania, że to Kim go zabił. Alvina Hooda. Dlatego go zatrzymali.

Rozdział piąty

Po całkiem prawie bezsennej nocy Melissa obudziła się nazajutrz w hotelu „Meridian” w pokoju na drugim piętrze.

Pojechali z panem Parsonsem poprzedniego wieczoru na policję i widok nieszczęśliwego, oszołomionego Kima był trudny do zniesienia. A najtrudniej było w to wszystko uwierzyć. Okazało się, że policja po prostu nie wierzy w istnienie doktora Pattersona. Żaden starszy człowiek, mający książki na sprzedaż, nie telefonował do Kima — byli o tym święcie przekonani. Do Kima telefonował Alvin Hood. Nie wiedzieli dlaczego, jeszcze nie wiedzieli. Nie odkryli żadnych wcześniejszych kontaktów między Kimem i Hoodem. Ale odkrywają. Postanowili, że to on popełnił to morderstwo. Wszystko, co znajdują, będzie wierutnym fałszem, ale jeśli ktoś posunął się tak daleko, żeby zrobić w to Kima, posunie się dalej: zrobi wszystko, żeby policja znalazła dalsze dowody.

Kim był pewien, że Melissa pamięta jego rozmowę telefoniczną z doktorem Pattersonem. Ale ona jej nie słyszała. Kim był na górze i tam podniósł słuchawkę. A ona? Wynosiła naczynia po lunchu, w pośpiechu, żeby ubrać się i wyjść z Kimem. Dlaczego nie słuchała, kiedy potem tłumaczył jej, że

nie ma sensu, aby jechała z nim do Toronto? Pierwszy raz nie miał ochoty wziąć jej ze sobą. Mówił, że w mieście jest bardzo gorąco, że zostanie do późna, wspomniał coś o czekaniu na jakieś książki, a ona poczuła się urażona, że nie chce jej zabrać — i stąd to wszystko. Nie słyszała dzwonka telefonu i nie zwracała uwagi na jego wyjaśnienia, bo była urażona i zaskoczona.

Cała rozmowa między Kimem, panem Parsonsem i nią obracała się koło jednego pytania: kto? Kto go chce zgubić?

— Potrzebny nam jest prywatny detektyw — powiedział Ben Parsons. — Dobry fachowiec, który potrafi to wszystko szybko rozwikłać. Mówisz, że policja będzie teraz za wszelką cenę szukać dalszych dowodów, żeby jak najprędzej uzyskać nakaz aresztowania. Wobec tego my musimy pierwsi rozszyfrować tajemnicę.

Ale Kim z miejsca oparł się temu. Nie chciał prywatnego detektywa. Nie ma na to czasu. Jeśli mają go zaaresztować, zrobią to jutro lub pojutrze. Co przez ten czas zdiagnozuje prywatny detektyw? To beznadziejne.

Ani Ben Parsons, ani Melissa nie rozumieli, dlaczego się sprzeciwia. Teraz, leżąc na niewygodnym łóżku w obskurnym hotelowym pokoju, Melissa rozpamiętywała jego słowa. Sama nie miałyby ochoty, żeby prywatny detektyw szperał w jej przeszłości. Odkryłby na pewno, że jej matka źle się prowadziła. Byłoby jej przykro. Ale Kim nie ma nic do ukrycia. Jego rodzina to szlachetni, uczciwi ludzie i on sam jest szlachetny i uczciwy.

A prywatny detektyw naprawdę by się przydał, żeby zbadać, co z tym doktorem Pattersonem. Stary pan musi przecież istnieć, skoro dzwonił do Kima, miał książki do sprzedania, umówił się w hotelu „Meridian” o dziesiątej. Tymczasem w hotelu twierdzą, że nigdy o nim nie słyszeli, a policja uważa, że nikogo takiego w ogóle nie ma.

Kiedy wyszli od Kima, Melissa powzięła postanowienie. Nie wróci do Domu nad Łąką, nie zniesie powrotu tam bez Kima. Odnajdzie doktora Pattersona. Ben Parsons musi jechać do domu, ma sprawę w Huttsville nazajutrz rano. Ale ona może tu

zostać i chociaż sama myśl o tym ją mierzyla, zdecydowała, że zostanie. Ktoś popełnił kolosalną omyłkę i dopiero kiedy ta omyłka zostanie sprostowana, Kim będzie wolny. Nie była specjalnie odważna, nie miała tupetu, nie znała się na pracy detektywa ani nie umiała udawać, ale dla Kima zdobędzie się na wszystko.

Poprzedniego wieczoru zrezygnowała z rozmowy ze starym, schorowanym recepcjonistą, chociaż to on właśnie mógł mieć dyżur w piątek o ósmej, kiedy zameldował się tu Alvin Hood. Była za bardzo roztrzęsiona, niepewna, o co ma pytać, zbyt wyczerpana i nieszczęśliwa. Poprosiła o pokój na drugim piętrze, a recepcjonista nawet na nią nie spojrzał. Zameldowała się jako Melissa Starr, nie Fitzgerald, na wszelki wypadek jeśli mu się to nazwisko obilo o uszy, ale mogła wpisać się jako cesarzowa perska i też nie zwróciłby na nią uwagi. Przy centralce telefonicznej nikogo nie było. Staruszek sam odebrał dwa telefony, podczas gdy Melissa wypełniała kartę meldunkową.

Leżąc w łóżku i usiłując ułożyć sobie plan postępowania, zaczęła się zastanawiać, dlaczego Alvin Hood, czy ktokolwiek inny, mógł wybrać właśnie ten hotel. Pokój był brzydki, przygnębiający, tapety wyblakłe i przybrudzone, dywan wytarty niemal do osnowy. Metalowe łóżko pogięte, narzuta z cienkiego, spranego kretonu. W łazience sterczały rury, na pewno została dobudowana w rogu pokoju, kiedy dom był już wykończony. Dlaczego Alvin Hood tu się zatrzymał? Dlatego, że hotel był stary i zaniedbany, i nie ryzykował, że spotka tu znajomych? Dlaczego zatrzymał się tu doktor Patterson? Bo był ubogi lub może przyjeżdżał tu dawno temu, kiedy hotel nie był tak opuszczony?

Napuściła wody do zardzewiałej wanny, wykapała się i ubrała. Była dopiero siódma rano. Za wcześnie, żeby zadawać ludziom pytania. Nie czuła się głodna i nie było sensu prosić o śniadanie dla zabicia czasu. Czuła się samotna i wylękniona, dziecinna i bezradna. Ale ktoś przecież musi pomóc Kimowi.

Wreszcie wskazówki zegarka dotarły do ósmej. Wyszła na korytarz i drzwi zatrzasnęły się za nią. Przeszła koło pokoju

dwieście osiemnaście, którego drzwi też miały automatyczny zamek. Morderca nie potrzebował klucza, kiedy wychodził. Ale Alvin Hood musiał sam otworzyć drzwi swojemu zabójcy.

Tuż za drzwiami były schody, a winda nieco dalej. Wygodny rozkład. Zeszła wolno po stopniach. Mały podest i znowu schody; skręciwszy w prawo, weszły do hallu, posępnego i mrocznego, z wielkimi drewnianymi filarami. Idąc prosto, trafiła na stale otwarte drzwi na ulicę. Każdy mógł wejść tymi drzwiami w piątkową noc i niepostrzeżenie dostać się do pokoju Alvina Hooda.

Wyszła na ulicę i wolno skręciła za róg, żeby wrócić do hotelu od frontu. Na półce koło drzwi stały dwa aparaty telefoniczne. Stąd Kim łączył się z pokojem dwieście osiemnaście. Spędził tu dwadzieścia minut. Zerknęła w stronę biurka recepcjonisty. Wysoki mężczyzna sortował korespondencję. Na drugim końcu biurka ustawiona była hotelowa centralka i dziewczyna w jasnoczerwonej sukni, z wysoko upiętymi blond włosami, sadowiła się na krześle. Gdyby odwróciła głowę, wzrok jej padłby na półkę z aparatami telefonicznymi. Nie mogła to chyba być ta sama dziewczyna, która widziała Kima. Trudno przypuścić, żeby zaczynała pracę o tej porze i była tu jeszcze o dziesiątej wieczór.

Ani mężczyzna, ani dziewczyna nie spojrzeli na Melissę idącą wolno w ich kierunku. W ciemnym hallu paliła się słaba lampa, światło dzienne niemal tam nie docierało. Na oknach wisiały ciemne draperie i przybrudzone siatkowe firanki. Nawet w dzień łatwo było przejść przez hall nie zwracając niczyjej uwagi. Czy Alvin Hood wybrał specjalnie taki hotel? Czy miał tu spotkać się z kimś, kto nie chciał być widziany? Czy niktzemnik, który przyniósł z biura Kima nóż i szklanę, też wiedział, jak łatwo jest dostać się ukradkiem do pokoju?

Podeszła bliżej. Wysoki mężczyzna odłożył cienki plik listów i spojrzał na nią w milczeniu. Nie był właściwie stary; ale na pewno nie był to ktoś sprawny, bystry i kompetentny. Miał rzadkie jasne włosy, wyblakłe niebieskie oczy, cofnięty podbródek i sterczące jabłko Adama. Melissa powiedziała nieśmiało:

— Nie wiem, ale może mógłby mi pan pomóc. Chodzi mi o człowieka, który był tu w zeszły piątek. O doktora Pattersona.

Potrząsnął głową.

— W ostatni piątek mieliśmy tu zjazd. Hodowcy rasowych psów — dużo ludzi, sami obcy. Żadnego doktora Pattersona nie pamiętam. Czy brał udział w zjeździe?

— Nie wiem, być może. Był tu w piątek wcześniej po południu. Ja... to znaczy dzwonił do nas o wpół do drugiej i podał numer pokoju. Na pewno tu mieszkał. Czy pan pracował w piątek?

— Tak, oczywiście. Pracuję codziennie.

— Czy jest u was jakaś książka meldunkowa? Gdzie wpisuje się, kto i kiedy się zameldował? Nazwisko doktora Pattersona powinno tam figurować.

— Nie, nie prowadzimy książki. Goście wypełniają odpowiednie druki: nazwisko, data i numer pokoju. Po dyżurze wszystkie kartki zbieram i układam w kartotece.

— Czy byłby pan łaskaw przejrzeć tę kartotekę? To bardzo ważne. Doktor Patterson jest bardzo stary i czasami... — zawiesiła głos. — Bardzo mi na tym zależy...

— Czy jest pani pewna, że zatrzymał się u nas w piątek? Bo jeśli nie, będę musiał przejrzeć kartki z wielu dni. Kiedy wyjechał? To by mi ułatwiło szukanie. Kiedy zapłacił rachunek?

— Tego nie wiem. Właśnie... — ciągnęła ostrożnie Melissa — pojechał gdzieś nic nam nie mówiąc i martwimy się o niego. Tylko na pana pomoc mogę liczyć.

— Stary człowiek? Uciekł z domu i zabłądził? A może stracił pamięć?

— Niewykluczone. Wiemy tylko, że był tutaj o wpół do drugiej w zeszły piątek.

Zmarszczył brwi.

— Mówi pani, że telefonował i podał numer pokoju? Jaki numer? Może to będzie jakaś wskazówka? Który to był pokój?

Melissa starała się mówić obojętnie.

— Pokój numer dwieście osiemnaście.

Wzdrygnął się zaskoczony i utkwił w niej wzrok. Telefonistka przy centralce zwróciła się w ich stronę i spoglądała na Melisę okrągłymi oczami.

— Pokój numer dwieście osiemnaście? Ja... ale... przepraszam bardzo... pani nie jest z policji?

— Ależ skąd! Po prostu szukam starego doktora Pattersona. Podał ten numer pokoju w piątek.

Musiał się wobec tego pomylić. Żaden doktor Patterson nie mieszkał w tym pokoju w piątek, wiem to na sto procent. Widzi pani — może nie czytuje pani prasy lub nie wpadło to pani w oko — ale wszyscy nasi goście czytali gazety i większość w sobotę rano przeniosła się gdzie indziej. Pierwszy zjazd, który odbywał się u nas od lat! Zamówili pokoje z pełnym utrzymaniem, więc przygotowaliśmy zapasy i nic z tego! Prawie wszyscy zrezygnowali z rezerwacji. Nie jest to zresztą tajemnica — w zeszły piątek popełniono u nas morderstwo, właśnie w pokoju dwieście osiemnaście.

— W piątek zajmował ten pokój doktor Patterson — powtórzyła z uporem Melissa. — Mam nadzieję, że to nie jego zamordowano.

— Nie, to nie był doktor Patterson. Tamten nazywał się Alvin Hood. Policja od nas w ogóle nie wychodziła. Byli tu przez całą sobotę fotografowie, lekarz, specjaliści od odcisków palców i wreszcie wywieźli ciało wystraszając wszystkich gości. Wiem na pewno, że w piątek w ciągu dnia nikt w tym pokoju nie mieszkał. Przez cały tydzień stał pusty. Ten człowiek, którego zabito, pojawił się tu tylko z teczką, nawet piżamy w niej nie miał ani przyborów do golenia, jakby nie myślał tu nocować. Postawił nas w bardzo niezręcznej sytuacji. Nasz hotel to porządny zakład i wynajmujemy pokoje tylko ludziom, którzy mają zamiar tu naprawdę mieszkać. Rozumie pani, o co mi chodzi? Przyszedł zaraz po ósmej, wiem, bo słyszałem, jak policja przesłuchiwała "pana Davie, nocnego recepcjonistę. Obudzili go w sobotę rano i sprowadzili tutaj. Wiedzieliśmy, że ten facet przyszedł tuż po ósmej, bo pan Davie ma przerwę między za kwadrans ósma i ósmą i właśnie wrócił z kawy. Zdenerwował się, bo nie mógł znaleźć klucza. Tak staraliśmy się, żeby był przynajmniej jeden klucz w każdej przedziałce na czas zjazdu, ale kiedy pan Hood przyszedł, klucza od pokoju dwieście osiemnaście nie było. Pan Davie musiał wziąć

zapasowy klucz i posłać chłopca, żeby otworzył drzwi. Wszystko to wyszło na jaw podczas śledztwa.

Powtarzał to już po raz nie wiadomo który. Na pewno nic w jego opowieści nie ulegało zmianie, była raz na zawsze ustalona i sztywna, jak mocno ubita piana z białek. Ale coś tu jeszcze nie pasowało.

— Doktor Patterson powiedział jednak, że mieszka w pokoju dwieście osiemnaście. Jak mógł się pomylić? Czy może mi pan pokazać jego kartę meldunkową?

— Widzę, że to dla pani bardzo ważne — otworzył drzwi za biurkiem, zniknął na chwilę i wrócił niosąc kartotekę. — Nawet nie wie pani, czy zgłosił się w piątek — przypomniał jej. — Nie mam pojęcia, gdzie szukać.

Telefonistka była wyraźnie zadowolona. Zerwała się z krzesła i stanęła obok.

— Proszę pana, nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale pan Davie kazał Shirley wyszukać kartę tego zamordowanego. Pana Hooda. Policja chciała dokładnie, co do minuty, wiedzieć, kiedy się zameldował. Ale nie mogli jej znaleźć. Chyba pan Davie zapomniał wypisać. Shirley mówi, że on ciągle wszystko zapomina. Ale skąd można wiedzieć bez karty, ile się należy, kiedy gość żąda rachunku. Shirley było bardzo przykro, bo pan Davie powiedział, że to może ona gdzieś zawieruszyła kartę. Niby że sama ją wypisała i kiedy pan Davie wrócił po przerwie, pan Hood już tylko czekał na klucz. Shirley mówi, że to nieprawda, na pewno go nie meldowała, zapamiętałaby przecież. Pan Hood był całkiem przystojny, widać na zdjęciach, wyglądał jak Hiszpan. Teraz i tak nikt nie zapłaci rachunku i nie ma się co tą kartą przejmować.

— O rety! — Pan Anderson szperał w kartotece. — Piątek wieczór — westchnął. Znalazł właściwą przegródkę i oglądał jedną kartę po drugiej. Potem sprawdził raz jeszcze. — Dziwne naprawdę. Pan Davie jest trochę roztargniony, ale taka rzecz się jeszcze nie zdarzyła. Musimy mieć karty, na tej podstawie obciążamy gości.

Melissie zaświtało coś w głowie. Alvin Hood zgłosił się w piątek zaraz po ósmej. Poprosił o klucz, ale nie było jego

karty...

— Doktor Patterson dzwonił do nas o wpół do drugiej. Jeśli zameldował się tuż przedtem, pan wypisywałby jego kartę. Może się więc wcale nie meldował? Gdyby pan jednak był łaskaw to sprawdzić...

— Po pierwszej? Ja mam przerwę obiadową od pierwszej do trzeciej. Gdyby ten doktor Patterson wtedy się zgłosił, rozmawiałby z panną Jackson — wskazał na telefonistkę. — Pamięta pani kogoś takiego?

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie pamiętam. Ale byłam w piątek trochę zdenerwowana. Zaczęłam tu właśnie pracować i akurat wypadł ten zjazd, i w ogóle. Przyszło troje czy czworo ludzi, kiedy pana nie było, ale nie przypominam sobie żadnego staruszka. Jakieś małżeństwo — to ona wszystko załatwiała — tych, owszem, pamiętam. Była bardzo energiczna. Ale poza tym nikogo. Nie umiem powiedzieć, czy coś było w piątek, czy kiedy indziej.

Oddzielił kilka kartek.

— W piątek... — powtórzył i zaczął je metodycznie przeglądać. — Wpół do jedenastej pani Ellison z Hamilton, jedenasta piętnaście pani Jamieson z Belleville — wymieniał głośno nazwiska. Przy dwunastej karcie z kolei zamilkł nagle i zbliżył ją do oczu. Po chwili zwrócił się do telefonistki: — Panno Jackson, dziesięć po pierwszej — podał jej kartkę.

Spojrzała na nią niedowierzająco.

— A. Hood? Ależ to moje pismo! Sama wpisałam numer pokoju! Dwieście osiemnaście! Przecież to niemożliwe! Nie widziałam tego człowieka, nie rozmawiałam z nim, nie dawałam mu klucza! Niemożliwe! Fotografie w gazetach były wyraźne, miał twarz nietuzinkową — taką hiszpańską w typie, musiałabym go zapamiętać. Przysięgam, że nigdy go nie widziałam, wiem na pewno!

Melissa wyjęła kartę z ręki osłupiałej panny Jackson. Podpis był wyraźny. Alvin Hood — staranne, niemal drukowane litery. Pokój dwieście osiemnaście, dziesięć po pierwszej. Więc Alvin Hood zameldował się dziesięć po pierwszej. Dziewczyna przysięga, że go nie widziała, ale to znaczy, że po prostu nie

zwróciła na niego uwagi. I musiała dać mu klucz — zgubił go, na pewno zgubił i kiedy wrócił po ósmej, poprosił o drugi.

— A co z doktorem Pattersonem? — spytała.

Oboje spojrzeli na nią bezmyślnie.

— Czy jest też i karta doktora Pattersona?

Ale już zadając to pytanie wiedziała, że takiej karty nie ma i być nie może. Nie było żadnego doktora Pattersona. Był tylko Alvin Hood, który zameldował się dziesięć po pierwszej i znał numer swego pokoju przed wpół do drugiej. Tylko Alvin Hood.

Przejrzeni jeszcze raz wszystkie karty z ostatniego tygodnia. Na próżno.

Czy to Alvin Hood telefonował do Kima udając doktora Pattersona?

Rozdział szósty

Pogrzeb Alvina Hooda odbył się w poniedziałek po południu.

We wtorek rano Dennis Savage pojechał do wdowy. Nie było rady, musiał podjąć się tego niezbyt przyjemnego zadania. Harper chciał ją przesłuchać już w sobotę, ale zemdląła podczas identyfikacji zwłok.

Dom Hooda z dobrze utrzymanym ogrodem porośłym murawą i starannie przystrzyżonymi drzewami, świadczył o dobrobycie. Hood był zdolnym sprzedawcą, miał dar wyszukiwania obiecujących klientów. Jego notatnik pełen był nazwisk i numerów telefonicznych. W firmie, w której pracował, znano tylko nazwiska nabywców pianin, inne nikomu nie mówiły. Był lubiany i szanowany: pilny pracownik, dobry mąż i ojciec, zawsze płacił długi, sama solidność — żadnych wyskoków i niespodzianek.

Ale ktoś go zamordował. Więc najwidoczniej nie wszystko w jego życiu było tak kryształowo czyste.

Savage nacisnęła dzwonek. Kobieta, która mu otworzyła, nie była panią Hood. Starsza od niej, pulchna, o wyglądzie matrony. Spojrzała na niego pytająco. Pokazał jej legitymację.

— Policja — powiedział. — Nazywam się Savage. Bardzo mi

przykro, że państwa nachodzę, ale muszę koniecznie porozmawiać z panią Hood.

Skinęła potakująco głową, chociaż w oczach stanęły jej łzy.

— Jestem jej siostrą. Mieszkam w Saint John. Moje nazwisko Allbright. Nie bardzo sobie wyobrażam, jak pan będzie z nią rozmawiał. Jest całkiem załamana. Z nikim nie chce mówić, nawet z dziećmi.

— Bardzo mi przykro, proszę pani...

Badała go chwilę wzrokiem i zdecydowała, że jest szczerzy.

— To nie tylko sprawa szoku, okropnego co prawda, ale rozumie pan, Alvin nie żyje. Straciła go na zawsze. I musi to przyjąć do wiadomości, a nie chce. Jeszcze nie potrafi. Będzie musiała wychować czworo dzieci, z ubezpieczenia dużo nie dostanie, a nie ma żadnych dochodów. Kochała Alvina i to jest naprawdę tragedia. Ale musi postanowić, co dalej. I to natychmiast. Nigdy nie podejmowała decyzji w sprawach pieniężnych. Alvin był solidny i odpowiedzialny. Może za dużo wydawał na kosztowne zabawki dla dzieci, a na ostatnią gwiazdkę kupił Millie etolę z nurków, tak wspaniałą, że aż jej nosić szkoda. Millie nigdy nie pragnęła takich luksusów. Nie chciała tej etoli, odniosła ją. — Potrząsnęła głową. — Millie nic panu nie powie. Co ona może wiedzieć?

— Może przypomni sobie jakieś drobne szczegóły, z których wagi sama nie zdaje sobie sprawy. Każda pomoc nam się przyda.

Westchnęła, otworzyła drzwi i wpuściła go.

— Zobaczę, czy uda mi się ją namówić na rozmowę z panem. Ale ona nic nie wie. Ciągłe tylko rozpacza i powtarza, że nikt nie mógł zabić Alvina. To był taki dobry, porządny człowiek. Niepodobieństwo, żeby miał jakiegoś wroga.

Savage wszedł do małego hallu. Alvin Hood miał jednak wroga... a Fitzgerald nie wydawał się właściwym kandydatem, niezależnie od tego, co myślał Harper. Harper w gruncie rzeczy wcale nie myślał. W każdym razie nie o ludziach, tylko o zamknięciu sprawy. Zresztą czy był to Fitzgerald, czy kto inny, Hood miał jednego groźnego wroga.

Pani Allbright wprowadziła Savage'a do saloniku ume-

blowanego pretensjonalnie i bez smaku: pianino z włoskiego orzecha, ogromny telewizor, wyściełane fotele i kanapka, kilka stolików na wysoki połysk. Ani śladu książek, obrazów, trochę przypadkowych bibelotów. Dom Hoodów niczym nie przypominał domu Fitzgeraldów; nie wyglądało na to, aby państwo Hood i państwo Fitzgerald mieli ze sobą wiele wspólnego.

W hallu rozległo się szuranie. Weszła pani Hood, opierając się bezsilnie na ramieniu siostry. Znał jej wiek — trzydzieści lat. Z czworga dzieci żadne nie przekroczyło dziesięciu. Wyglądała dużo starszej; twarz miała szarą i pomarszczoną, czerwone, zapuchnięte oczy i potargane włosy. Podniosła bezwiednie dłoń i odgarnęła kosmyk za ucho. Powiedziała niepewnie:

— Nie mogę z panem rozmawiać.

— Wiem. Bardzo przepraszam, ale musiałem tu przyjechać. Przecież nie odzyska pani spokoju, póki nie odkryjemy, kto zabił pani męża.

— Spokoju? — Ostrożnie przysiadła na skraju sofy. — Alvin nie żyje, tylko o tym potrafię myśleć. Nie żyje.

Savage ustawił swoje krzesło na wprost niej.

— To straszne słowo „nie żyje”. Trudno w to uwierzyć. Ale to niestety prawda. I ktoś go zabił, ktoś zły i okrutny. Morderca musi zostać zdemaskowany i ukarany. Więcej, człowiek, który raz zabił, łatwo zdobywa się na drugą zbrodnię. Musimy go znaleźć, a pani może nam pomóc.

— Wcale mi nie zależy, żeby wam pomóc. Nie obchodzi mnie, kto jeszcze zostanie zabity. Alvin nie żyje. Reszta nie jest ważna.

— Millie, Millie — łagodnie wtrąciła siostra. — To wcale do ciebie niepodobne. Nie możesz tak myśleć. — Usiadła obok i otoczyła ją ramieniem. Zwróciła się do Savage'a: — Alvina zabito w hotelu, gdzie kręci się mnóstwo ludzi, którzy przecież widzą, co się dzieje. I jeszcze nie wiecie, kto to zrobił?

— Mamy jednego podejrzanego. Ale nie widzimy żadnego związku między nim a panem Hoodem. Absolutnie żadnego. A przecież coś ich musiało łączyć. Proszę mi powiedzieć, czy wiedziała pani, że mąż ma być w piątek wieczorem w tym hotelu?

Milczała długo i Savage myślał już, że nie słyszała jego pytania. Wreszcie odezwała się:

— Wiedziałam, że wybiera się do hotelu.

— Po co?

Zdziwiła się.

— Jak to po co? Żeby się spotkać z klientem. Zawsze tylko po to wychodził. Na pewno umówił się z klientem.

— Czy często umawiał się z klientami w hotelu?

— Najczęściej u nich w domu. Nie wiem. W notesie miał zawsze pełno nazwisk.

— Nie powiedział pani, z kim ma się spotkać w piątek?

— Chyba nie. I tak bym zresztą nie zapamiętała. Nie zwracałam na to uwagi. Przeważnie chodziło o kogoś z prowincji, kto interesował się kupnem fortepianu. Alvin był bardzo dumny, kiedy udało mu się sprzedać fortepian. Dostawał wysoką prowizję. — Zamyśliła się. — Był bardzo ambitny. Chciał, żebyśmy mieli wszystko, co najlepsze. Zeszłej wiosny napomykał o kupieniu domku w Muskoka, gdzie latem jeździ wielu jego zamożnych klientów. Mówił, że to będzie dobre dla dzieci. I dla niego, bo pozna nowych ludzi. Mieszkałabym tam z dziećmi przez wakacje. — Podniosła wzrok na Dennisa. — Nie miałam wielkiej ochoty rozstawać się z Alvinem na całe lato, nawet gdyby przyjeżdżał na wszystkie weekendy.

Savage powtórzył powoli:

— Muskoka? To duży obszar. Setki mil i mnóstwo jezior. Czy wymieniał konkretną miejscowość?

— Nie, tylko Muskoka. Mówił, że to bardzo modne miejsce. Wszyscy ludzie, którzy się liczą, chcą mieć domek w Muskoka. To kawał drogi stąd, przeszło sto mil na północ, ale on nie uważał, żeby to było daleko. Zajechałby tam w dwie godziny. Bardzo był tym przejęty. Zabrał nas wszystkich dwudziestego czwartego maja, w Dzień Zwycięstwa, żebyśmy sobie to obejrzeli.

— Rozumiem — rzeki Savage, ale nic nie rozumiał. Dwudziestego czwartego maja. Kimball Fitzgerald ożenił się dwudziestego piątego maja tutaj, w Toronto. Nie w Sugar River

w Muskoka.

— Wcale mi się tam nie podobało. Daleko i pogoda też nie była ładna. Pochmurno i wietrznie. Dzieci nie chciały nawet wysiąść z samochodu. Zjedliśmy lunch w wozie i wróciliśmy do domu. Tak jakoś pusto tam było i zimno. Bezludnie. Nie obejrzelśmy właściwie żadnego domku. Alvin też chyba był zniechęcony. W którymś miasteczku poszedł do drugstore'u, żeby spytać o domki do wynajęcia, ale chyba niczego się nie dowiedział. Wtedy zrezygnował i wróciliśmy.

Po dłuższej chwili Savage zapytał ostrożnie:

— Pamięta pani, jak się nazywało to miasteczko?

— Nie, nie pamiętam. Jechaliśmy brzegiem rzeki w stronę jeziora i tam gdzie rzeka wpada do jeziora, zatrzymaliśmy samochód i zjedliśmy lunch. Fale w jeziorze były szare i ponure. Niedaleko stały dwa domki, ale okiennice były zamknięte, zresztą i tak nie wyglądały przytulnie. Jakieś takie stare i koślawe, chociaż świeżo, pomalowane na żółto. Wcale bym nie chciała mieć tam letniego domku. Nie lubię samotności.

Tak więc dwudziestego czwartego maja Alvin Hood pojechał do Sugar River i tam o coś rozpytywał. O co? O Fitzgeralda? Dwa żółte domki, o których mówiła wdowa, stały po drugiej stronie rzeki. Savage zauważył je jadąc do Domu nad Łąką. I Hood wydawał się zmartwiony. Wszedł do drugstore'u? Może idąc za tym śladem uda się trafić na coś ważnego. W każdym razie Hood miał jakieś kłopoty.

— Czy potrafiłaby pani przypomnieć sobie cokolwiek, co zdarzyło się, powiedzmy, w ciągu ostatniego roku w związku z pani mężem, a co odbiegało od codziennej rutyny? Jakiś szczegół, drobny fakt?

Nie odpowiedziała. Znowu zaczęła płakać i przycisnęła wilgotną chusteczkę do oczu. Pani Allbright wtrąciła się:

— To smutne pytanie, proszę pana. Przypomina jej całą dobrą przeszłość z Alvinem.

— Zdaję sobie z tego sprawę, wiem, jakie to wszystko bolesne, ale bezwarunkowo musimy wiedzieć, czy pan Hood nie był przypadkiem ostatnio zatroskany, czy nie wpadł w jakieś

tarapaty?

— Alvin nigdy nie wpadał w żadne tarapaty. Znaliśmy się całe życie, był z gruntu porządnym chłopcem i wyrósł na przyzwoitego mężczyznę. W jakie tarapaty mógł popaść?

— Może to nie były jego kłopoty, wcale tego nie sugeruję, ale czy nigdy nie był zgębiony, zmartwiony, nieswój?

— Czasem trafiał się klient niezdecydowany — przeważnie kobieta — i Alvin dobrze wiedział, że od niej zależy decyzja, ale zawsze zaślaniała się mężem, że niby on nie chce dać pieniędzy na pianino, i Alvin musiał chodzić pięć czy sześć razy, zanim udało mu się ją przekonać. W listopadzie zeszłego roku był zatroskany. Nic jakoś nie mógł sprzedać. Klienci odkładali zakupy na grudzień, żeby pianino było od razu prezentem gwiazdkowym. Alvin wiedział, że tak bywa, ale irytował się i martwił.

— I co? Udało mu się w końcu przeprowadzić większą transakcję i uspokoił się?

— W pewnym sensie. Myślę, że dalej się gryzł, chociaż znalazł kupca na najdroższy fortepian. Zainkasował sporą prowizję. Ale przez całą zimę był bardzo nerwowy. Za dużo pracował, żeby zarobić na ten domek w Muskoka. Nie wiedziałam o tym, bo nic mi nie mówił, aż dopiero przed tą naszą wycieczką...

— Więc od listopada do maja był rozdrażniony i nieswój, a potem znowu się zmienił?

— Chyba tak. Jakby po tej wyprawie do Muskoka przestało mu na tym zależeć. Przez tę brzydką pogodę i w ogóle. No i mnie się tam nie podobało. Mamy własny basen w ogródku. Dzieciaki mogą sobie do woli popływać. Nie chciałam wyjeżdżać, kiedy Alvin musiał siedzieć w mieście — głos jej się załamał.

— Nie bardzo tu jest się o co zahaczyć. Czy myśli pani, że mógł mieć jakieś przykrości w pracy? Może wymienił kiedyś jakieś nazwisko, mówił o kimś, kto mu działa na nerwy?

— Nie, nigdy.

— Czy były do niego jakieś listy, telefony niejasne dla pani? Których pani nie tłumaczył, pomiął milczeniem?

Pani Allbright, ciągle obejmująca siostrę wpół, podniosła na

niego nagle wzrok i ściągnęła brwi, jakby próbując sobie coś przypomnieć. Nie odezwała się jednak. Pani Hood powiedziała:

— Nic takiego nie było. Zawsze po rozmowie telefonicznej mówił mi, o co chodzi. — Zawahała się. — Pięć czy sześć dni temu odebrałam dziwny telefon. Ale to nie dotyczyło Alvina. Jakby chcieli coś sprawdzić. Myślę, że to był nowy pracownik.

— Nowy pracownik? Kto?

— Powiedział, że jest z Kanadyjskiego Urzędu Telegraficznego. Spytał, do kogo należy telefon, i poprosił o adres. Trochę mnie to zdziwiło i przestraszyłam się, bo moja matka choruje od dłuższego czasu, więc każda depesza... Ten człowiek znał nasz numer telefonu i nie rozumiem, po co pytał o adres i nazwisko. Kiedy mu je podałam i zapytałam, jak brzmi depesza, wyłączył się.

— Zadzwoń pani do Urzędu Telegraficznego?

— Po co? Gdyby mieli dla mnie depeszę, sami by przecież zadzwonili.

— Chyba to była pomyłka. Kiedy to się stało?

— Nie pamiętam. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Niech pani postara się sobie przypomnieć. Co pani wtedy robiła?

— Prałam, więc musiał to być poniedziałek. Przybiegłam z piwnicy nie wiadomo po co. Poniedziałek... — pomyślała chwilę — nie. Wtorek. Nie mogłam pracować w zeszły poniedziałek, bo padał deszcz. Wtorek rano. Zadzwoił telefon i przerwałam pranie. — Zaczepnęła tchu i wyprostowała się, jakby zdecydowana mimo wszystko coś mu powiedzieć. — Nie wiem, czy to ważne, ale tej nocy, to znaczy w czwartek wieczorem, był na mnie o coś wściekły. Nie wiem o co. Nigdy się na mnie nie gniewał i łamałam sobie głowę, co złego zrobiłam, ale na próżno. To jest okropne, bo przecież to była ostatnia noc. Naza-jutrz był piątek — wybuchnęła rozpaczliwym łkaniem. Ponad jej schyloną głową pani Allbright spojrzała na Savage'a z wyrzutem.

— To może mieć wielkie znaczenie, proszę pani — powiedział łagodnie. — Proszę mi wybaczyć.

— Millie, Alvin nie gniewał się na ciebie. Nigdy się na ciebie

nie złościł, kochał cię nad życie. Na pewno chodziło o coś innego. Opowiedz nam, jak to było.

— Nie był zły na mnie? Nie uraziłam go w jakiś sposób tego ostatniego wieczoru?

— Nie, na pewno nie. Powiedz nam wszystko.

Savage siedział bez ruchu. Po niemal pół godziny pani Hood zaczęła mówić.

— W czwartek wieczorem grywam w brydża w klubie. Z paniami z Nowego Brunswiku. Zawsze tam chodzę. Alvin nigdy nie umawia się z klientami na czwartek wieczór, tylko zostaje w domu z dziećmi. Wysłałam o ósmej i Alvin był taki jak zawsze, nawet miłszy niż zimą, kiedy martwił się o pieniądze. Znowu zachowywał się jak dawniej. A potem, kiedy wróciłam o jedenastej, siedział tutaj w ciemności. Nie oglądał swojego ulubionego programu w telewizji, tylko tak sobie siedział. Nie odezwał się do mnie. Wstał i poszedł do łóżka nie mówiąc słowa i kiedy sprawdziłam, czy wszystko pozamykane, i weszłam, na górę, udawał, że śpi. Nie odpowiedział mi na pytanie, co złego zrobiłam. Milczał jak zakłęty.

— Zgadzam się z pani siostrą. Jestem przekonany, że to nie pani była powodem jego nastroju. Wygląda na to, że chciał przemyśleć jakiś problem. Może ktoś w jego firmie popełnił omyłkę, takie rzeczy się zdarzają. Ktoś zadzwonił do pani męża, to co usłyszał, zdenerwowało go i zastanawiał się, jak postąpić.

— Tak pan sądzi?

— To jest logiczne, proszę pani.

Pani Allbright nadal go obserwowała. Była mu wdzięczna za to zapewnienie. Nie miał zamiaru zranić jej siostry, zachowywał się zyczliwie. Więc może powinna mu też okazać pomoc?

Wstała nagle z sofy. Szybko przeszła przez pokój kierując się do małej jadalni. Otworzyła szufladę kredensu i wyjęła z niej kopertę i płaską paczuszkę.

— To przyszło chyba w sobotę rano. Przed dwunastą pojechałaś zidentyfikować zwłoki. Dzieci posłałaś do Moorów i w domu nie było nikogo. Po powrocie na pewno nie byłaś w stanie nic zauważyć. Ale kiedy w sobotę wieczór sprawdzałam,

czy drzwi są zamknięte, zobaczyłam, że to leży na podłodze w hallu, ktoś wrzucił chyba przez otwór na listy. — Podała siostrze paczkę. — Zaadresowane do Alvina.

— Na pewno rachunek telefoniczny — powiedziała posepnie pani Hood. Spojrzała na paczkę. — Nie wiem, co to takiego. — Przyjrzała się stempłowi pocztowemu. — Dziwne. Właśnie rozmawialiśmy... — zawahała się. — Alvin nie znał nikogo w Sugar River. Kto mógł mu stamtąd przysłać paczkę?

— Proszę otworzyć, jeśli pani łaskawa.

Obracała ją w rękę, jakby nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Pani Allbright poszła do kuchni i wróciła z małym ostrym nożykiem. Rozcięła nim gruby, ciemny papier. Paczka była starannie zawinięta, z obu stron zaklejona taśmą. Savage wiedział, co w niej będzie. Miał absolutną pewność. Płaska paczka pięć cali na trzy. Pieniądze.

Pani Allbright powiedziała niedowierzająco;

— Strasznie dużo pieniędzy — przeliczyła banknoty. — Millie, tu jest pięćset dolarów! Czy to nie nadzwyczajne? Ktoś był winien Alwinowi pięćset dolarów i zwrócił je właśnie, kiedy tak bardzo potrzebujesz pieniędzy!

Skrawek białego papieru upadł na podłogę. Savage schylił się. Na kartce widniało jedno zdanie napisane na maszynie: „To już zdecydowanie ostatni raz”.

Pani Hood rozejrzała się bezradnie.

— Nikt nie był winien Alwinowi pięćset dolarów. Powiedziałby mi. Alvin nie znał nikogo w Sugar River. To musi być jakieś nieporozumienie.

Savage obejrzał znaczek pocztowy na opakowaniu. Stempel był wyraźny. Sugar River, Ontario. A data? Zeszły czwartek. W przeddzień morderstwa.

Kimball Fitzgerald posłał Alwinowi Hoodowi pięćset dolarów w czwartek, ale Hood nie otrzymał ich do południa w .piątek i zadzwonił do Fitzgeralda do Sugar River.

Jasne jak słońce. Hood zażądał spotkania w piątek wieczór. Harper powiąże to wszystko razem, zanim człowiek zdąży odetchnąć.

Wszystko pasuje znakomicie...

Rozdział siódmy

Melissa leżała na niewygodnym hotelowym łóżku pół-przytomna z wyczerpania, na pograniczu snu i jawy. Przedzierała się przez gęsty, mroczny las, próbując wydobyć się z płataniny nieprzebytych gałęzi. Ziemia była grząska, zdradliwa, nogi jej się zapadały i mimo wysiłków nie posuwała się naprzód. Było ciemno, żaden promień słońca nie docierał do miejsca, w którym się znajdowała, do posępnej i tajemniczej gęstwy pod olbrzymimi, groźnymi drzewami.

Nazwiska, słowa i myśli kłębiły się w jej zamroczonej głowie. Vandenberg. Mówi, że nazywa się Weronika Vandenberg. Sara pracowała u panny Coral Vandenberg. Zbieg okoliczności? Groźba, ostrzeżenie? Koszmar wracający po latach? Zaciskająca się pętla?... Matka Kima bała się dziewczyny, która nazywała się Weronika Vandenberg. Matka Kima była tak przerażona, że umarła... Nie, nie. Nie to przecież było przyczyną.

Nie pozwolili jej się dziś zobaczyć z Kimem. Powinna była się z nim zobaczyć. Powiedzieć mu, że doktor Patterson nie istnieje, nigdy nie istniał, że to Alvin Hood telefonował do niego, udając słaby starczy głos i podstępnie skłonił go, żeby przyszedł do hotelu o dziesiątej... Nie, nie. Alvin Hood nie żyje. Kim nie znał go i on nie znał Kima. Dlaczego obcy człowiek chciał, żeby Kim przyszedł do hotelu?

Gdzie jest Sara?

Kim... Kim nie chce prywatnego detektywa. Sam pomyśl go przestraszył. Dlaczego? Czy wie, a może cały czas wiedział, że nie ma żadnego doktora Pattersona? Nie, to niemożliwe. Zupełnie niemożliwe. Kim był tak samo oszołomiony i zagubiony jak ona, usiłująca znaleźć drogę przez mroczne bagnisko pod drzewami.

Zwisająca gałąź tłucze o pień drzewa. Łomocze bez przerwy. Gdyby na chwilę przestała, może udałoby jej się zasnąć. We śnie nie będzie myślała i może przestanie się bać. Ale łomot nie

ustawał. Robił się coraz głośniejszy. Zdobyła się na wysiłek i otworzyła oczy. Przez chwilę nie mogła się połapać, gdzie jest, skąd się wzięła w tym brzydkim, przegrzanym pokoju.

Ktoś pukał do drzwi.

Wstała z łóżka. Może nie powinna otwierać? Co czai się za zamkniętymi drzwiami?

Otrząsnęła się z resztek snu i przekreśliła klucz w zamku. Na progu stał Latourelle w lekkim, jasnym ubraniu i koszuli z wyłożonym kołnierzykiem. Spoglądał na nią ze współczuciem, czułością niemal.

— Pan Parsons powiedział mi, gdzie cię szukać. Czy mogę wejść?

— Ja śpię... spałam. To ładnie z twojej strony i pan Parsons też jest dobry, ale rozumiesz, powiedziałam mu, że nie mogę jechać do domu. Nie widziałam się z Kimem.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi.

— Idź i oplucz zimną wodą swoją śliczną twarzą. Twoje oczy błędzą po bezdrożach.

Posłusznie skierowała się do odrapanej łazienki, zwilżyła róg ręcznika i przetarła nim twarz. Przycisnęła chłodne płótno do oczu. Otrzeźwiło ją to, majaki rozproszyły się. Odłożyła ręcznik, pocesała się i wróciła do pokoju. Latourelle stał nadal koło drzwi, rozglądając się z zainteresowaniem.

— Wygląda tu jak w starym francuskim trzeciorzędnym pensjonacie. Inna atmosfera, ale za to ten sam rodzaj niewygód — zbliżył się do niej. Przez moment Melissa myślała, że chce położyć rękę na jej ramieniu, może nawet pogłodzić ją po policzku. Ale nie zrobił tego. — Parsons powiedział mi, dlaczego się tu zatrzymałaś. Nie widzę cię w tej roli. Powinnaś była zwrócić się do mnie, Melisso. I co? Znalazłaś tego staruszka, jak mu tam, doktora Pattersona?

Potrząsnęła głową. Po chwili powiedziała cicho:

— Nie mieszkał w pokoju dwieście osiemnaście. Alvin Hood, ten, którego zabito, zameldował się w tym pokoju około pierwszej. Więc nie mógł tam wtedy mieszkać doktor Patterson.

Wyciągnął płaską złotą papierośnicę i zapalił papierosa, nie

odrywając od jej twarzy spojrzenia jasnych, nieomal przezroczystych oczu.

— Czy Patterson powiedział Kimowi, że jest tu zameldowany? Nie zrozumiała.

— Mógł być przyjacielem tego Hooda. Nie musiał wcale mówić, że tu mieszka. Obiecał, że będzie w pokoju dwieście osiemnaście o dziesiątej. Jak widzisz, rozmawiałem z Parsonsem. Nic więcej Patterson Kimowi nie mówił, o ile mogłem się zorientować.

Poczuła, że budzi się w niej nadzieja.

— Na pewno masz rację. Naturalnie. A jeśli tak było...

Słowa zawisły w powietrzu. Właściwie co za różnica?

Inne poszlaki...

— Nie możesz tu zostać, kochanie. Czy jadłaś coś dzisiaj?

— Nie. Czekałam. Nie jestem głodna. Zasnęłam, chyba długo spałam — spojrzała na zegarek. Zbliżyła się czwarta. Nie powinna była spać, musi przecież ratować Kima.

— Musisz coś zjeść — rozejrzał się po pokoju, dostrzegł na krześle otwartą walizkę. — Czy walizka jest zapakowana? Masz jakiś płaszcz?

— Latourelle, nie mogę stąd wyjechać. Przynajmniej dopóki nie skomunikuję się z Kimem. Pan. Parsons miał mu przekazać wiadomość, gdzie jestem. Teraz to już na pewno nie potrwa długo.

— Napijesz się herbaty, jeśli zamówię ją tu do pokoju? Zjesz parę kanapek?.

— Nie, bardzo cię proszę, tylko herbatę.

Zatelefonował na dół. Melissa odsłoniła okno. Pokój był po wschodniej stronie, nie docierało już do niego słońce.

Ulica na dole była zaśmiecona i brzydka, naprzeciwko stał rząd odrapanych domów.

Nagle uderzyła ją nowa myśl. Spojrzała mu wprost w oczy. Pan Parsons zastał go wczoraj u nich w domu, jakby był przyjacielem jej i Kima. Dlaczego tu przyszedł? Czy przysłał go pan Parsons?

— Latourelle, powiedziałaś, że nie mogę tu zostać, jakby... Powiedz, czy przysłał cię tutaj pan Parsons? Żebyś zawiózł

mnie i Kima do Sugar River? Czy żebyś mnie zawiadomił...

Nie spuszczał z niej badawczego, uważnego spojrzenia.

— Powinienem być się uprzeć i pojechać z tobą już wczoraj. Myślałem nawet o tym, ale oczywiście nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy z powagi sytuacji. Parsons jest zupełnie skołowany. Stracił głowę. Jest zbyt prostolinijski, jak-na prawnika. Nie wiem, dlaczego człowiek tego pokroju wybrał taki zawód. Bardziej nadaje się na świętego Mikołaja niż na sprytnego adwokata.

Zapukano do drzwi. Latourelle otworzył: stary, zgarbiony kelner przyniósł tacę. Latourelle wziął tacę od niego, dał mu napiwek, wrócił do pokoju i postawił tacę na komodzie. Nalał herbaty do filiżanki.

— Mleko i cukier, Melisso?

Potrząsnęła głową. Wetknął jej filiżankę w dłonie.

— Wypij — powiedział stanowczo. — Nie jadłaś od niepamiętnych czasów.

Upiła nieco, ale nie mogła zmusić się do przełknięcia. Odstawiła filiżankę i- spojrzała mu w twarz.

— Powiedz mi...

Nie ukrywał współczucia.

— Kim został aresztowany.

Świat pociemniał jej w oczach. Uchwyciła się brzegu komody. Latourelle objął ją i lekko podtrzymał. Przycisnęła twarz do jego ramienia i stała tak odrętwiała, skamieniała z rozpaczy.

— Teraz go przesłuchują. Rozpoczęli normalne śledztwo, badają wszystko od początku. Może wreszcie rozjaśni im się w głowie. Policja nie jest aż tak głupia. Rzeczywiście chce dotrzeć do prawdy. — Delikatnie pogładził ją po plecach.

Melissa ocknęła się, odsunęła od niego i usiadła na brzegu łóżka.

— Dlaczego go zaaresztowali?

— Dziś rano znaleźli w mieszkaniu Hooda paczkę pieniędzy — pięćset dolarów i liścik. Nie wiem, co w nim było. Uważają, że to pieniądze z szantażu. Zgadza się to z ich koncepcją. Wreszcie trafili na coś konkretnego. — Wzruszył ramionami. — Nie mogą przejść nad tym do porządku.

— Ten list był od Kima?

— Policja na pewno tak sądzi.

— Szantaż? Ale na jakim tle, Latourelle? Dlaczego? Jak można szantażować Kima? Człowiek musi mieć na sumieniu straszne rzeczy, jeśli daje się szantażować. Kim ma czyste sumienie! Nie mógł zrobić nic złego! Jaki był według nich powód szantażu?

— Tego właśnie nie wiedzą. — Przysiadł na chwiejnym drewnianym krześle, daleko od łóżka. — Melisso, nie możesz tu zostać. I nie możesz mieszkać sama na wsi. Czy masz w Toronto jakichś przyjaciół?

— Byłam tu tylko miesiąc, zanim poznałam Kima. Mieszkałam w pensjonacie — zakryła twarz rękami, próbowała zebrać myśli. Nie można oddalać się od Kima, musi mu znaleźć dobrego obrońcę i porozmawiać z nim.

— Parsons przyjedzie tu jutro rano. Umówił się z Pad- dym Corcoranem. Całe szczęście. Corcoran to najlepszy specjalista od spraw kryminalnych w kraju. Parsons zaprowadzi go do Kima. Nie masz tu właściwie nic do roboty. Po prostu będziesz w kontakcie z Corcoranem, jeśli zgodzi się wziąć sprawę.

— Jeśli się zgodzi? A czy może odmówić?

— Nie sądzę, żeby odmówił. Zorientuje się natychmiast... — przerwał — kiedy zobaczy ciebie i Kima... — znowu nie dokończył. — Przyszło mi do głowy, że mógłbym zabrać cię do mojej siostry. Mieszka tu w Toronto, nazywa się Lea Faunce. Młodsza ode mnie. Jest samotna, ma duży dom i samochód. Zawiezie cię wszędzie w razie potrzeby. Będziesz przecież musiała jechać po rzeczy dla siebie i Kima. Jeśli chcesz, pojedę z wami. — Uśmiechnął się. — Wyświadczysz mojej siostrze wielką przysługę. Przeżywa ciężkie chwile. Wyszła za człowieka, w którym była bardzo zakochana. Porzucił ją. Właśnie przeprowadzili rozwód i trudno jej się przystosować do nowej sytuacji. Bardzo jej dobrze robi, jeśli będzie miała cokolwiek do roboty, kogoś, kim by się mogła opiekować. O kim by mogła myśleć.

— Latourelle...

Wstał, podszedł do komody, pootwierał szuflady, znalazł jej

szczotkę do włosów i włożył do walizki. Zamknął wieko i wziął walizkę.

— Chodź — powiedział. — Lea czeka na ciebie. Ma miły domek, chłodny i spokojny. W takim pokoju jak ten każdy wpadłby w melancholię. Chodź, Melisso.

Rozdział ósmy

Lea Faunce była osobą niepozorną, nie rzucającą się w oczy. Niewiele młodsza od Kima, była drobna, nieco wyższa od Melissy, z płaską, chłopięcą figurą i małą twarzą, ot taką sobie — ani ładną ani brzydką. Nosila ciemne okulary, które zakrywały jej oczy. Włosy rzadkie i cienkie, przycięte były bardzo krótko, jakby zrezygnowała z prób ułożenia ich w bardziej skomplikowaną fryzurę. Miała cichy głos i przeważnie milczała. Ale zajęła się Melissą energicznie i troskliwie. Z miejsca zaprowadziła ją do pokoju, nalała wody do głębokiej bielutkiej wanny, dosypała pachnących konwaliał soli kąpielowych. Upewniła się, że Melissa ma szlafrok i nocną koszulę, przyniosła nocne pantofle, elastyczne i wygodne. Kiedy Melissa wróciła po kąpieli, zastała w pokoju Leę z tacą. Był tam przestudzony bulion, cieniutkie kromki chleba z ogórkiem i mleko. I pigułka nasenna.

— Warto ten dzień przespać — powiedziała Lea, nalegając, żeby Melissa zażyła pigułkę. Była dopiero piąta po południu, ale co za różnica? Lea miała rację. Ten dzień nadawał się do skreślenia z kalendarza.

Teraz dochodziła pierwsza w nocy i Melissa była całkiem rozbudzona, pełna lęku i gorączkowego podniecenia.

Wstała z łóżka. Chciała napić się wody. Chciała porozmawiać z Latourellem, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Czy Latourelle mieszka tu z siostrą? Nie orientowała się. Dużo podróżował. Najprawdopodobniej nigdzie nie mieszkał na stałe. Nie mówił jej, czy się tu zatrzymał. Ale nawet gdyby tak było, to na pewno śpi.

Otworzyła drzwi i wyszła do hallu, dzielącego frontowe

pokoje od sypialni. Kuchnia jest chyba gdzieś na prawo.

Jeśli trafi, przyrządzi sobie wodę z lodem w. wysokiej szklance. Przeszła przez hall i znalazła kuchenne drzwi. Zapaliła światło i otworzyła lodówkę. Ucieszył ją widok dzbanka z zimną wodą. Zdjęła z półki szklankę, napełniła ją i wypila duszkiem. Nalała po raz drugi i zamknęła lodówkę. Wychodząc z kuchni, dostrzegła za ciemną jadalnią przyćmione światło w dużym frontowym pokoju. Bezszelestnie podeszła w tamtą stronę i zobaczyła Latourelle'a siedzącego samotnie w półmroku. Siedział z czołem opartym na dłoni, nie paląc, nie czytając. Nic nie robił, po prostu siedział.

Stała na progu w długim, niebieskim negliżu sięgającym podłogi, rozpuszczone włosy spływały jej połyskliwą falą na plecy. Niczym nie zmaciła ciszy, ale Latourelle odwrócił głowę powoli, z łękiem niemal, i utkwił w niej nieobecny wzrok, jakby była zjawą, dalszym ciągiem jego myśli.

Powiedziała cicho:

— Chciało mi się pić.

Wstał i podszedł bliżej. Dalej wpatrywał się w nią bez słowa. Jego oczy ogarnęły ją całą, jakby próbował ocenić, czy zmieści się w ramach obrazu. Oczywiście na wszystko spoglądał jak na temat malarski. Jak zwykle artyści.

Po chwili odezwał się zupełnie normalnym głosem:

— Przespałaś się? Wyglądasz znowu jak człowiek. Spałaś?

— Znakomicie spałam... Latourelle?

— Tak.

— Muszę z tobą porozmawiać. Muszę zapytać cię o parę rzeczy.

Wyjął z jej ręki szklankę z wodą. Usadowił ją na pluszowym fotelu i odstawił szklankę na niski stolik. Na stoliku na srebrnej tacy stała piękna karafka z kutego srebra i kieliszki w różnych kolorach. Wybrał bładoniebieski; sam pil z bursztynowego, ale niebieski harmonizował z jej neglizem.

— Koniak — powiedział. — Parę łyków dobrze ci zrobi.

Posłusznie podniosła kieliszek do ust. Dobry Latourelle. Upiła nieco koniaku z niebieskiego kieliszka i od razu poczuła się lepiej.

Latourelle nie był podobny do nikogo z jej znajomych. Nie był stary w gruncie rzeczy — czterdziestka to jeszcze nie starość. Ale miał jakąś mądrość. Patrząc w jego oczy odnosiło się wrażenie, że wie wszystko. Należał do osób, które Kim rzadko wspominał. Właściwie wcale o nim nie mówił. Nie mieli ze sobą nic wspólnego; byli diametralnie różni. Nie bardzo umiałyby wytłumaczyć, na czym to polega. Kim był skryty, zamknięty w sobie, nigdy nie widziała, aby wobec kogokolwiek był wylewny. Serdeczność i czułość okazywał tylko jej jednej. Był pełen rezerwy, powściągliwy, czasem nawet wyniosły. Miał trudny start; przeżył ciężkie chwile: umarł mu ojciec, chorował, musiał odmawiać sobie wielu normalnych rozrywek wieku chłopięcego.

O co chciała zapytać Latourelle'a? Teraz była wypoczęta, miała jasny umysł, nie bała się już tak przeraźliwie. Nadszedł czas, żeby przemóc się i spojrzeć prawdzie w oczy.

Nie pytał, o czym chce z nim rozmawiać. Wyjął papierośnicę, zapalił papierosa. W wielkiej popielniczce na stoliku pełno było niedopałków. Dlaczego siedział tu sam przez cały wieczór, paląc i popijając koniak? Lea poszła spać, a on po prostu został tutaj? Sprawiał wrażenie osamotnionego. Melissa uświadomiła sobie, że zawsze sprawiał takie wrażenie.

— Latourelle...

— Słucham, Melisso.

Rozważała, jak sformułować pytanie. Na nic się nie zdadzą uniki. Musi to pytanie zadać. Może jest głupie i niepotrzebne, ale chce znać na nie odpowiedź. Jeśli odpowiedź dotyczyć będzie odległych czasów — tym lepiej.

O tak, tak, o wiele lepiej. Ale jeśli nie...

— Kto to jest Weronika Vandenberg?

Jego ręce znieruchomiały w połowie gestu. Siedział bez ruchu, ze szklanką uniesioną do ust. Wreszcie po dłuższej chwili powiedział zwykłym tonem:

— Skąd wzięłaś to nazwisko?

— Przeczytałam w pamiętniku. Znałeś ją, prawda?

— A ty myślisz, że kto to był?

— Nie wiem. Ale chcę wiedzieć. Ona przed dziesięciu laty...

Data w pamiętniku była sprzed dziesięciu lat... I jej nazwisko...

— W jakim pamiętniku?

— Och, nie wiem, czy mogę ci powiedzieć, ale... To był dziennik matki Kima. Czytałam go.

— I co tam było o Weronice Vandenberg?

— Nic. Tylko matka Kima bała się jej. Bała się, że może skrzywdzić Kima. Była straszliwie tym przejęta. Rozumiesz, dlaczego musiałam cię o to zapytać? Dziesięć lat to szmat czasu, ale nie mogę przestać o tym myśleć.

I ta data... Matka Kima miała atak serca zaraz następnej nocy, zawieźli ją do Toronto i tam umarła. I Kim nie wrócił do domu, wcale już potem nie wrócił. Tak jakby... nie umiem tego wyrazić, ale pomyślałam, że może to, co tak przestraszyło wtedy panią Fitzgerald... odżyło. Rozumiesz, o co mi chodzi? I teraz, nagle...

— Mucha wydostała się z bursztynu? — Ponownie napełnił jej kieliszek.

— Znałeś ją?

— Nie — odrzekł z namysłem — nie znałem.

— Ale wiesz, kto to jest?

— Niedokładnie. Ale i tak pewien jestem, że Weronika Vandenberg nie ma nic wspólnego z obecną sprawą. Jeśli matka Kima bała się jej czy przez nią, to tylko dlatego, że nie życzyła sobie, nie podobało jej się i nie chciała dopuścić... — przerwał. — Melisso, Kim miał osiemnaście lat. Przez dwa lata był praktycznie kaleką, dopiero tamtej wiosny zaczął się z tego wydobywać. Osiemnaście lat. Dziewczyna, o którą pytasz, mieszkała przez jeden sezon — parę krótkich miesięcy — po drugiej stronie rzeki. Widywałem ją z Kimem. Chłopiec spędzał mnóstwo czasu na rzece, słyszałaś o tym chyba? Pani Holland na pewno ci opowiadała. Dziewczyna mieszkała z matką w tak zwanej chałupie Pottera. Stary Potter — miał zresztą kompletnego bzika — umarł tamtej wiosny i zostawił zrujnowany dom, parę akrów i kilkaset dolarów swojej siostrze, wdowie, niejakiej pani Vandenberg, która przeniosła się tu chyba z Quebec. Siostra miała córkę o trzy lub cztery lata starszą od Kima. Były biedne jak myszy kościelne. Mała nie mogła przyjąć

pracy. Zrozumiałem to, kiedy zobaczyłem jej matkę — najwidoczniej nie można było zostawić jej samej. Była jeszcze bardziej pomyłona niż brat. — Łaziła mamrocząc do siebie, boso, rozczochrana, w łachmanach... zachowywała się jak czteroletnie dziecko.

— A ta dziewczyna i Kim...

— Spotykali się. Z mojego orlego gniazda, zwłaszcza przy pomocy bardzo dobrej lornetki, Melisso, mogę do woli obserwować, co dzieje się w promieniu wielu mil. Nie przebywałem tu wiele tego lata, może przez tydzień czy dwa w końcu sierpnia. Ale widywałem tę parę. Widziałem, jak dziewczyna spieszy na spotkanie z Kimem, kiedy on przycumowywał łódkę na drugim brzegu. Znasz te dwa żółte domki? Teraz są wyremontowane. Ludzie, którzy je kupili, kiedy stara pani Vandenberg szczęśliwie umarła, wynajmują je letnikom. Wiesz, które to są?

— W dole rzeki? Przejeżdżaliśmy koło nich z Kimem.

— Tego lata stały puste. Sądzę, że Kim i dziewczyna używali jednego z nich jako schronienia w deszczowe dni. Domyślam się, co się zdarzyło... Nigdy się nad tym co prawda nie zastanawiałem, ale uważałem to za pewnik. Kim był zawsze bardzo przystojny. Dziewczyna była samotna, biedna, zrozpaczona. Przypuszczam, że bardzo serio traktowała coś, co dla Kima wcale nie było ważne. W żadnym wypadku nie można jej było nazwać piękną. Była mała i zręczna, bardzo ruchliwa, dobrze pływała, znakomicie nurkowała... — zawiesił głos.

— Pani Holland nic mi o niej nie mówiła. Tyle tylko, że obito jej się o uszy to nazwisko.

— Pani Holland nic przed tobą nie ukrywa. Na pewno po prostu o tym nie wiedziała. Co między nimi zaszło... No cóż, od czasu do czasu przejeżdżałem samochodem koło domku pani Vandenberg. Nie znałem zresztą wtedy tego nazwiska. Nie wiedziałem, kim jest dziewczyna. Dzień po dniu pojawiała się w swoim wypłowiałym zielonym kostiumie kąpielowym i spotykała się z Kimem. Nie miałem pojęcia, skąd przychodzi. Tak się złożyło, że szukałem modelki. Zawsze szukam modela. Ona miała dobrą figurę, była zgrabna, jak ci już mówiłem. Więc

pojechałem na drugą stronę rzeki, znalazłem starą zarośniętą drogę do chałupy Pottera i wszedłem, Jedno spojrzenie na matkę mi wystarczyło. Nie chciałem mieć do czynienia z dziewczyną.

— Nie poznałeś jej?

— Nie. Nie zetknąłem się z nią bliżej niż przez lornetkę. Jestem całkiem pewny, że Kim nigdy nie widział jej matki. Dom Pottera jest dość oddalony od rzeki, a stara była tłusta, powłoczyła nogami, nie zdobyłaby się na tak długi spacer. Gdyby ją zobaczył, po prostu współczułby dziewczynie jeszcze bardziej. Wyobrażam sobie, że i tak jej współczuł, jeśli oczywiście znał przynajmniej cząstkę prawdy.

— Może nie znał. — Melissa zamyśliła się. Samotny chłopiec, przystojny samotny chłopiec, niepewny, czy będzie kiedykolwiek pełnowartościowym mężczyzną spotyka tajemniczą dziewczynę... Są sami we dwoję w romantycznej scenerii... Kim-powiedział: „Nie było nikogo prócz ciebie, Melisso. Nigdy nikogo nie kochałem prócz ciebie. Nigdy nie dotknąłem żadnej innej kobiety”. Kłamał? Pociągnęła jeszcze łyk koniaku, trochę za duży, i zakrzuszyła się. Ale po chwili zrobiło jej się cieplej i ból nieco złagodniał. Teraz mogła już znowu myśleć.

— Czy inni ludzie widywali ich razem?

— Obcy. Może jacyś ludzie z łódek, ale też nie jestem pewien. Nie ma tam w pobliżu plaży. Tylko z moich okien widać to miejsce. Ja też znam to nazwisko tylko dlatego, że mnie to zaintrygowało. Byłem ciekawy. W miasteczku nie znano pani Vandenberg. Przyjechały tutaj akurat na początku sezonu turystycznego. Moim zdaniem jedyną osobą, która w ogóle wiedziała o ich istnieniu, był Ben Parsons. To on zajął się spuścizną po starym Potterze. Odnalazł spadkobiercę, to znaczy panią Vandenberg, i zawiadomił ją o spadku. Przekazał jej pieniądze na podróż. Kiedy przyjechała z córką, wyszedł po nie na stację, zawiózł samochodem na miejsce i o ile wiem, nigdy ich więcej nie widział.

Melissa oparła podbródek na dłoni i przerzuciła drugie ramię przez poręcz fotela. Patrzyła na Latourelle'a. Czowała się lekko,

beztrosko, wszystko stało się jakby mniej ważne. Latourelle też na nią spoglądał. Zapytał cicho:

— Czy Mellissa to zdrobnienie od Melisanda?

Melissa słyszała swój jakby odległy głos:

— Melisanda była kobietą-wężem. Albo rusalką. Mieszkała, w źródle dawno, dawno temu — oparła głowę o poręcz. — Moja matka nazywała się Melisanda. — Ocknęła się. — Co się z nimi stało, z tą dziewczyną i jej biedną starą matką?

— Nie wiem. Wyjechały, opuściły dom w końcu, wrześnie, wkrótce po śmierci matki Kima.

— Dlaczego matka Kima bała się tej dziewczyny? Jeśli nie był w niej zakochany, czego mogła się bać?

— Nie umiem na to odpowiedzieć. Ale znając matkę Kima, nie wątpię, że musiała się z czasem zorientować, co się święci. I wówczas postąpiłaby tak jak ja. Pojechałaby przez miasto na drugą stronę rzeki, żeby zobaczyć na własne oczy... — przerwał. — Mogła zetknąć się z matką, mogła nawet rozmawiać z dziewczyną.

Melissa odczekała sto uderzeń serca.

— To chyba nie była przyjemna rozmowa...

Zdała sobie nagle sprawę, że unoszą ją czyjeś ręce. Latourelle nie był tak wysoki jak Kim, ale miał mocne ramiona. Zaniósł ją do pokoju i położył na łóżku. Przykrył ją i wygładził poduszkę. Potem nachylił się i pocałował ją. Nie był to właściwie pocałunek, lekkie muśnięcie, lżejsze niż tchnienie. Ale poczuła go na swoich wargach. Poruszyła się, podniosła dłoń i starła go z ust. I zasnęła.

Rozdział dziewiąty

W piątek po południu Melissa została dopuszczona przed oblicze pana Paddy'ego Corcorana, według Latourelle'a najlepszego adwokata od spraw kryminalnych w kraju.

Sądząc po imieniu, domyślała się, jaki będzie. Irlandczyk, naturalnie. Jowialny brat-łata. Nie może być sztywny i oficjalny, skoro ludzie nazywają go Paddy.

Był to przede wszystkim olbrzym, największy mężczyzna, jakiego w życiu widziała. Siedział na szerokim skórzanym fotelu, za ogromnym biurkiem, na którym nie było nic, nawet popielniczki. Miał gęste, czarne włosy, sterzące na wszystkie strony, i okrągłą twarz o trzech podbródkach. Uśmiechał się cały czas, ale oczy pozostawały poważne. Ledwie widoczne spośród fałd tłuszczu, były lodowatozimne, chytre i podejrzliwe. Kiedy weszła, wstał z nieoczekiwaną zręcznością i z wdziękiem pochylił się nad jej ręką. Wskazał jej krzesło z drugiej strony biurka.

— To miło, że pani przyszła — uśmiechnął się czarująco. Przypatrywał się jej przez ułamek sekundy i Melissa wiedziała, że zdążył w tym czasie skatalogować ją, podzielić na poszczególne pozycje i wpisać do księgi głównej po przeliczeniu i zbilansowaniu.

Opadł na krzesło i złożył dłonie na biurku.

— Widziałem się z pani mężem przed paru godzinami. Pogadaliśmy sobie — zawahał się, obrzucił ją szybkim spojrzeniem i dodał: — Nie wątpię, że ta historia spędza pani sen z powiek. Nic dziwnego, to bardzo przystojny młodzieniec, droga pani. Irlandczyk, nawiasem mówiąc. Miał irlandzkich przodków, to znaczy normandzko-irlandzkich, nie czysto irlandzkich jak ja. Ja jestem produktem czystym, jeszcze dziś bez domieszek. Ale i w nim płynie irlandzka krew. A w pani? Chyba nie, co?

— Mój ojciec był Anglikiem z Kentu. Mam przodków francuskich, ale dość odległych.

— Te. czarne włosy... I biała cera. I szare oczy jak tafle jeziora. — Uśmiechał się ciągle. — Jest pani niezwykle piękną dziewczyną. Proszę mi nie mieć za złe, że to mówię. To czysto profesjonalny punkt widzenia. Urodziwą parę będziecie stanowić przed sądem. — Spochmurniał, — Trochę za piękną. Muszę już teraz się z tym liczyć...

— Za piękną?

— Nieważne. Sam sobie z tym problemem dam radę we właściwym czasie. A teraz proszę mi powiedzieć, czy pani myśli, że mąż popełnił to morderstwo?

Nie odpowiedziała. Patrzyła bez słowa, czując, że jego wzrok przenika jej myśli. Skinął aprobująco głową.

— W porządku. Jeśli pani woli milczeć przy mnie, proszę bardzo. Ale w sądzie nie można będzie obejść się bez słów. Czy myśli pani, że mąż jest winny?

— Nie.

— Właściwy ton — orzekł. — Więc uważa pani, że nie jest winny? Ale zna pani dowody, o ile wiem. Większość w każdym razie. Są to dowody bardzo przekonujące. Policja ma w rękę wszystkie karty, prócz jednej. Znaleźli nawet motyw — szantaż. Nie udało im się tylko na razie wpaść na powód szantażu. Jeszcze nie — przerwał. — Powiedz mi, Melisso, i tak ci będę mówił po imieniu, lepiej zacząć od razu — powiedz mi, Melisso, jak doszło do twojego małżeństwa z tym chłopcem?

Będzie to pamiętała do końca życia. Nowa praca w dużej księgarni. Ona na drabince — odkłada używane książki, które właśnie nadeszły, bardzo zakurzone. Odwróciła się, zaczęła powoli schodzić, a u stóp drabinki stał Kim i czekał. Spojrzał na nią i ona spojrzała na niego i od razu było tak, jakby wszystko zostało zdecydowane w czasie jednego długiego spojrzenia. Kierownik księgarni znał Kima. Wszyscy księgarze znali Kima.

— Poznałam go w księgarni, w której pracowałam. To wszystko. Kim nie ma żadnej rodziny, ja też nie. Miał zaraz wyjechać do Anglii na całe lato.

— Więc pobraliście się pewnego dnia po dwutygodniowej znajomości? Poznała go pani dziesiątego maja, a wyszła za niego dwudziestego piątego maja, tak?

— Jeśli pan wie, to po co pan pyta? — zachnęła się.

— Kiedy muszę cię, dziecko, pytać. To najważniejsza sprawa. Prokurator też cię o to zapyta. Będą to wałkować na wszystkie strony, Melisso. Zobaczysz, jak się tego uczepią! Oto spokojny pan profesor, intelektualista, mól książkowy, nie lata za kobietami, nawet plotkować nie ma tu o czym. Dwadzieścia osiem lat, przystojny, świetna partia, mnóstwo pieniędzy, jak mi wiadomo, chyba więcej, niż sobie wyobrażasz. I nagle grom z jasnego nieba! Poznaje jakąś dziewczynę i żeni się z nią. Jaki to człowiek? Impulsywny, gwałtowny, lekkomyślny, nawet

narwany. Nie liczący się z konsekwencjami. Rozumiesz? Właśnie ktoś taki mógłby popełnić brutalne i okrutne morderstwo, gwałtowne, lekkomyślne, nie troszcząc się o konsekwencje, w afekcie pod wpływem impulsu.

— Kim nie jest taki. Ślub ze mną to co innego niż morderstwo. Wie pan przecież!

— Co ja wiem, a co prokurator przedstawi przysięgłym, to dwie czy trzy całkiem różne rzeczy. I musimy być na to przygotowani. Jego usposobienie będzie się tu poważnie liczyło, moja ślicznotko. Proszę mi powiedzieć, czy w twojej przeszłości jest jakiś skandal? Cień skandalu? Mały wyskok? Nieco swobodne obyczaje? Przyjaźń z zonatym mężczyzną? Jakikolwiek powód do plotek?

Wygładziła niewidoczną fałdę na białym jedwabiu swojej spódnicy. Ręka jej drżała.

— W moim życiu nie ma żadnego skandalu.

— Ani śladu? U tak ślicznej dziewczyny? Chłopcy i dojrzały mężczyźni musieli cię podrywać jeszcze w szkole. Każdy, kto ma oczy, dośpiewa sobie resztę. Jak ci się udało uniknąć kłopotów?

Z wysiłkiem opanowała głos.

— Mieszkałam w małym miasteczku. Moja ciotka była przyzwoitą kobietą i bardzo mądrą. Tłumaczyła mi pewne rzeczy... Potrafiła mnie przygotować. A... — zamilkła.

— A? — czytał w jej myślach.

— A moja matka uciekła z kochankiem, kiedy miałam trzy lata. Było to straszne dla mojego ojca i przeraziło jego siostrę Mirę. Postanowiła wychować mnie tak, żebym nigdy nie poszła w jej ślady. I przystąpiła do tego rozsądnie, z miłością i tolerancją, jasno stawiając sprawę. Bardzo wcześnie ostrzegła mnie, że jestem... że na przykład z takimi włosami — zawsze byłam bardzo podobna do matki — mogę mieć kłopoty. Wytłumaczyła mi, jakie kłopoty i jak mam sobie z nimi radzić, i dlaczego. Kochałam ją i wierzyłam jej.

— Bardzo ładne było to opowiadanie, zapamiętaj je sobie. Może nam się przydać.

— Czy tego rodzaju sprawy będą poruszane na rozprawie?

Przecież to nonsens. Co moja przeszłość ma wspólnego z oskarżeniem Kima o zabicie człowieka, o którym nigdy nie słyszał?

— Ale ktoś o nim słyszał, Melisso. Może była to postać z twojej przeszłości? Bądź pewna, że to pytanie padnie. Bez żadnej wątpliwości. Czy jesteś absolutnie przekonana, że nigdy nie słyszałaś o człowieku nazwiskiem Alvin Hood? Czy możesz przysiąc na wszystko, że nigdy go nie widziałaś?

— Ręczę za to. Nigdy nie słyszałam tego nazwiska, nigdy się z nim nie zetknęłam. Bo i skądże? Mieszkałam w Toronto zaledwie trzy tygodnie i cztery dni, zanim spotkałam Kima. Czy Alvin Hood był w Edgeley? Nigdy stamtąd nie wyjeżdżałam. Póki chodziłam do liceum, pracowałam w księgarni po godzinach szkolnych i w soboty. Potem zapisałam się na korespondencyjne kursy angielskiego i historii na uniwersytecie i pracowałam w miejscowym sklepie z upominkami. Nadal mieszkałam z ciotką Moirą, aż do jej śmierci zeszłej wiosny. Nie miałyśmy pieniędzy na podróż. Zresztą w ogóle nie miałyśmy pieniędzy. Gdzie mogłam spotkać Alvina Hooda?

— Właśnie to jest problem. — Otworzył szufladę biurka, wyjął złoty, mocno starty ołówek i zaczął obracać go w palcach. — Twoją przeszłość możemy odfajkować. Jest czysta jak lza. Teraz zajmijmy się twoją matką. — Podniósł rękę. — Nie obrażaj się, proszę. Błagam cię, staraj się zrozumieć. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż chowanie głowy w piasek. Nie wolno nam pomijać żadnej ewentualności, wszystko musimy przewidzieć, zanim sprawa wejdzie na wokandę. Nie wiemy, czy prokurator odgrzebie ten stary skandal z twoją matką, czy nie. Ale wszystko jedno. Musimy tak przygotować obronę, żeby to nie miało dla nas znaczenia. Mam nadzieję, że rozumiałaś. — Znowu obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem. Wstał, nalał do szklanki wody z termosu stojącego na bocznym stoliku i podał jej. Miał ogromną dłoń. — Idziemy dalej. To, o co teraz zapytam, z pewnością nie będzie przyjemne. Przepraszam cię z góry, ale równocześnie proszę o odpowiedź. Czy twój mąż zwierzał ci się kiedyś z własnych intymnych przeżyć? Jakichś

miłostek, sympatii czy antypatii, konfliktów, jakichkolwiek uczuciowych kłopotów?

Potrząsnęła przecząco głową. Skądś tam w pamięci wyłoniły się jakieś drobiazgi, ale jakże nikłe! Jakie głupiutkie, znikome... Na przykład ta jego niechęć do mówienia o matce... Kochał matkę, a jednocześnie nie mógł o niej mówić. Ale nie o takie sprawy chodziło temu potworowi, nie tego chciał od niej bezlitosny inkwizytor.

Przerwał tok jej myśli jedwabistym głosem:

— Coś ci przyszło do głowy?

— Nie, nie. Powiedział mi, powtarzał mi, że nigdy nie było innej dziewczyny, jeśli może pan w to uwierzyć. O ile to w ogóle ma jakieś znaczenie. I tak wątpię, czy pan uwierzy.

— A ty?

Odpowiedź przyszła niemal bez wahania.

— Ja mu wierzę. Jest co prawda bardzo przystojny, jak pan twierdzi, więc różne dziewczyny mogły sobie wyobrażać...

— Tak, to prawda. Mogły sobie wyobrażać, na pewno.

W pokoju zaległo milczenie. Przyglądał się swoim spoczywającym na biurku białym, wielkim dłoniom z wymanikiurowanymi paznokciami.

— Powiedziałaś mu, że nie słyszałaś dzwonka telefonu w piątek, kiedy zadzwonił ten facet, który podał, że nazywa się doktor Patterson?

— Bo nie słyszałam — przerwała szorstko. — Nie wie pan jeszcze, że poszłam do hotelu „Meridian” i próbowałam się tam czegoś dowiedzieć. Nie widziałam się z Kimem i nie zdążyłam mu tego przekazać.

Siedział bez ruchu. Czekał. Opowiedziała mu więc całą historię, po kolei, dokładnie, nic nie opuszczając. Nie poruszył się nawet, kiedy skończyła. Upłynęło dużo czasu, zanim się odezwał, cedząc powoli słowa:

— Nic nie rozumiem, nic a nic. — Spojrzał na nią. — Paskudny wybór stoi przed nami, a nie ma innej alternatywy. Albo ten człowiek popełnił głupie, lekkomyślne morderstwo... jest zbrodniarzem, i to największym durniem pośród wszystkich zbrodniarzy, z jakimi miałem do czynienia, albo ma

wroga, najbardziej nikczemnego i bezwzględnego wroga, o jakim kiedykolwiek słyszałem. A jeśli ma takiego wroga, to jak go sobie zrobił? Co uczynił, jaką krzywdę wyrządził, jaką popełnił podłość lub zdradę, lub świadome zło, żeby go ktoś tak znienawidził? I gdzie ten wróg się czai? Skąd tyle wie, jakim cudem nie ujawniając się, jest tak świetnie zorientowany? Twój mąż przysięga na wszystkie świętości, czy na co tam przysięgają ludzie niewierzący, że nie ma żadnego wroga. Pytałem go trzy razy, Melisso. Trzy razy. Żadnego wroga. Więc co nam pozostaje?

— Czy człowiek nie może mieć wroga, nie domyślając się tego? A jeśli ktoś go nienawidzi bez żadnej racjonalnej przyczyny?

— Co masz na myśli?

— Och, nie wiem! — krzyknęła Melissa. — Kim... on nie zawsze dostrzega innych ludzi. Pracuje ciężko, jest pochłonięty swoimi książkami. Czy nie jest możliwe, że jakoś kiedyś zignorował... zlekceważył... — zamilkła.

— Musiałby komuś bardzo tym dokuczyć, żeby się dorobić aż tak zawziętego nieprzyjaciela. Mocno dać mu się we znaki. — Znowu przez chwilę przyglądał się jej uważnie, potem zręcznie uniósł z fotela swą ciężką postać. — Nie trać nadziei. Mamy jeszcze dużo czasu. Gdzie się zatrzymałaś? Zostaw nam numer telefonu.

— Och, nie znam go. Mieszkam u pani Faunce. Pani Lei Faunce w Rosedale.

Nacisnął guzik domofonu. Uprzejmy głos zapytał:

— Słucham?

— Numer telefonu pani Lei Faunce w Rosedale. — Popatrzył pytająco na Melisę, ale potrząsnęła głową. Nie знаła nawet adresu. Latourelle czekał na nią na dole w hallu. Przywiózł ją tutaj i miał ją odwieźć z powrotem.

Głos odezwał się znowu:

— Nie ma żadnej pani Faunce w Rosedale, proszę pana.

— To może być Jeremy Faunce — zaczęła Melissa, ale przypomniała sobie, co powiedział Latourelle, że to dom jego ojca. — Proszę spróbować pan Latourelle... Lance Latourelle.

Pan Corcoran skamieniał z palcem na guziku.
— Lance Latourelle? Ten malarz? Latourelle?
— To przyjaciel Kima — wyjaśniła Melissa. — Lea Faunce jest jego siostrą. Mieszkam u niej.

Rozdział dziesiąty

Pan Paddy Corcoran przestraszył Melisę.

Czy wynajmie detektywów, żeby prześledzili całą przeszłość Kima w najdrobniejszych szczegółach? Na pewno tak zrobi.

Dotrze do sprawy Weroniki Vandenberg. Trudno to właściwie nazwać sprawą, w gruncie rzeczy to błaha historia... A jeśli matka Kima naprawdę się bała, bała się panicznie, jeśli umarła, bo jej serce pękło z tego strachu, tego dzikiego lęku, jeśli Kim kochał ją i wiedział, dlaczego umarła...

Czy wybaczyłby tej dziewczynie? Gdzie ona teraz jest? Czy Kim jej groził? Nienawidził jej? Czy właśnie w związku z Weroniką zdarzyło się to „coś strasznego, co jeszcze nie zostało zakończone”? I może Coral Vandenberg, owa pracodawczyni Sary, mieszkająca w hotelu „Coronation Arms”, opowiedziała Sarze o tym potwornym wydarzeniu, bo Weronika była jej krewną? Nazwisko nie jest pospolite. Brzmi z holenderska, jak Van Alstyne, Van Valkenburgh i inne nazwiska lojalistów holenderskiego pochodzenia, którzy byli przedmiotem badań Kima; Melissa w Londynie przepisywała na maszynie spisy nazwisk, materiał do indeksu nowej książki Kima.

Musi zobaczyć się z Goral Vandenberg i porozmawiać z nią. Sara, Sugar River, Weronika, Coral — wszystko to było jakoś ze sobą powiązane i ktoś inny też to mógł wyszperać. Jeśli zrobi to pierwsza i powie Corcoranowi, jak się rzeczy naprawdę mają, może uda się to załatwić dyskretnie.

Poszła na spotkanie z Coral Vandenberg w trzy dni po aresztowaniu Kima i nazajutrz po rozmowie z Paddym Corcoranem.

Hotel „Coronation Arms” był duży. Przed frontowym wejściem parkowały taksówki. Budynek ciągnął się od

przecznicy do przecznicy. Poza parterem, gdzie mieściły się różne sklepy i bank, w licznych oknach wszystkich pięter wisiały identyczne firanki. Marmurowa posadzka zbyt koźownie urządzonego hallu lśniła od czystości. Trzy windy były w ciągłym ruchu. Na lewo od frontowych drzwi znajdowała się recepcja. Przy gładkim, wygiętym w podkowę biurku, obstawionym aż trzema aparatami telefonicznymi, przydywał młody człowiek z uśmiechniętą twarzą, na której na widok Melissy odmalowało się żywe zaciekawienie.

Zadzwonił jeden z telefonów. Podniósł słuchawkę, nie spuszcżając oczu z Melissy, i powiedział:

— Tu Bryant. Tak, proszę pana. Oczywiście. Za dziesięć minut przy północnej bramie. — Podniósł słuchawkę drugiego aparatu i zlecił energicznie i autorytatywnie: — Gordie, mały wóz dla pana Aldersona za dziesięć minut przy północnej bramie.

Cały czas przyglądał się Melissie, nie bez podziwu, choć jednocześnie z pewną rezerwą.

Melissa nie mogła się zdecydować, czy ma zapytać o Calvina Johnsona. Johnson znał ją jako żonę Kimballa Fitzgeralda. Nie było to wygodne w tej sytuacji. Z drugiej strony Lea i Latourelle, którym zwierzyła się z zamiaru rozmowy z panną Coral Vandenberg, trochę ją onieśmielili. Chyba powinna się w paru sprawach upewnić, zanim zapuka do drzwi panny Vandenberg ze starannie przygotowaną listą pytań, które chce jej zadać.

— Czy zastałam pana Calvina Johnsona?

Otworzył usta ze zdumienia.

— Johnsona? Calvina Johnsona, naszego buchaltera?

— Jeśli to możliwe, chciałabym się z nim zobaczyć.

— Oczywiście — powiedział niedowierzająco. — Jest pani pewna, że to o tego Calvina Johnsona pani chodzi?

— Tak, o waszego buchaltera.

Był wyraźnie zbity z tropu.

— Urzęduje w tamtym pokoju — wskazał ręką drzwi obok. — Czy pani mieszka u nas? Jeśli ma pani jakieś zażalenie, mógłbym może pomóc, po to tu jestem.

— Nie, nie mieszkam u was.

— Przepraszam, ale przewijają się tu takie tłumy, nie sposób wszystkich zapamiętać. Chociaż pani pewnie bym nie przeoczył. — Przerwał speszony jej jasnym spojrzeniem. — Proszę wejść bez pukania.

Ostrożnie, uchyliła drzwi. Pan Calvin Johnson w zielonym daszku ochronnym nad oczami siedział w drugim końcu małego pokoiku pod rzucającą jaskrawe światło lampą. Zwrócił ku niej uważny wzrok i niezdarnie podniósł się z krzesła.

— Panna Telefson? Przepraszam... pani Barnard? Czy się może myłę? Czym mogę służyć? Melissa zbliżyła się. Stała w kręgu światła, ale nadal jej nie poznawał.

— Nie mieszkam tu, proszę pana. Jestem... Był pan w Sugar River przed paru dniami. W moim domu. Szukał pan swojej zaginionej przyjaciółki Sary.

— Sary? Tak, naturalnie. Byłem w Sugar River. Ale ta dziewczyna to nie była Sara. Czy pani coś wie o Sarze? — Wskazał ręką krzesło i sam usiadł. — To już tak długo trwa i jeszcze jej nie znalazłem. Rozmawialiśmy o niej, prawda? Zapewniała mnie pani, że to nie ona utonęła w jeziorze.

Nie pamięta mnie — pomyślała Melissa. Nic nie wie o Kimie. Nigdy o nim nie słyszał. Jest pochłonięty własnymi troskami.

— Nie, nie wiem nic o Sarze. Ale po pana wyjeździe kobieta, która wtedy u mnie była, pani Holland, powiedziała, że kiedyś nad Sugar River mieszkała niejaka pani Vandenberg, a pan wymienił to nazwisko w związku z Sarą. Pomyślałam więc... Po prostu mnie to zastanowiło...

— Ale Sara nie nazywała się Vandenberg, tylko Hansen. Sara Hansen. Pracowała u panny Vandenberg, Coral Vandenberg — to wszystko. A panna Vandenberg nigdy nie mieszkała w pobliżu Sugar River, pochodzi z Edmonton. Przyjechała tu zeszłej jesieni, w październiku czy listopadzie, wprost z Edmonton. Nigdy przedtem nie była na wschodzie.

Melissa rozważała przez chwilę jego słowa.

— Może jednak ma to jakiś związek — powiedziała. — Sara mówiła panu, że jakaś straszna rzecz zdarzyła się w Sugar River i że to jeszcze nie jest zakończone. Czy domyśla się pan, o co tu mogło chodzić? Podejrzewał pan, że to może być coś, co ona

odkryła. Coś niebezpiecznego, i że z tego powodu musiała tam wrócić. Czy ma pan jakieś choćby niejasne pojęcie, o czym Sara mogła myśleć?

— Zastanawiałem się nad tym wiele razy. Ale cokolwiek to było, nie ma to nic wspólnego z panną Vandenberg. Sara zaczęła u niej pracować dopiero po Nowym Roku. Zaraz po Nowym Roku.

— I nie wspominała, że słyszała nazwisko Vandenberg w Sugar River? Rozumie pan, Sara mogła znać kogoś z krewnych panny Vandenberg wiele lat temu. Może dlatego zgłosiła się do pracy u niej.

— Nie. Sara zobaczyła fotografię panny Vandenberg w gazecie. Bogata dziewczyna, mieszkająca w hotelowym apartamencie i mająca zamiar studiować muzykę. Panna Vandenberg zaangażowała ją i całe szczęście, że to zrobiła. Jedno wiem na pewno: Sara nigdy by sobie nie poszła, i nie zostawiłaby panny Vandenberg z twarzą jeszcze w wysypce, z zabandażowanymi palcami i nie wyleczonym gardłem. Sara nie lubiła jej, ale pracowała u niej sześć miesięcy, a pielęgnowała ją blisko dwa. Na początku panna Vandenberg była zupełnie bezradna i Sara musiała wszystko koło niej robić. Nie mogła nawet rozmawiać z ludźmi i nikogo nie chciała widywać. Przerwała lekcje muzyki i tylko leżała w łóżku, a Sara karmiła ją jak dziecko i smarowała maścią, i dawała lekarstwa... W ogóle przez pierwsze parę tygodni nie zostawiała jej samej. Nie, nie poszłaby sobie, kiedy ona jeszcze potrzebowała pomocy, gdyby nie stało się coś złego. Coś, co zmusiło ją do odejścia wbrew woli, co ją przestraszyło.

— Czy Sara nigdy nie opowiadała panu o sobie? Przecież mieliście się pobrać?

— Sara miała ciężkie życie. Ludzie nie zawsze lubią opowiadać o swoich przejściach. Nie, nic mi nie opowiadała. Nawet gdzie pracowała, zanim tu przyszła. Kiedyś, raz, myślałem, że ma zamiar. Mieliśmy odwiedzić Olive i dzieciaki... W czerwcu. Pogoda była brzydka, okropnie wiało. Wyszliśmy z autobusu na rogu Downing Street i szliśmy Orchard w stronę domu Olive. Kiedy przechodziliśmy koło restauracji, wiatr

zerwał markizę i jakiś mężczyzna w białym fartuchu wyszedł na dwór. Wpadł wprost na Sarę. Spojrzał na nią i zawołał: „Proszę, co za spotkanie! Gdzie podziewałaś się przez tyle miesięcy”?

— Tak? — spytała stłumionym głosem Melissa.

— Okazało się, że to nieporozumienie. Może zresztą nie dosłyszałem wyraźnie, co mówił, podnosiłem właśnie jej okulary. Spadły, kiedy ten facet się z nią zderzył. Włożyła je i poszliśmy dalej, nawet mu nie odpowiedziała.

I kiedy zapytałem: „Czy pracowałaś tu dawniej?” — mnie też nie odpowiedziała. Nie odezwała się ani słowem.

Rozdział jedenasty

Cicha automatyczna winda zawiozła Melissę przed drzwi pokoju panny Vandenberg. Stojąc na korytarzu wysłanym grubym jasnoszarym chodnikiem Melissa czuła wyraźnie, że nie są to drzwi, przez które ma ochotę przejść.

Nacisnęła mocno dzwonek. Nikt się nie poruszył.

W budynku panowała kompletna cisza. Musiało się w nim mieścić wiele apartamentów, skoro miał trzy windy, garaże, w których mieszkańcy trzymali po dwa samochody, duży i mały, buchaltera, który prowadził zawile rachunki, recepcjonistę, który nie wiedział nawet, kto jest lokatorem, a kto nie. Ale hotel prowadzony był z najwyższą dyskrecją i dbałością o spokój gości. Zadzwoiła po raz drugi.

Drzwi otworzyły się. Dziewczyna, która stanęła na progu w powłóczystej sukni domowej, wyglądała dokładnie tak, jak należało oczekiwać. Błada, z czerwonymi śladami po wysypce na prawym policzku, z bandażami na palcach, młoda, o najpiękniejszych włosach, jakie można sobie wyobrazić, koloru bladego złota, opadających na ramiona migotliwą, świetlistą falą. Mężczyźni uwielbiają takie włosy. Niezależnie od rysów twarzy, uchodziła na pewno za piękną. Melissa zapytała z wahaniem:

Panna Vandenberg? Przepraszam bardzo za najście.

Wiem, że była pani chora, ale miałam nadzieję... — Nie

umiała kłamać, ale nie mogła przecież mówić prawdy. Nawet jeśli goni tylko za błędnym ognikiem, nie wolno jej niczego zaniedbać. — Nazywam się Starr. Jestem... zajmuję się zbieraniem materiałów dla pewnego pisarza. Byłabym bardzo zobowiązana, gdyby zechciała mi pani odpowiedzieć na parę pytań.

— Pytań? — powiedziała zachrypniętym głosem panna Vandenberg. Przyłożyła rękę do gardła i powtórzyła raz jeszcze, jakby nie była pewna, czy jej chrapliwy skrzek został zrozumiany. — Pytań? Na jaki temat?

— Na temat pani rodziny. Pan Smith nie zna historii Vandenbergów. W książce telefonicznej jest niewiele Vandenbergów, a i ci nieliczni nie znają kronik rodzinnych. Ale każdy potrafi przynajmniej powiedzieć, kim jest i skąd pochodzi i kiedy zbierze się to wszystko razem...

— Kto to jest pan Smith?

— Pracuje na uniwersytecie. To ma być takie opracowanie...

— powiedziała przepraszająco Melissa. — Próbują odtworzyć historię rodzin kanadyjskich: jak tu się osiedliły i w ogóle. Vandenberg to dość rzadkie nazwisko.

— Nie wiem nic o Vandenbergach — lustrowała ją wzrokiem. — Pani nazwisko Starr? — zapytała.

— Nie zabiorę pani dużo czasu. — Melissa wyjęła z torby notes i ołówek. — Jeśli zechce mi pani powiedzieć parę słów o sobie...

— Proszę wejść. Nie mogę dużo mówić. Słyszysz pani, w jakim stanie jest moje gardło: — Zamknęła drzwi i zaprowadziła Melissę przez hall do obszernego pokoju, z oknem zajmującym całą przeciwległą ścianę. Cienkie, przejrzyste story były zasunięte i pokój pogrążony był w półmroku. Biały dywan, jasne skandynawskie meble sprawiały, że wszystko wydawało się niematerialne. Najbardziej rzucał się w oczy wielki fortepian, biały, ze złotą inkrustacją. Niezbyt pasował do surowych skandynawskich sprzętów, ale był bardzo ładny, bardzo efektowny. Panna Vandenberg usiadła na krześle i wskazała drugie Melissie.

— Panna? Nie, pani Starr?

Melissa przypomniała sobie w porę o obrączce i pierścionku zaręczynowym. Nie, nie nadawała się do mistyfikacji.

— A do czego ma służyć ta historia rodzin, kiedy już zbierzecie materiały?

— Nie wiem. Sądzę, że powstanie książka. Może tylko dysertacja naukowa. — Otworzyła notatnik. — To, że pani się wydaje, że nic pani nie wie o Vandenbergach, wcale nie znaczy, że istotnie nic pani nie wie — oświadczyła, cytując zdanie zasłyszane kiedyś od Kima. — Znaczy to tylko, że dotychczas pani o tym nie myślała. Czy zna pani przypadkiem imię swego dziadka?

— Nigdy mi się nawet nie obilo o uszy. — W tonie panny Vandenberg zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie. — Naprawdę nic nie wiem, mówiłam przecież. Mój ojciec pochodził skądś ze wschodu, ale nie wiem skąd. Nie rozmawiał z nami o tym. Był już stary, kiedy ożenił się z moją matką. Stary i bardzo zajęty. Pracował w nafcie. Nigdy nie siadywałam mu na kolanach, żeby słuchać opowieści o dawnych czasach. Nie był tego rodzaju człowiekiem.

— Jak miał na imię?

— Wszyscy nazywali go C.H. Nie znałam jego imienia, aż do otworzenia testamentu. Wtedy okazało się, że miał na imię Cornelius. Cornelius Henry. To wszystko było w archiwach. Nie wiedziałam, ile ma pieniędzy, nie znałam nawet jego imienia, więc jak pani widzi...

— A pani matka?

— Moja matka — powiedziała chłodno panna Vandenberg — pochodzi z Vegreville. Nie miała nic wspólnego z Vandenbergami, niezależnie od tego, kim byli.

— Kiedy pani ojciec przeniósł się na zachód?

— Nie wiem dokładnie. Zaraz, ja mam dwadzieścia pięć lat. Urodziłam się w Edmonton dwudziestego trzeciego kwietnia dwadzieścia pięć lat temu. To już jest zresztą w archiwach, ale wszystko jedno. Myślę, że pobrali się z matką zaraz po jego osiedleniu się na zachodzie. Może to sobie pani obliczyć. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Czasem liczy się każdy szczegół. — Melissa znowu

zacytowała Kima. — Imię kuzyna, macochy, każda najdrobniejsza informacja może stanowić wskazówkę.

— Po co im to? — zapytała ciekawie panna Vandenberg. — Ludzie są tacy, jacy są. Wszystko jedno, jakich mieli przodków. Mojego ojca zupełnie to nie obchodziło. Pojechał na zachód, miał szczęście, zarobił mnóstwo forsy na nafcie. Wiedział, ile ma pieniędzy, o, umiał liczyć. Nie wiedział tylko, że umrze nagle. Gdyby to przewidział, chyba zmieniłby testament. Zrobił go, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Po śmierci matki nie byliśmy w najlepszych stosunkach. Mieszkaliśmy w idiotycznym starym domu na kółkach na polach naftowych i ja prowadziłam gospodarstwo. Czasem chodziłam do szkoły, a czasem nie.

Gdybym wiedziała, że jest taki bogaty spróbowałabym wyciągnąć od niego trochę pieniędzy i dać nogę. Zawsze chciałam uczyć się muzyki. — Otuliła szczerzej szyję zasłaniając bandaż. — Miałam dobry głos — dodała z goryczą.

— A może go pani odzyska, kiedy pani wyzdrowieje?

— A jeśli nie? Mam alergię. Nigdy w życiu nie miałam alergii. Dzisiaj mógłbym na temat alergii napisać książkę. Mam świetnego lekarza, teraz jest w Anglii i przeprowadza specjalne studia nad alergią. Ktoś jest dajmy na to alergikiem, jest na coś uczulony, ale na co? Mnie to o mało nie wykończyło. A to może się powtarzać. Będę na przykład gotowa do występu, cała impreza zapięta na ostatni guzik i nagle dotknę jakiegoś zielska albo kupię nową szminkę, gardło mi spuchnie i kompletna kłapa. Więc po co próbować? — roześmiała się. — Przepraszam, krew mnie zalewa, kiedy o tym pomyślę. Na pianinie chyba będę mogła grać, jak mi wydobrzeją palce, ale nie o tym marzyłam. Pianino było mi potrzebne tylko, żeby sobie akompaniować. Na przyjęciach i w ogóle.

— Jakie to musi być dla pani straszne rozczarowanie — szepnęła współczująco Melissa. — Bardzo mi przykro.

Panna Vandenberg przyjrzała jej się uważnie.

— Po co taka dziewczyna jak pani, z taką urodą, grzebie się w starych szpargałach? Mogłaby pani w każdej

chwili dostać się na scenę. Nikt pani tego dotychczas nie zaproponował?

— Wątpię, czy to prawda. Zresztą, wcale nie mam ochoty.

— No cóż, to sprawa zamiłowań. — Zerknęła na notatnik. — Niewiele pani zapisała.

— Rzeczywiście. Czy wie pani w którym roku urodził się pani ojciec?

— Miał czterdzieści dziewięć lat, kiedy ja się urodziłam. Łatwo obliczyć.

— A z jakiej miejscowości pochodził?

— Nigdy nie słyszałam, żeby wspominał. Myślę, że nie lubił wspomnień; pewnie nie miał co lubić.

— I nie zna pani żadnych kuzynów, żadnych krewnych? Żadnych koligacji, które pomogłyby nam się zorientować...

— Żywej duszy. Oczywiście miał ojca i matkę, może nawet braci i siostry, ale nigdy o nich nie mówił. Zresztą, może i nie miał rodzeństwa, bo podzieliłby pieniądze, chociaż... czy ja wiem — zastanowiła się. — Niezbyt mnie lubił. Zrobił testament, kiedy byłam malutka. Nie miał wtedy nic do zapisania, ale z jakichś tam powodów był mu potrzebny testament. Potem zapomniał go zmienić. Wolałby chyba zostawić pieniądze swoim kumplom od naftowych interesów, nie wiem. Nawet gdyby miał krewnych, może nie zapisałby im ani centa.

Melissa zamknęła notes i włożyła go do torebki. Rozejrzała się z zachwytem po pokoju.

— Bardzo tu pięknie i czysto. Jak pani sobie radzi ze sprzątaniami?

— Och, mają tu cały sztab pokojówek. Jedna przychodzi do mnie co dzień. Nic nie mogę sama robić. Teraz już jest znacznie lepiej. Kiedy byłam jeszcze poważnie chora, miałam na szczęście stałą pomoc. Pracowała u mnie jedna dziewczyna, dziwne stworzenie, nie bardzo ją lubiłam, strasznie zasadnicza i nudna, uparta i zarozumiała. I dość stara. Wolałabym jakieś miłsze i weselsze towarzystwo. Sara pod tym względem była do niczego, ale dbała o mnie jak nikt. Głupkowata dziewczucha, aż

człowiek się dziwi, jak taka daje sobie radę w życiu. Zresztą, chyba nie bardzo sobie radziła. Za wielkie wymagania — roześmiała się nieprzyjemnie. — Może miała nieczyste sumienie i dlatego tak się zachowywała.

Melissa powtórzyła powoli:

— Nieczyste sumienie?

— Odeszła ode mnie z punktu. Miała tu przyjaciela. Nie powiedziałam mu prawdy. Serce by mu pękło. Nawet ja byłam wstrząśnięta. Nie przyznałaby się, o co chodzi, gdyby nie musiała odejść bez wypowiedzenia. Mogłam ją zatrzymać, ale po co? Dałam jej trochę pieniędzy i puściłam. — Poprawiła bandaż na szyi. — Od lat zaręczona była z człowiekiem, który siedział w więzieniu, niech pani sobie wyobrazi. Wypuszczono go wcześniej, niż się spodziewała, i musiała do niego jechać. Zebrała trochę oszczędności i mieli się pobrać, żeby mógł zacząć nowe życie. Sara! — potrząsnęła głową. — Gdyby ją pani знаła, nie uwierzyłaby pani. Upierała się, że ten człowiek jest niewinny, że nie popełnił przestępstwa, za które go skazano. Strasznie ją to bolało. Mówiła, że jest chora na samą myśl o tym. I chciała mu pomóc. Dlatego zdecydowała się u mnie pracować, żeby zdobyć potrzebne mu pieniądze. Myślała zresztą, że on wyjdzie dopiero za trzy miesiące.

Melissa wstała. Była bardzo zmęczona. Każda sprawa wyjaśniona okazuje się bardzo prosta. I nieważna.

Panna Vandenberg też wstała.

— Przykro mi, że nie mogłam pani pomóc. Ale i tak nie sądzę, żeby mój ojciec miał ochotę figurować w jakiegokolwiek kronice rodzinnej. Nie cierpiał takich rzeczy. Sam, na własną rękę, się dorobił i był z tego dumny.

— Dziękuję. Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się pani lepiej. Że z gardłem będzie wszystko w porządku i że wróci pani do nauki śpiewu. Może ten doktor znajdzie wreszcie lekarstwo.

— Twierdzi, że jest już na dobrej drodze, ale kto wie, jak długo to potrwa. Jak tylko poczuję się lepiej, pojedę do niego do Anglii. To moja jedyna nadzieja.

Rozdział dwunasty

Wiedząc, że inspektor William Blake ma lada dzień wrócić z zachodu, Dennis Savage unikał wszelkich rozmów na temat sprawy Fitzgeralda w obecności detektywa Harpera. Nie było to zresztą trudne; Harperowi nie brakowało roboty i był bez przerwy zajęty. W pewnym sensie wyrzucił ze świadomości morderstwo Hooda. Dla niego sprawa była oczywista, dowody zebrane, a jeśli pewne szczegóły wymagały wyjaśnienia, to do rozprawy był jeszcze czas. Poza tym Harper wybierał się na urlop zaraz po powrocie inspektora Blake'a i już teraz myślał o namiotach, narzędziach stolarskich i różnych drobiazgach, które będą mu potrzebne, kiedy rozbije obóz koło Markham, na własnej pięcioakrowej działce, gdzie buduje sobie domek, w którym zamieszka po przejściu na emeryturę.

Bill Blake był według Savage'a pierwszorzędnym szefem. Ojciec Billa był skromnym, szeregowym policjantem. Kiedyś pożyczył sto z trudem zaoszczędzonych dolarów przyjacielowi, który uwierzył w poufną wiadomość o kopalni złota; okazało się, że i kopalnia złota, i przyjaciel są z prawdziwego zdarzenia, tak że umarł jako bogaty człowiek. Bill Blake otrzymał więc staranne wykształcenie, a w spadku po ojcu, którego pamięci był wierny, pełen współczucia stosunek do tej części społeczności ludzkiej, której zdarza się popaść w konflikt z prawem. Dla Billa Blake'a kryminalista nie musiał być koniecznie przestępcą, raczej człowiekiem, który przypadkowo zbłądził na manowce. Mało prawdopodobne, aby Bill uwierzył czy choćby pomyślał, że Kimball Fitzgerald jest zbrodniarzem.

Dopiero w dwa dni po jego powrocie Savage miał sposobność przedstawić mu całokształt sprawy Hood-Fitzgerald.

— W Yorkville jest bardzo przyjemna nowa knajpka rybna — wspomniał mimochodem pod koniec drugiego dnia. — Czy pozwolisz się tam zaprosić? Dają kraby i ślimaki. No, przynajmniej homary.

Bill spojrzął na niego bystro bardzo niebieskimi oczami. Obrzucił wzrokiem zawałone papierami biurko i milczące akurat w tym momencie telefony.

— Sprawa Hood-Fitzgerald? Ty ją prowadzisz, tak?

— Niezupełnie i w tym właśnie sęk.

Bill wstał.

— Idziemy.

W restauracji „Sieć” Savage wybrał z karty potrawy, a kiedy kelner odszedł, Bill zaczął:

— Czytałem raport, Dennis. Wygląda; jakby sprawa była murowana.

Savage uśmiechnął się.

— Akurat. Murowana sprawa i Paddy Corcoran podjął się obrony.

— Paddy Corcoran też raz na jakiś czas jest nam bardzo potrzebny. Przynajmniej boimy się partaczyć i musimy wszystko zapiąć na ostatni guzik. O co chodzi?

Savage opowiedział całą historię ze wszystkimi szczegółami, po kolei, nic nie opuszczając. Zwłoki mężczyzny w zamkniętym pokoju bez klucza, z kłutymi ranami w plecach; odciski palców Fitzgeralda na nożu, mężczyzna umarłby chyba i tak od narkotyku, zaaplikowanego mu prawdopodobnie w rumie; w butelce z rumem narkotyku nie wykryto, ktoś więc musiał nasypać go bezpośrednio do szklanki, z której Hood pił, stłuczona szklanka, również z odciskami palców Fitzgeralda, owinięta w wieczorną gazetę i wyrzucona do kosza, nazwisko Fitzgeralda i numer jego telefonu w Sugar River, mocno odcisnięte na drugiej kartce bloczku telefonicznego, z którego wyrwano pierwszą; pieniądze — pięćset dolarów — nadane z Sugar River i załączona notatka, nagle małżeństwo Fitzgeralda w maju, niezwykła, egzotyczna uroda jego żony, fakt, że nie protestował, kiedy zabierano go do Toronto na przesłuchanie. Tyle Savage wiedział.

Bill przysłuchiwał się z właściwą sobie skupioną uwagą. Wziął z półmiska kleszcze homara, starannie wydłubał mięso ze skorupy i odłożył na talerz.

— Zobaczmy, co z tego zrobi Paddy Corcoran: młody grecki bóg, żona jak z bajki, srebrny nóż i szklanka przyniesiona nie wiadomo skąd, nazwisko na bloku telefonicznym, paczka z pieniędzmi. Nawiasem mówiąc, jak ta paczka była

ofrankowana?

— Za dużo znaczków.

— Oczywiście. Żeby nie trzeba jej było ważyć. Wrzucono ją do skrzynki pocztowej w Sugar River. Jasne. Ktoś, kto znakomicie wiedział, że nie dotrze do Hooda przed sobotą. Nadano ją co prawda w czwartek, ale wóz pocztowy z Sugar River odchodzi tylko raz dziennie, po południu, i adresat otrzymuje przesyłkę po dwu dniach.

Savage rozsiadł się wygodniej.

— Zdaje się, że mamy za mało cytryny? — zapytał beztrąsko.

Bill podniósł ćwiartkę cytryny i przyglądał się jej przez chwilę intensywnie. Dennis przywołał kelnera.

— Co do tamtej rozmowy telefonicznej... — ciągnął Bill — wygląda na to, że Hood żądał forsy. Miała przyjść w piątek, nie przyszła. Zadzwoił więc do Fitzgeralda w południe i zagroził, że „jeżeli nie”... Fitzgerald miał przynieść mu pieniądze do hotelu w piątek wieczorem. I Fitzgerald uznał nagle, że ma dosyć tej całej historii, i postanowił z tym skończyć.

— Prawdę mówiąc, to wszystko trzyma się kupy.

— Nie winię Harpera — Bill utkwiał swe jasne, aż niewiarygodnie błękitne oczy w twarzy Dennisa. — Ty nie pracujesz tu długo. Stary miał ciężkie życie. Tak jak mój ojciec... O, ten wygląda zachęcająco — nabrał na widelec kawałek homara i zanurzył w roztopionym maśle. — Na pewno poczuł antypatię do Fitzgeralda. Harper nigdy nie był ani przystojny, ani wykształcony. Kompleks niższości często bywa przyczyną kłopotów. Czy rozmawiał z tą dziewczyną, żoną Fitzgeralda?

— Nie było okazji.

— Jaka ona jest naprawdę?

— Młoda, naiwna. Ale ma charakter — powiedział krótko Savage. — Nie zasłużyła na takie przejścia.

Bill uśmiechnął się.

— Co za szansa dla Paddy Corcorana. Może oprzeć na tym całą obronę. Czeka, nie odbiegajmy od tematu. Jak przedstawia się pracownia Fitzgeralda? Kto ma do niej dostęp?

Savage wydobyl notesik.

— Jest tam jeszcze siedem lokali. W jednym mieszka japoński profesor nie mówiący po angielsku. W drugim gruba kobieta, bardzo nieruchawa. Dalej dwaj młodzieńcy, którzy pierwszego czerwca ruszyli na pieszą wycieczkę po Skandynawii. Fitzgerald jest piąty, stary osiemdziesięcioletni profesor Jarvis — szósty, siódma pani doktor Bethia Campbell. Czterdzieści lat, bardzo aktywna, ma samochód. No cóż, sprawdziliśmy ją gruntownie, Hepple i ja. Nic się nie da zrobić. Ma teraz wykłady na letnim kursie uniwersytetu w Kolumbii Brytyjskiej. Każdy z tych ludzi mógł pożyczyć komuś klucz. Poza tym są tam oczywiście sprzątaczkę i personel techniczny, obsługujący wszystkie budynki uniwersyteckie. Pokój Fitzgeralda nigdy nie jest zamykany, a zewnętrzne drzwi domu są tak stare, że można je otworzyć szpilką do włosów.

— Tak to wygląda. Sęk w tym, jak znaleźć człowieka, który chce zniszczyć Fitzgeralda.

Savage zajął się ogonem homara.

— Są poszlaki, że Hood prowadził podwójne życie. — Opowiedział Billowi o zdenerwowaniu Hooda zimą i wczesną wiosną, o przesadnie kosztownych podarkach na gwiazdkę i futrzanej etoli dla żony. — Poczucie winy — podsumował lakonicznie i Bill zaakceptował ten werdykt. Savage mówił dalej o zastanawiającej wycieczce do Sugar River w maju pod pretekstem wynajęcia domku na lato i o jego wizycie w drugstorze, gdzie się o coś dopytywał.

— O co?

Savage potrząsnął głową.

— Dzwoniłem na posterunek w Sugar River i kazałem to sprawdzić miejscowemu policjantowi. Są tam tylko dwa drugstory. Jeden w Dzień Zwycięstwa był zamknięty, drugi był otwarty przez dwie godziny, ale staruszek, który siedział tam wtedy sam jeden, już nie żyje. Więc oczywiście nie wiemy, o kogo czy o co Hood pytał. I nigdy nie będziemy wiedzieli.

— Nie lubię słowa nigdy.

— Na to nie ma rady.

— Co jeszcze możesz powiedzieć o tym rzekomym podwójnym życiu?

Savage opisał noc poprzedzającą morderstwo. Powrót pani Hood z brydża, zły humor jej męża, jego uparte milczenie, niechęć lub niemożność rozmowy.

— Na pewno ktoś do niego zatelefonował. Harper i tym obarczyłby Fitzgeralda. Ale ja się z tym nie zgadzam, Bill. Cóż, mogę się mylić, ale jeśli to był Fitzgerald, to co powiedział? Dlaczego Hood był tak wstrząśnięty i przerażony, że zaniemówił i zamknął się w sobie? Jeśli to był Fitzgerald — dodał ostrożnie — to umknęło mi w tej całej historii coś bardzo istotnego, kluczowego. Może zresztą lak jest.

— Jasne — potwierdził Bill. — Ten Fitzgerald nie wygląda mi na banalną postać. Zresztą sam masz wątpliwości na jego temat. Myślisz, że coś ukrywa, tak?

Dennis zawahał się.

— Tak, coś. A zresztą... Kiedy zobaczysz jego żonę... Fitzgerald jest bardzo przystojny. Chyba chodzi o inną kobietę, Bill, i nie chce, żeby żona się o tym dowiedziała. Ale nie sądzę, żeby ukrywał zbrodnię. Co dziwniejsze — sam był zaskoczony, że to mówi — mam wrażenie, że o kobietę też nie chodzi. Ale tak powinno być, tak może być i tak najprawdopodobniej jest.

— Jest bardzo dużo innych kobiet — powiedział łagodnie Bill i zadumał się nad pokropionym cytryną kawałkiem homara. — Gdzie zatrzymała się żona Fitzgeralda? Czy jest sama? Jeśli ktoś go tak nienawidzi... — zamilkł.

Savage przeraził się. Bill zawsze trafiał w sedno. Ma słuszość. Jeśli ktoś, jakiś anonimowy zbrodniarz, 'żywi taką nienawiść do Fitzgeralda, to jego żonie też grozi niebezpieczeństwo. Powiedział szybko:

Mieszka u przyjaciół, tu w mieście. Jakiś malarz, ma pracownię w Sugar River od niepamiętnych czasów. Nazywa się Lance Latourelle. Pani Fitzgerald zatrzymała się u jego siostry.

Bill odłożył łapę homara i zapytał spokojnym głosem:

— U siostry Lance'a Latourelle'a?

— Pani Lea Faunce, rozwódka. Tak, siostra Lance'a Latourelle'a.

— Lance Latourelle ma od wielu lat pracownię w Sugar River.

To prawda. Czy ma jeszcze jakiś związek z tą sprawą?

Savage wytarł palce w serwetkę.

— Czy przeoczyłem coś ważnego?

— Lance Latourelle nie ma siostry. Poza tym ma na swoim koncie więcej spraw rozwodowych niż reszta mieszkańców Kanady na przestrzeni dziejów. Rozpoczął karierę uwodziciela, zanim skończył dwadzieścia lat. Skąd on się tu u licha wziął?

— Niestety, nie wychowałem się w Toronto. Nie mówię tego, żeby się usprawiedliwić. Spędziłem dzieciństwo w małej wiosce Cheshire — dodał z goryczą. — Powinienem był sprawdzić Lance'a Latourelle'a.

— Jeszcze zdążymy to zrobić. — Bill pogodnie zabrał się do swego homara. — Mam dziwne uczucie, że tuż przed moim wyjazdem nazwisko Fitzgeralda obilo mi się o uszy. I to w związku z Sugar River. Dlaczego?

— Masz w głowie kartotekę.

— Czyżbym coś słyszał albo widział, co dotyczyło Fitzgeralda i Sugar River?

— Mogło ci się coś obić o uszy. — Savage opowiedział o zwłokach dziewczyny wyrzuconych na brzeg jeziora na terenie posiadłości Kimballa Fitzgeralda. — To zupełnie osobna sprawa, niczym z tą nie powiązana. Ale nie ustaliliśmy jej tożsamości. I to nie było samobójstwo. Morderstwo. Nie żyła już, kiedy wrzucono ją do wody.

— Zastrzelona? Uduszona? Jak ją zabito?

Patrząc mu w oczy Savage powiedział powoli, nagle zdając sobie sprawę ze znaczenia swoich słów.

— Odurzona narkotykiem.

— Odurzona i potem zamordowana? Jak Hood?

— Taki sam wynik obdukcji. Masz rację.

— Dlaczego dano jej narkotyk? Gdzie? Kiedy?

Savage zastanowił się.

— Nic nie wiemy — ani gdzie, ani dlaczego. Wiadomo tylko, że nie miała na sobie płaszcza ani pantofli. Nie żyła od maja, chyba od połowy maja, a wtedy było jeszcze dość chłodno. Żadnej biżuterii. W płucach, to znaczy w tym, co zostało z płuc, nie było wody. I miała na sobie osobliwą bieliznę... Ciężki żółty

jedwab, brabanckie koronki. Same majtki warte chyba ze dwadzieścia pięć dolarów, nie mówiąc o staniku, pasku i koszuli. Resztki pończoch też bardzo drogich. A poza tym taniutki czarny sweter i granatowa spódnica w marnym gatunku. I nawet, uwzględniając ewentualne zbiegnięcie się w wodzie, rozmiary garderoby były różne — bielizna czternastka, a spódnica i sweter dwunastka. Dziewczyna, która może sobie pozwolić na ręcznie robioną bieliznę, nigdy nie włożyłaby za ciasnego swetra i spódnicy.

— Co jeszcze?

— Była od dwóch miesięcy w ciąży.

— Tak? — Bill wziął do ręki karafkę i z roztertowaniem napełnił oba kieliszki białym winem. — Dwumiesięczna ciąża. Od marca. Wrzucona do rzeki lub jeziora w maju. W maju w Sugar River jest pusto. Tylko stali mieszkańcy. Spokój i cisza. — Zamyślił się obracając kieliszek w palcach. — Mężczyzna może zostać doprowadzony do ostateczności, jeżeli kobieta, która mu się już znudziła, zajdzie jak na złość w ciążę. Mówisz, że Fitzgerald coś ukrywa? To by było logiczne. Załóżmy, że Hood go szantażował, i dajmy na to spodziewał się, musiał się z tym liczyć, że będzie podejrzany o zabicie Hooda. Czy jest dość sprytny, żeby umyślnie zwrócić na siebie uwagę? Zgromadzić poszlaki? Wiedząc, że jeśli oprzemy się wyłącznie na nich, Paddy Corcoran zrobi nas na szaro? Czy to może być podwójny bluff, Dennis?

Dennis wywołał w pamięci obraz Fitzgeraldów stojących razem na progu domu. Potrząsnął głową;

— Fitzgerald nie wciągałby żony w takie brudy. Nie. Albo jest winny jak sto diabłów, a przy tym o wiele głupszy i mniej opanowany, niż wygląda, albo ktoś go perfidnie wrabia. Dają za to głowę.

Bill odłożył widelec.

— Trzeba przejść do ataku na wszystkich frontach. Dennis, weź notes Hooda i wyciśnij z niego, co się da, przepisuj każdą notatkę, do ostatniego przecinka, i sprawdź absolutnie wszystko, dobrze? Każde nazwisko, numer telefonu, adres, wzmiankę. I poszperaj w interesach Hooda. Coś

powinno się znaleźć. Musi być jakiś związek między Hoodem, Fitzgeraldem... i tą dziewczyną. Dennis, to bardziej niż prawdopodobne. Ja porozmawiam z Fitzgeraldami. Hepple niech się zajmie właśnie tą zmarłą dziewczyną... Przecież musi być kimś. Z pewnością nie byle dziewczyną. Bielizna z żółtego jedwabiu, na litość boską! Może uda się wytropić, skąd ta bielizna pochodzi? Hepple musi odkryć, kto to jest. A kiedy już będziemy wiedzieli...

Rozdział trzynasty

Upłynęły jeszcze dwa dni, zanim Bill mógł zająć się Fitzgeraldem. Właśnie kiedy jadł obiad z Savage'em, jeden z wybitnych obywateli Forest Hill dostarczył policji kryminalnej w Toronto powodu do podjęcia nie cierpiącej zwłoki akcji. Zamordowanego dżentelmena nienawidziła pokaźna grupka ludzi, wśród których nie brakło jego żony, pasierba, współnika do interesów i sekretarki; ta ostatnia zajmowała ongiś całkiem inną pozycję w jego życiu i nadal nie mogła pogodzić się z utratą łask.

W ciągu tych dwu dni Savage i Hepple nie próżnowali, kiedy więc Bill mógł już wreszcie przestać się zajmować morderstwem w Forest Hill (które popełnił mąż sekretarki, osobnik tępy i nader prymitywny), czekało na niego długie i zawile sprawozdanie. Hepple nie trafił na żaden ślad. Sprawdził powtórnie wszystkie meldunki o zaginionych osobach na całym obszarze Kanady i w pogranicznych Stanach i nie znalazł żadnego punktu zaczepienia.

Ale Savage poczynił pewne postępy.

Alvin Hood miał sześć kluczy na kółku. Od domu — od frontowych drzwi i kuchennych — od garażu; od samochodu i od biura Tuttle'a, gdzie pracował. Od czego był szósty klucz? Savage natknął się u Tuttle'a na sprzedawcę nazwiskiem Oliver, elegancika w średnim wieku, który żywił kiedyś pewne artystyczne ambicje: chciał zostać śpiewakiem, tancerzem lub gwiazdą komedii muzycznej. Oliver był już przesłuchiwany, jak

wszyscy u Tuttle'a, ale pytania były natury dość ogólnej. Teraz Savage, dzięki tajemniczemu kluczowi, wiedział, jak pokierować rozmową.

— Hood wdał się w jakąś aferę — powiedział Oliverowi. — Przez całą zimę był podenerwowany, niespokojny. Jego wydatki też zmieniły charakter. Zachowywał się jak człowiek mający jakieś kłopoty. Z początkiem wiosny trochę się jakby uspokoił. Czy zwrócił pan na to uwagę?

— No tak, w pewnej mierze. — Oliver zawahał się. — Bo widzi pan, sprzedawca pianin ma do czynienia przeważnie z klientkami. Odwiedza je w domu, kiedy są same. Hood był przystojny. Sam mu powiedziałem, jak zaczął u nas pracować, że musi być ostrożny. Nie zawsze wina jest po stronie mężczyzny.

— Myśli pan, że chodziło o jakąś kobietę?

— Coś takiego było. Mniej więcej od Bożego Narodzenia Hood zaczął wychodzić stąd prawie co dzień kwadrans przed czwartą. Jakby spieszył się na randkę o czwartej. Nic na ten temat nie mówił, udawał, że niby ma zwyczajne spotkanie z klientem. Ale zawsze piorunem śmigał z parkingu, prosto do rogu i potem na zachód.

— Od Bożego Narodzenia? Do kiedy?

Oliver wzruszył ramionami.

— Tak na wiosnę to się skończyło. W kwietniu lub w maju. Nagle przestał wychodzić z biura za kwadrans czwartą. Ale nerwowo był dalej: ciągle pytał, czy były do niego jakieś telefony lub listy, jakby zostawiono go na lodzie czy coś w tym rodzaju. Jego wydatki zmieniły się chyba dlatego, że parę tygodni przed Gwiazdką sprzedał drogi fortepian. Dostał ładną prowizję, nawet bardzo ładną. Przedtem mu się też zdarzało nieźle zarobić. Ale tym rażeni ogromnie to przeżywał. Co prawda, ten fortepian był całkiem ekstra, Chickering — świetny instrument, tyle że w stylu rokoko. Ogromny, biały ze złotą inkrustacją.

— Kto go kupił?

— Kto go kupił? Tuż przed Gwiazdką? — Obrzucił Savage'a szybkim spojrzeniem. — Zaraz... ja nie... ale ja ją widziałem.

Była tu parę razy, zanim się zdecydowała. Bardzo bogata. Przystojna blondynka, gęste, jasne włosy, wyjątkowo piękne. Nazywa się Coral Vandenberg. Dostawiliśmy fortepian do jej apartamentu w „Coronation Arms”.

Dennis bez trudu zebrał informacje o panie Coral Vandenberg. W recepcji urzędował Bryant, który powitał go niemal entuzjastycznie i skwapliwie skorzystał z okazji, by porozmawiać na ten interesujący temat. Nie taił, że sam jest zaciekawiony.

— O co panu chodzi? Czy ktoś ma chrapkę na forszę Coral? Ostrzegałem ją.

— Zna ją pan dobrze?

— Znam, a jakże. Nie żeby znowu tak blisko, ale kiedy sprowadziła się tu w październiku, nie znała żywej duszy i sama mnie prosiła, żebym ją zabrał do nocnego klubu. Pochodzi z Edmonton, wychowała się na terenach naftowych i chciała się trochę otrząsać. Odkąd choruje, też mnie już nieraz zaprosiła na drinka. Bardzo się przyjaźnimy.

— Choruje?

— Alergia. O mały włos, a byłaby się przejechała na tamten świat. Twarz jej nabrzmiała jak wielka piłka, ręce ma jeszcze ciągle spuchnięte i pobandażowane i czerwoną wysypkę. Biedulka, zapewniałem ją, że mi to wcale nie przeszkadza, tyle, że mi jej żal.

Panna Vandenberg według relacji Bryanta dotknęła trującego bluszczu, na który, jak się okazało, była bardzo mocno uczulona. Stało się to w maju. Bill miał wątpliwości, skąd się wziął w maju kwitnący bluszcz, ale Savage już i to sprawdził. Jad był w liściach. Jeśli gruby podkład liści przez całą zimę będzie leżał pod pokrywą śnieżną, to liście nie uschną i jad zachowa aktywność.

— Wszystko w tej historii zdarzyło się w maju — powiedział Bill. — Myślisz, że Coral Vandenberg jest tą tajemniczą kobietą w życiu Hooda? I kiedy zachorowała, skończyły się ich spotkania? Po prostu i zwyczajnie?

Savage nie wiedział. Wiedział natomiast, że od Tuttle’a do „Coronation Arms” nie jedzie się na południe, a potem na

zachód, tylko w odwrotną stronę. A więc Hood jeździł gdzie indziej. I Savage był niemal pewien, że wie dokąd.

W notesie figurował jeden adres: Linton Lane 31, bez nazwiska i bez numeru telefonu. Savage pojechał tam — droga na Linton Lane od Tuttle'a - wiodła najpierw na południe, a potem na zachód. Około dziesięciu minut, jeśli nie było korków na jezdni. Na Linton Lane pod numerem 31 stał duży biały dom, ozdobiony stiukami, przed którym rósł ogromny wiąz. Drzwi frontowe nie były zamknięte, na klatce schodowej wisiała tablica ze spisem lokatorów. Można było się z niej zorientować, że w budynku mieści się szereg małych mieszkań.

— Studenci — powiedział Bill. — Zawsze w tej okolicy mieszkają studenci. Więc ten tajemniczy klucz...

Pasował do drzwi zaraz na prawo od wejścia, na parterze. Savage wypróbował klucz i udał się na poszukiwanie dozorca. Starszy, przygarbiony jegomość, od którego załatywało alkoholem, skwapliwie zgodził się pokazać mieszkanie. Stało puste. Hopkinsowie, którzy je zajmowali, wyprowadzili się bez wypowiedzenia nawet. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego i kiedy. Nigdy nie widział pana Hopkinsa, tylko panią, i to raz jeden, kiedy przyszła po klucz. Nie umiał jej opisać, ale na pewno nie była to Coral Vandenberg. Niepozorna, bez makijażu, zwyczajnie, nieelegancko ubrana. Właśnie został obrugany przez administrację — zarządzającą największą ilością domów w mieście — za to, że Hopkinsowie nie płacili czynszu od dziesiątego maja. Skąd miał u licha o tym wiedzieć? Ma pod swoim nadzorem wszystkie domy na ulicy, a trudno wymagać, żeby uganiał się ciągle za jakimiś tam studentami. Dozorca nie był dotychczas w mieszkaniu, nie miał drugiego klucza, a pani Hopkins nie zwróciła swojego, więc tym bardziej nie mógł się domyślić, że już ich nie ma. Kiedy Savage otworzył drzwi, dozorca był wyraźnie zaskoczony. Całe mieszkanie — pokój, mała kuchnia i łazienka — było nieskazitelnie czyste. Wszysciutko zostało wypucowane i wyszorowane, i to nie dawniej niż tydzień lub dziesięć dni temu. Tylko cieniutka warstewka kurzu równo pokrywała meble; poza tym żadnych pajęczyn, odpadków, rupieci — nic zupełnie. Ani strzępka

papieru, szpilki do włosów czy resztek jedzenia w lodówce, pusta spizarka. Narzuta w paski na szerokiej kanapie należała do wyposażenia mieszkania. Wszelkie ślady ludzkiej obecności zostały starannie usunięte, nawet blaszane pudło na śmieci dokładnie wymyte.

Dziwna historia. Klucz Hooda pasował do drzwi. Hood korzystał z mieszkania do maja, tak? Od maja stało puste. Kobieta się wyprowadziła, zresztą prawdopodobnie nigdy tu nie mieszkała. Służyło tylko jako miejsce spotkań, nic więcej. Dlaczego zostało ostatnio sprzątnięte? Tak pedantycznie i gruntownie sprzątnięte?

— Kto płacił czynsz?

— S. Hopkins przez Bank Nowoszkocki w Oshawie. Czekał. Konto otworzono w styczniu. Nikt nie pamiętał osoby o nazwisku S. Hopkins. W Oshawie jest wielu pracowników General Motors. Mieszkanie zostało wynajęte przez telefon — dzwoniła kobieta. Czeki wpływały do administracji regularnie do czerwca, to znaczy ostatni był z dziesiątego maja, więc komorne zostało opłacone do dziesiątego czerwca i administracja nie poczyniła żadnych kroków chyba dlatego, że jest to normalna pora studenckich wyjazdów na wakacje. Nikt mieszkania nie wymówił, dozorca nie zawiadomił ich, że lokatorzy się wyprowadzili, bo sam nie wiedział. Po prostu czynsz się opóźnił, a zresztą może i tego jeszcze nie zauważono.

— Twoim zdaniem, mieszkanie zostało uprzątnięte dopiero tydzień czy dziesięć dni temu, to znaczy — Bill zawiesił głos — mniej więcej wtedy, kiedy zamordowano Hooda?

Savage zajął się napychaniem bursztynowej fajeczki.

— Nie rozumiem, jaki to ma związek.

— Jakiś związek mieć musi. Sprowadziłeś tam daktylografów?

— Nic nie znaleźli. Ten, kto sprzątał mieszkanie, znalazł się na robocie. Wykonał ją fachowo.

Rozdział czternasty

Bill Blake ustawił swojego białego buicka przed domem Latourelle'a w Rosedale. Miła dzielnica; wysokie drzewa, duże przestrzenne domy, dobrze utrzymane ogrody, pełne kwiatów, spokojne uliczki. Cichy, wygodny dom, wymarzone miejsce pobytu dla biednej zgnębioj dziewczyny.

Nacisnął dzwonek. Po chwili drzwi otworzyły się bez szperu na dobrze naoliwionych zawiasach i stanęła w nich kobieta. Dziwna dość kobieta — drobna, szczupła, cienka szyja, ciemne okulary, spadziste ramiona, na pewno nie stworzone do dźwigania ciężarów, w szmizjerce zbyt mocno namarszczonej z przodu. Trzydzieści lat na oko. Lance Latourelle miał czterdzieści, może więcej. Więc to by była ta rzekoma siostra? Kogoś innego oczekiwał. Kogo Latourelle mógł tu ściągnąć podając za swoją siostrę? Dawną miłość, jedną z licznych, której płomień doszczętnie wygasł? Nie wyglądało na to. To kobieta nie mieściła się w żadnej kategorii romansów Latourelle'a.

— Inspektor Blake z policji w Toronto — powiedział uprzejmie Bill i pokazał znaczek. — Chciałbym porozmawiać z panią Fitzgerald.

Dość długo przyglądała mu się w milczeniu.

— Wątpię, czy będzie miała ochotę z panem rozmawiać.

— Myślę, że raczej będzie miała. Mógłbym zawieźć ją do męża. Czy chce zobaczyć się z mężem?

Dziewczyna czekała w pokoju obok. Ukryta przed nim, słyszała ich rozmowę. Teraz przefrunęła hall i stanęła koło Lei Faunce. Savage nie przesadził. Jej widok zapał mu dosłownie dech w piersiach. Powiedziała niskim, czarującym głosem:

— Inspektor Blake? Słyszałam, co pan mówił. Może mnie pan zabrać do Kima?

— Natychmiast. Jest pani gotowa?

— Och tak, tak. Jedną chwileczkę. — Pobiegła w głąb domu i po minucie wróciła z torebką; zdążyła upudrować nos i zaczesać niesforne pukle aż niebieskawoczarnych włosów, które upinała w koronę nad śliczną dziewczęcą twarzą.

Fitzgerald ożenił się z nią znając ją niemal z widzenia. Nic dziwnego. Byłby durniem, gdyby tego nie zrobił. Wystarczyło spojrzeć w jej szare oczy, żeby wiedzieć o niej wszystko.

Latourelle? Zblazowany światowiec... Tysiące romansów, tysiące kobiet, z których ani jedna nie była podobna do tej dziewczyny. Czy miałyby odwagę się do niej zalecać? Na pewno nie. Musi przeżywać teraz specjalny rodzaj mąk piekielnych. Jest artystą... Już to samo stwarza problemy. Ale jako mężczyzna... Cóż, niech pocierpi. Ta dziewczyna jest bezpieczna przed wszystkimi panami Latourelle świata.

Po sekundzie wahania nachyliła się do pani Faunce i lekko pocałowała ją w policzek.

— Jeszcze raz dziękuję, Lea. Dziękuję za wszystko.

— Chyba tu wrócisz? — zapytała Lea obcesowo.

Bill skierował się w stronę samochodu. Dziewczyna — Melissa...? — wkładała na drobne dłonie białe rękawiczki. Obszedł samochód, otworzył drzwiczki i pomógł jej wsiąść. Sam usadowił się za kierownicą. Zerknęła nar niego i szybko odwróciła wzrok.

— Policjanci nie muszą być potworami — mruknął Bill. — Znamy większe rozkosze niż aresztowanie ludzi i wtrącanie ich do więzienia.

— To dlaczego to robicie? — wybuchnęła. — Kim jest w więzieniu, bo właśnie policja go tam wsadziła. Nie czekali na pewne dowody winy. Zabrali go z domu i uniemożliwili mu obronę. I teraz cokolwiek się stanie, ta plama nie da się już wymazać. Dlatego jestem wściekła. Zrozpaczona, ale przede wszystkim wściekła. Dlaczego nie mogliście zaczekać?

— Czasem czekamy za długo, proszę pani. Chcemy uniknąć pomyłki, czekamy za długo i przestępcy udaje się umknąć do zacisznego schronienia, gdzie nie obowiązuje prawo ekstradycji. Niewiele ich zostało co prawda. Ale zawsze musimy się z tym liczyć. I nie wolno nam ryzykować.

— Kim by nie uciekł. Bo dlaczego? Nic o tym wszystkim nie wie. Test tak samo zaskoczony jak ja. Nawet bardziej. Jest zagubiony i bezradny, i... i ja nie mogę tego znieść.

— Bardzo mi przykro, proszę mi wierzyć. — Zawahał się. —

Nie wiem, czy to panią pocieszy, ale pracujemy całą parą, nawet po godzinach, żeby wyjaśnić każdy szczegół tej dziwnej sprawy. Jeśli może nam pani pomóc, będziemy bardzo wdzięczni.

— Czy to znaczy, że próbujecie go oczyścić z zarzutów?

— Zawsze próbujemy wykazać, że ktoś jest niewinny, jeżeli jest to w naszej mocy. Zapewniam panią.

— Adwokat, pan Corcoran, wcale nie dba o oczyszczenie nazwiska Kima. Ma go bronić i z pewnością spróbuje go uwolnić, spróbuje uchronić... przed szubienicą. Ale nie obchodzi go Kim jako człowiek. Obchodzi go tylko wygranie sprawy.

— Nie lubi go pani?

— Nie, nie lubię go. Ale jeśli wydobędzie Kima z tego, to już bardzo wiele. W końcu głównie o to chodzi. On jest zdolny. Wiem, że jest bardzo zdolny, i na pewno zna wszystkie prawne kruczki. Ale Kim obchodzi go tyle co zeszłoroczny śnieg.

— Krótko go pani załatwiła. Czy aby ma pani rację? Tak samo myślała pani o policji.

— I dalej tak myślę. Nie zmieniłam zdania. Nie wolno wam było tak z punktu arestować Kima — przecież charakter też się liczy i nieskazitelna reputacja. Kim by nie uciekł w żadnym wypadku. Przede wszystkim nikogo by nie zamordował, ale gdyby popełnił coś złego, nie przestraszyłby się konsekwencji.

— Zamilkła; miała zaciśnięte usta i oczy pociemniałe z gniewu. W areszcie Bill kazał sprowadzić Kima do pokoju wizyt. Sam czekał w biurze rozmawiając ze strażnikiem. Uznał, że Kimowi i Melissie należy się dziesięćminutowe sam na sam. Kiedy wszedł do nich, stali oboje przy oknie, przytuleni, zapatrzeni w siebie. Kim odwrócił głowę, zobaczył Billa, odsunął się od żony i czekał.

— Blake — przedstawił się Bill. — Inspektor z Wydziału Zabójstw.

— Tak, Melissa mi powiedziała.

Piękny chłopiec, wysoki, prosty jak świeca, spokojne oczy i usta, lśniące, ciemnorude włosy, pełen godności i odwagi sposób bycia. Morderca?

Wygląd o niczym nie świadczy. Ale robi wrażenie na przysięgłych. Paddy Corcoran łatwo będzie święcił triumfy z tą tak piękną parą: szlachetnym, inteligentnym profesorem uniwersytetu i jego prześliczną, niewinną, młodziutką żoną. Prawdziwa gratka dla Paddy Corcorana.

— Melissa mówi, że nastawienie policji uległo jakby pewnej zmianie:

Bill uśmiechnął się.

— Pana żona niedokładnie zrozumiała. Policja zajęła się teraz konkretnymi szczegółami, sprawdzaniem każdego drobiazgu, analizowaniem dowodów. Zabierze to trochę czasu. Jest tego sporo.

— Czy przynajmniej badacie wszystko skrupulatnie?

— Bardzo skrupulatnie.

— Ja nie jestem winny, panie inspektorze.

— Bardzo możliwe. Mam nadzieję, że uda nam się tego dowieść bez cienia wątpliwości. Jednego pana żona może być pewna. Paddy Corcoran to nie byle jaki przeciwnik. Nie odda żadnej lewy. Jeśli sprawa jest w jego rękach, nie możemy sobie pozwolić na bluff. Każda odzywka musi mieć pokrycie.

— To brzmi tak, jakby to była dla was gra — powiedziała gniewnie Melissa.

Kim przygarnął ją ramieniem.

— Nie wiedziałem, że żenię się z jędzą. Myślałem, że znalazłem sobie gołębicę.

— Jeśli wolno — powiedział żartobliwie Bill — to proponuję, aby gołębica vel jędza zostawiła nas teraz samych. Pewne rzeczy musimy przedyskutować.

Stał przy oknie i zajął się intensywnym obserwowaniem nieba, żeby nie być świadkiem ich pożegnania. Czy zachowuje się jak naiwny głupiec? Czy jak każda ława przysięgłych, składająca się z przeciętnych istot ludzkich, jest już pod urokiem tej pary niewiniątek? Obcasy Melissy lekko zastukały po podłodze. Kim odprowadził ją do drzwi i pocałował raz jeszcze. Odwrócił się do Billa ze stężałą twarzą.

Bill usiadł, zapalił papierosa.

— A teraz poprosiłbym, żeby mi pan opowiedział po kolei,

własnymi słowami, całą historię piątkowego popołudnia i wieczoru. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Opowiadałem to już dziesiątki razy. Każde moje słowo jest zaprotokolowane.

— Ale mnie przy tym nie było. Nie słyszałem, jak pan mówił, ani — Bill był szczery — nie obserwowałem pana twarzy, kiedy pan mówił. Proszę zacząć od telefonu doktora Pattersona. Każde słowo pana i jego.

Fitzgerald powoli usiadł na krześle.

— Nie ma żadnego doktora Pattersona.

Bill był zaskoczony.

— Przepraszam?

— Wiem. Mówiłem, że istnieje, przysięgałem nawet. Dla mnie ten człowiek istniał. Ale Melissa... Melissa zatrzymała się w hotelu „Meridian” w przeddzień mojego aresztowania. Następnego dnia rano rozmawiała z personelem hotelowym. Zadała parę pytań dość istotnych, pana ludzie na to nie wpadli. Odpowiedzi nie są dla mnie korzystne, ale na pewno są zgodne z prawdą. Nie było żadnego doktora Pattersona. W pokoju dwieście osiemnaście zaraz po pierwszej zameldował się Alvin Hood. Parę minut przed tym telefonem do mnie. Nie mógł więc tam mieszkać nikt inny. Powiedziała to Corcoranowi, który wykombinował, że ten Patterson mógł być przyjacielem Hooda, ale nie widzę w tym żadnego sensu. Cała sprawa została z góry ukartowana. Ktoś chciał, żebym był w hotelu o tej porze, zastawił pułapkę i ja w nią wpadłem.

— Rozumiem. — Więc ta naiwniutka, niedoświadczona dziewczyna zdołała odkryć coś, co przeoczyli fachowcy. Bardzo ładnie. — Proszę mówić dalej. Nic nie pomijając.

Fitzgerald kontynuował opowieść. Wszystko zgadzało się co do joty z protokołem dotychczasowych zeznań. Mówił bez afekcji, jakby powtarzał tę historię tak często, że utraciła wszelkie znaczenie. Kiedy skończył, Bill popadł w zadumę.

— Zasadnicze pytanie, to według mnie: kto mógł zmontować tę intrygę? Kto wiedział, że na wiadomość o dziennikach lojalistów gotów jest pan pójść na koniec świata?

Fitzgerald uśmiechnął się blade.

— Prawie każdy, kto mnie choć trochę znał. Zacząłem po amatorsku interesować się historią bardzo dawno, jeszcze w szkole. Ojciec opowiadał mi często o Irlandii, o emigracji irlandzkiej do Kanady. Zawsze poznając ludzi, usiłowałem się dowiedzieć, kim są, skąd się tu wzięli. Chciałem znać budowniczych Kanady. Bardzo mało uwagi poświęcono tej pasjonującej sprawie. Lojaliści mnie fascynują. Przenieśli się tu z tak różnorodnych powodów i tak niewiele mających wspólnego z lojalnością. — Potrząsnął głową. — To na nic. Wszyscy moi znajomi wiedzą. Zresztą, opublikowałem na ten temat książkę i serię artykułów. Każdy mógł to przeczytać.

— Krótko mówiąc, nie tędy droga.

— Niestety, nie.

— A czy na przykład Hood mógł to wiedzieć?

Spokojne oczy Kima rozbłysły gniewem.

— Skąd mam wiedzieć, co Hood o mnie wiedział? Nigdy o nim nie słyszałem.

— Ale jeśli to Hood dzwonił do pana, udając słaby starczy głos — nie jest to trudne, nawiasem mówiąc — to albo sam znał pana zainteresowania lojalistami, albo ktoś mu to podsunął.

— Nie widzę w tym sensu, inspektorze.

— Czy zastanawiał się pan poważnie na tym, kto mógł pana w to wpakować? Jeżeli nie zabił pan Hooda, a założmy na razie, że mówi pan prawdę, to wobec tego ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby aresztowano pana i — najprawdopodobniej — skazano. Ktoś, kto zna pańskie zainteresowania, adres domowy, biuro. Kto wie, jak się do tego biura dostać. Wspomnę jeszcze, że kartka załączona do pieniędzy dla Hooda nie została napisana na pańskiej biurowej maszynie, co też świadczy o sprycie tego człowieka. Załącznik do przesyłki nadanej w Sugar River pochodzić powinien z Sugar River. Czy był u pana w domu ostatnio ktoś obcy i czy ma pan w Sugar River maszynę do pisania?

— Tak, mam, ale nikogo u nas nie było. — Przerwał. — Nie, to nieprawda. Robiliśmy przecież gruntowny remont, pracowali przy tym rzemieślnicy, malarze, sprzątaczkę. Poza tym kręcili się po domu miejscowi ludzie, nasz policjant Jerry Moran.

Zdarzył się u nas przykry wypadek, a raczej nie tyle zdarzył, co wyszedł na jaw po naszym powrocie. Paskudna sprawa. Mnóstwo ludzi przewinęło się wtedy przez nasz dom.

— Zwłoki kobiety nad jeziorem?

— Słyszał pan o tym?

— Tak, słyszałem. Jeszcze ktoś u was bywał?

— Nie, nikt. Latourelle, oczywiście. — Zaciśnął usta. — Moja żona mieszka teraz u Latourelle'a. To znaczy, u jego siostry Lei Faunce. Nie ukrywam, że nie bardzo mi się to podoba. Latourelle w roli serdecznego, prostodusznego sąsiada... Nie wiem, o co mu chodzi, ale nie chcę, żeby Melissa z nim przebywała.

— Jestem pewien, że jej nie zrobi krzywdy — ich spojrzenia się spotkały, Fitzgerald, skinął poważnie głową — tym niemniej rozumiem pana. Znam jego reputację. Będziemy go mieli na oku. A ta jego siostra? — dodał mimochodem. — Też jest pana znajomą?

— Nawet nie wiedziałem, że ma siostrę. Nigdy nie byliśmy zaprzyjaźnieni. — Ściągnął niecierpliwie brwi. — Melissa nie może u nich mieszkać za długo. Muszę to jakoś inaczej urządzić. Nie chcę też, żeby mieszkała sama. Nie wiem, co zrobić... Nie mam krewnych, a moi nieliczni przyjaciele zawsze o tej porze roku wędrują po świecie. Wracają dopiero w październiku, na początku roku akademickiego.

Billowi snuły się po głowie niejasne kombinacje. Latourelle... Melissa...

Bzdura! Ta sprawa dotyczyła Hooda, nie Latourelle'a. Fitzgerald w jakiś tajemniczy sposób został wplątany w życie Hooda. I w jego śmierć.

Zapalił drugiego papierosa.

— Czy zetknął się pan może kiedyś z dziewczyną nazwiskiem-Coral Vandenberg? — zapytał.

Efekt jego słów był zaskakujący. Fitzgerald skamieniał. Na zbielelej jak kreda twarzy pojawił się wyraz panicznego przerażenia. Otworzył usta, ale nie wydobył z nich dźwięku. Wreszcie wpatrując się z zabobonną trwogą w Billa, szepnął:

— Jak się ta dziewczyna nazywa?

— Vandenberg, Coral Vandenberg. — Trafiłem go, pomyślał Bill. Ale co odsłoniłem? Najczarniejszy kął piekła, tajemnicę ukrytą w najgłębszych czeluściach?

— Coral Vandenberg? — twarz Kima stopniowo odzyskiwała naturalną barwę. Zdołał nawet uczynić przeczący gest głową. — Nie... nie znam takiej. Nie zetknąłem się... nie.

Bill obserwował kółka dymu z papierosa.

— Nie udawajmy przed sobą, że nie dotknąłem czulego miejsca. Gdyby zadano panu to pytanie na rozprawie i reakcja byłaby taka jak teraz, znalazłby się pan w trudnej sytuacji. Lepiej niech pan to wyjaśni. Dla własnego dobra.

— Kto to jest Coral Vandenberg? — z trudem wymówił nazwisko.

— Nie jestem całkiem pewny, może to w ogóle jest ktoś bez znaczenia. Ale Hood ją znał. Tyle zdołaliśmy stwierdzić. Sprzedał jej fortepian. Może nic poza tym. Ale co jej nazwisko znaczy dla pana?

Gdzieś z drugiej strony długiego korytarza rozległy się dźwięki dzwonu, zaszurały kroki.

— Budzi wspomnienia, do których wolę nie wracać nawet myślą i które za wszelką cenę chcę ukryć przed Melissą. To wszystko zresztą już minęło. Bezpowrotnie. Dawno temu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, może nie dzieckiem, ale młodym osiemnastoletnim chłopcem, znałem dziewczynę o tym nazwisku. Nie Coral. Weronikę. Weronikę Vandenberg. Była starsza ode mnie o trzy lata. Ja uważałem, że jesteśmy po prostu przyjaciółmi. Ona łudziła się, że jest inaczej. I na tym złudzeniu opierała poważne plany. Te plany... no, zawały się. I była... powiedzmy, że była wściekła. — Głos mu się załamał.

— Mściwa? Zawzięta?

Przytaknął.

— Mogła się stać niebezpiecznym wrogiem? „Nie ma w piekle furii gorszej niż wzgardzona kobieta”. Zna pan ten cytat, Fitzgerald? Ja znam to z własnych obserwacji i cudzych doświadczeń. Nie ma tygodnia bez tego typu sprawy. Czy ta dziewczyna mogła stać się pana śmiertelnym wrogiem?

— Nie żyje od ośmiu lat.

— Rozumiem. Jest pan pewien?

— Absolutnie. Mój Boże, gdyby ona żyła, nie ośmieliłbym się ożenić z Melissą. Za nic w świecie. Nie, dzięki Bogu ona umarła.

— Skąd pan wie? Widział pan jej zwłoki?

— Nie. Ale widziałem świadectwo zgonu. Doktor Marsh, nasz lekarz z Sugar River, postarał się o kopię i przesłał mi ją do Oxfordu.

— Dlaczego doktor Marsh? Skąd on do tego?

Fitzgerald z trudem dobywał głos:

— Bo widzi pan, to on postawił diagnozę. Więc oczywiście, zawiadomiono go, kiedy umarła.

— Diagnozę?

— Umarła w szpitalu w Woods' Crossing.

— Była chora umysłowo?

— Paranoiczka. — Kim wyglądał o całe lata starzej. — Tragiczne dziedzictwo. Jej matka, przedtem o tym nie wiedziałem, jej matka była niepoczytalna. Jej wuj obłąkany. A ta dziewczyna... dostała kiedyś gwałtownego ataku, którego świadkiem był doktor Marsh.

— I to pan był przyczyną tego ataku?

— W pewnej mierze. Zawsze sobie to wyrzucałem. Och, zawsze miałem poczucie winy.

— Rozumiem. — Bill wstał. — Ale ta dziewczyna nie żyje. Widział pan na własne oczy świadectwo zgonu. Nie jest więc osobą, której szukamy. Czy miała krewnych?

— Tylko tę chorą matkę. Stąd cały problem. Nie miała żadnego oparcia. Liczyła tylko na mnie. Nie miałem pojęcia, jaka jest jej matka... Nigdy jej nie widziałem. Nie, nie miała krewnych, nie miała nikogo. Mówiła mi to setki razy.

— Czy oprócz niej jest ktoś jeszcze, kto może pana nienawidzieć, kto chce pana zniszczyć? Nikt panu nie przychodzi na myśl?

— Nikt. Nie ma nikogo takiego. Od tamtej sprawy, niech mi pan wierzy, byłem rozpaczliwie ostrożny. Tak ostrożny, że wolałem trzymać się na uboczu, stronić od prawdziwego życia. Chyba pan to rozumie?

Rozdział piętnasty

Mała pani Fitzgerald pachniała konwalia i zapach ten wydawał się dla niej najwłaściwszy. Drobną, młodziutką, delikatną, naiwną, taką właśnie, jak ją określił Savage. A przecież...

— Mąż wspomniał mi o pani odkryciach w hotelu „Meridian”.

— Nie odkryłam nic istotnego.

— Trudno przewidzieć, co okaże się istotne.

— Nie odważyłabym się na to, gdyby pan Johnson nie pobudził mojej wyobraźni opowieścią o Sarze. Widzi pan — mówiła w sposób dość zagmatwany — to tak, jakby te sprawy się zazębiały. Nie rozumiem, na czym to polega, ale przeczuwam straszne niebezpieczeństwo. Tak samo jak matka Kima. Na dodatek Sara opowiadała, że najgorsza rzecz pod słońcem zdarzyła się właśnie w Sugar River i że to jeszcze nie jest zakończone... I potem okazało się, że Kimowi grozi katastrofa. Więc to wszystko musi się ze sobą łączyć — spłotła ciasno palce. — Nie mogę tego znieść.

Bill spytał ostrożnie:

— Sara?

— Narzeczona pana Johnsona. Pracowała u Coral Vandenberg. Rozumiem, dlaczego jej nie lubiła. Mnie ona też nie przypadła do serca. Oczywiście, jest w niekorzystnej sytuacji. Zachrypnięta i jeszcze z tą wysypką, i w bandażach. Ale to nie jest sympatyczna osoba.

— Zaraz, zaraz. Jaka Sara?

— Sara Hansen. Pan Johnson sądził, że to jej zwłoki znaleziono w jeziorze. Ale nie, to nie była ta dziewczyna.

— Kto to jest pan Johnson?

— A... przepraszam. Przyjechał na naszą farmę i chciał mówić z Kimem, ale to było tego dnia, kiedy Kima zabrała policja. Pan Johnson jest buchalterem w „Coronation Arms”.

— Dlaczego myślał, że to zwłoki Sary?

Podniosła na niego wzrok. Czując na sobie spojrzenie tych

fiółkowszarych oczu, nie bardzo mógł się skoncentrować na prowadzeniu wozu, wysłuchał jednak całej historii. O Calvinie Johnsonie... o jego narzeczonej, trzydziestoletniej Sarze Hansen... o tym, jak pielęgnowała Coral Vandenberg, jak potem nagle zniknęła. Zadał jej mnóstwo pytań.

— Widzi pan, wszystko przez to nazwisko. Vandenberg. Zobaczyłam je w dzienniku matki Kima. Pani Fitzgerald panicznie się jej bała. I dlatego słowa Sary o tym czymś strasznym skojarzyły mi się z zapisem w pamiętniku. Ale to nie może mieć nic wspólnego, no bo jak? Tamta dziewczyna sprzed dziesięciu lat nazywała się Weronika Vandenberg, a nie Coral. A Sara to w ogóle ktoś inny. Pozbierałam razem różne strzępki, jak pani Holland na swoje szmacianki.

Bill odetchnął głęboko.

— Pani mąż mówił mi o Weronice Vandenberg.

— Cieszy mnie to. Bardzo mnie to cieszy. Bałam się, że dusi to w sobie, że go to boli. Nie wiem, o co chodzi, może po prostu pani Fitzgerald była tak wstrząśnięta, kiedy zobaczyła tę dziewczynę i jej chorą matkę, że przez to dostała ataku serca, który ją zabił. Tak to sobie wyobrażam.

Bill skręcił za róg, przejechał przecznicą i znowu skręcił.

— Coral Vandenberg znała Alvina Hooda. Sprzedał jej fortepian przed Bożym Narodzeniem.

Siedziała chwilę w milczeniu.

— Ale to nadal się ze sobą nie łączy. Bo Coral nie jest Weroniką, a Sara nie nazywa się Vandenberg. Wszystko jedno, co wiedziała o Sugar River.

— Czy pan Calvin Johnson tak naprawdę nie wie nic o swojej Sarze? Przecież w ciągu sześciu miesięcy narzeczeństwa czegoś się o sobie ludzie dowiadują. I trudno nie natknąć się na dawnych znajomych. Sam pani mówił, że Sara pracowała w wielu miejscach; musiała chyba znać mnóstwo ludzi? Czy nikt jej nigdy nie poznał, nie zagadnął?

Po krótkim zastanowieniu przypomniała sobie o spotkaniu przed restauracją na Orchard Street.

— Ale to okazało się pomyłką. Ten mężczyzna, co prawda, zapytał, gdzie się tak długo podziewała, ale ona pominęła to

milczeniem.

Bill zdecydował się.

— Jesteśmy o parę kroków od Orchard Street. Uznajmy to za zrządzenie losu.

Rozdział szesnasty

Bar pana Eda był czysty i przyzwoicie urządzone. Wywieszka w oknie polecała rybę z frytkami, pizzę i hamburgery, befsztyk po szwajcarsku, spaghetti i paprykarz. Ed był człowiekiem przornym. Specjalnością baru były dania proste: maksymalna oszczędność produktów i obsługi.

O tej wczesnej popołudniowej godzinie kelnerka zmywała blaty stołów i napełniała solniczki. Za długim dębowym kontuarem mężczyzna w białym fartuchu liczył ranny utarg. Zerknął w lustro nad swoją głową, szybko zakrywając dłonią niewielki stosik pieniędzy. Bill pokazał znaczek.

— Tym razem to nie napad z bronią w rękę — powiedział jowialnie. — Jestem inspektor Blake. Mam parę pytań.

Ed schował pieniądze do kasy i z założonymi rękami stanął za barem. Wyglądał jak były marynarz: duży, ciemny, silnie zbudowany, z mocno zarysowaną szczęką. Skierował wzrok na Melisę, ale jego spojrzenie nie było obraźliwe. Ładna dziewczyna, stwierdził przelotnie, nie interesując się tym dłużej, jako sprawą bez znaczenia dla niego osobiście. Miał rzeczowy stosunek do życia.

— Szukamy dziewczyny, no, może młodej kobiety. Trzydziestka mniej więcej. Niska, pięć stóp i dwa cale, chyba dość szczupła, na oko sto dziesięć funtów. Ciemne włosy, niepozorna. Okulary. Ubrana porządnie, ale skromnie. Bardzo powściągliwa, oszczędna. Przypomina pan sobie kogoś takiego?

Ed przyglądał mu się z namysłem.

— A powinienem?

— Nie wiem na pewno. Melisso, napije się pani kawy?

— Bardzo chętnie.

— Trzy kawy — powiedział Bill. — Napije się pan z nami? To

może potrwać parę minut.

— Czemu nie? Ja tam na lunch nigdy nie mam czasu.

O drugim śniadaniu też się zdarza zapomnieć.

— Mieszkał pan w Anglii?

— Kawał życia. Poznał pan po tym drugim śniadaniu. Zawsze mnie to bawiło. — Poszedł po kawę do kuchni i wrócił z trzema filiżankami, śmietanką i cukiernicą na tacy, którą postawił na stole. Melissa usiadła i położyła torebkę na wolnym krześle.

— Czy ta dziewczyna coś przeskrobała?

— Nie, nie chodzi tu o przestępstwo. Nie możemy jej znaleźć — to wszystko. Rozwiała się we mgle. Może celowo. Nie jesteśmy nawet pewni, czy to ma jakiś związek z inną sprawą i dlaczego. Rozumie pan, co mam na myśli?

— Aha — uśmiechnął się Ed. — Prawie wszystko ma związek z innymi sprawami. Skąd niby mam ją znać?

Bill spojrział na Melissę. Miała łagodny i niski głos, wspaniała zaleta u kobiety. Ten głos mógł poruszyć jakąś strunę w tym z gruba ciosanym mężczyźnie, skłonić go do wysiłku umysłowego. Nie bardzo jej się chciało w to wdawać, ale Bill czekał cierpliwie. Wreszcie zdecydowała się.

— To bardzo króciutka historia. Któregoś wieczoru w czerwcu przechodziło tędy dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Padał deszcz. Nagle wiatr zerwał markizę przed pańskim barem. I jakiś mężczyzna w białym fartuchu wyszedł, żeby ją przymocować.

Ed uniósł brwi.

— Ja. Nikt inny nie kręci się tu w białym fartuchu.

— Więc wyszedł pan, żeby przymocować markizę, i zderzył się pan z tą kobietą czy też ona wpadła na pana. Spadły jej okulary. Jej towarzysz podnosząc je usłyszał, jak pan powiedział: „Gdzie się podziewałaś, wieki cię nie widziałem” czy coś w tym rodzaju. — Spojrzała pytająco.

Potrząsnął głową.

— Nie mam zielonego pojęcia... — Wypił łyk kawy. — Kupię teraz inny gatunek. Smakuje wam to? Trochę za tania. Muszę oszczędzać, ale tu już przesoliłem? Jak myślicie?

— Nienadzwyczajna. — Bill uśmiechnął się. — Nie żebym był

znawcą. Zawsze chciałem być degustatorem wina. Wróćmy do dziewczyny. Wyglądałoby z pana słów, że dawniej często pan ją widywał. Może gdzieś tu pracowała lub mieszkała w pobliżu i stołowała się u pana?

— Kiedy?

— Na pewno przed Bożym Narodzeniem. W każdym razie przed styczniem. W styczniu zamieszkała gdzie indziej i już tu chyba nawet nie zajrzała.

— A w czerwcu przechodziła tędy i ja do niej zagadałem? Widzę, że to pewnie ważne, jak sam inspektor za tym chodzi, ale sześć miesięcy... Przecież przewala się tu ludzi do licha i trochę. Chociaż prawdę powiedziawszy, to przeważnie ci sami klienci. Rodziny — jedni fundują sobie kolację w czwartek, kiedy mają kogo przy dzieciach zostawić, inni znowu we wtorek czy piątek. Najwięcej w soboty. U mnie jest czysto, jedzenie dobre i tanie, a goście mogą sobie zamówić szykowne wina, jak chianti albo łagodne rosé. Ale mam też sporo gości przygodnych ze starych domów na Guelph Street. Mieszkają w pokojach umeblowanych, parę razy przyjdą, a potem już nie... Zmieniają pracę lub przeprowadzają się czy jeszcze co innego.

— Zastanowił się. — Za Boga nie mogę sobie przypomnieć żadnej małej, ciemno ubranej facetki w okularach, akuratnej i skąpej. Oni tu wszyscy w okolicy są oszczędni, ale pani chyba ma na myśli jakąś szczególną oszczędność?

— Ta dziewczyna na przykład zamawiała by zawsze najmniejszą porcję najtańszego dania.

— Niech pan spróbuje sobie przypomnieć ten wieczór w czerwcu — zaproponował Bill.

— Coś takiego pamiętam. Wiedziałem, że ta cholerna markiza ledwo wisi, ale nie miałem czasu się za to wziąć. I zerwała się. Widziałem, że się na to zanosi, pognałem piorunem i tak... chyba wpadłem na jakąś facetkę. Ale ta facetka... — przesunął ręką po krótkich, szczeciniastych włosach — była tylko do kogoś podobna, nic więcej. Nie do dziewczyny, o której wy mówicie. Nie do przyzwoitej, niepozornej, czystej, poważnej dziewczyny, do takiej jednej, co tu kiedyś często zaglądała. Nie bardzo ją lubiłem. W oczach było jakieś podobieństwo. Ale

zaraz się polapałem, że to pomyłka. To na pewno nie była ta sama.

Zadzwoił telefon. Kelnerka podniosła słuchawkę i zawołała:

— Ed, co z tym serem?

— Niech przyślą, wezmę cały.

— Jaka była ta druga dziewczyna? — spytał zdawkowo Bill.

— Zupełnie inna. Takie typy jak ta wasza mieszkają w umeblowanych pokojach, pichcą sobie na palniku coś do jedzenia i wpadają tu najwyżej raz na miesiąc~na hamburgera, jak je bardzo głód przycisnie. Ta bywała regularnie. — Przerwał. — Zresztą w ogóle tamta z czerwca... płaskie obcasy, przydługa sukienka, drobne kroczi. Zupełnie inny rodzaj facetki.

— Niech pan opowie o tej swojej.

— Myśli pan, że mogłem się pomylić? Nie. Ona była młodsza, wyższa i za skarby nie włożyłaby płaskich obcasów. Tanie pantofle, ale na najwyższych obcasach, jakie można dostać. Wymalowana — najwięcej oczy i usta. Miała kupę różnych strojów, tanich, ale ciągle je zmieniała. Nie dla niej gładkie granatowe sukienki, o nie! — roześmiał się. — I tak samo z jedzeniem: żadne tam małe porcje, żadne tanie dania. W życiu nie widziałem nikogo z takim apetytem. Bywała tu stale. Mieszkała w pokojach umeblowanych na Guelph Street. Wie pan, co zamawiała? Trzy, cztery razy w tygodniu? Spaghetti z podwójną porcją serowego sosu i poczwórnym masłem. I piwo. Dużo piła i szybko, widać przyzwyczajona. Jadła i piła zawsze, jakby umierała z głodu. Człowiek zachodził w głowę, gdzie jej się to mieści. Wcinała nie jak kobieta, ale jak drwal.

Melissa spojrzała na Billa i potrząsnęła głową. Ale Billowi jeszcze było mało.

— Jak wyglądała, pomijając ubranie i makijaż?

Ed zamyślił się.

— Trudno powiedzieć. Nic szczególnego. Ot, taka sobie twarz. Może nawet i ładna, to znaczy nie jakieś brzydactwo czy pokraka. Zwyczajna. Rzadkie włosy... Okropnie się tym przejmowała. Próbowwała je jakoś utapirować, żeby były puszyste, ale nic z tego nie wychodziło. Szatynka. Nerwowa.

Ogryzała paznokcie, aż obrzydzenie brało. Nie widziałem, żeby ktoś tak ogryzał paznokcie do żywego mięsa. Sama się tego wstydziła. Jak na nie spojrzeła, zaraz ręce chowała za siebie. Ale nie pomagało. Taka była. Szybka, nerwowa, ogryzała paznokcie, co tam jeszcze? Aha, kochała się w biżuterii. Zawsze była obwieszona świecidełkami. — Potrząsnął głową. — Ja tam z niej pociechy nie miałem, niezależnie od tej jej biżuterii. Działała mi, wie pan, na nerwy.

Melissa zdziwiła się. Bill spytał:

— Lubił ją pan wbrew jej samej, co?

— Lubiłem? Rety, nie! Bałem się jej. Wie pan co, jestem kawalerem. Pojęcia nie mam, skąd się dowiedziała. Należała do tych, co to wszędzie wścibia nos i wszystko wywęszą. Była na swój sposób bystra. W każdym razie wiedziała, że nie jestem żonaty, i widziałem, jak na mnie patrzy. Bałem się jej jak ognia. Jedno było dla mnie jasne: jeśli ta dziewczyna przyczepi się do kogoś, to facet jest załatwiony. Nie ożeniłbym się z nią za żadne skarby świata i gdyby się uwzięła na mnie, skończyłoby się to kłopotami. Ta dziewczyna ściągała kłopoty jak magnes.

— Niezbyt urocza osoba.

— Urocza to ona nie była. Są takie dziewczyny — znałem w Anglii kobietę trochę do niej podobną. Kiedy się pojawiają, robi się wokół nich jak gdyby czarno. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale człowiek by wiał, gdzie pieprz rośnie. Byłem zadowolony, jak przestała tu przychodzić. To bzdura, i tak nie pozwoliłbym jej przyczepić się do mnie, ale rozumie pan, prawda?

— Kiedy przestała przychodzić?

— To mogę powiedzieć dokładnie. Przyszła tu wieczorem drugiego stycznia. Było pustawo, ludzie siedzieli w domach i zjadali resztki indyka, ale ona, rzecz jasna, nie miała domu: Weszła. Trochę mi jej było żal, taka samotna biedulka. Zawsze sama. Postawiłem jej piwo. Usiadła przy stoliku i zamówiła spaghetti, jak zawsze. Ktoś zostawił na krześle „Star”. Wzięła gazetę i zaczęła przeglądać. Przewracała strony i nagle odstawiła szklankę i zupełnie o niej zapomniała. Zagapiła się na coś w tej gazecie. Wybałuszyła oczy, jakby zobaczyła... — przerwał.

— Upiora? — odpowiedział grzecznie Bill.

— Nie, nie upiora. Wcale nie. Nic złego. Przeciwnie, coś, co ją ożywiło i ucieszyło. Bo ja wiem — jakby nagle objawił się jej cud. Właśnie tak. Jakby miała objawienie. Wstała, nie czekając na swoje spaghetti, i szybko wyszła.

— A co było w tej gazecie?

Ed roześmiał się.

— Owszem, obejrzałem ją sobie dokładnie. Ale nic .nie znalazłem. Zwyczajnie, strona z fotosami. Pary tańczące na balu noworocznym w Royal York. Same zdjęcia. Ale coś tam musiało ją uderzyć, bo zabrała się, i poszła. Więcej już jej nie widziałem. Jedno panu powiem. Ta kobieta w czerwcu mogła mieć podobne oczy, ale to nie była ta sama osoba. Niech mi pan wierzy, to był zupełnie kto inny.

Rozdział siedemnasty

— Gdzie w Kanadzie sprawdza się akta ewidencji ludności? — spytał Savage. — U nas szukałbym w Somerset House lub w archiwach parafialnych.

— Tu w Toronto spróbuj na Queens Park. Ale najpierw zadzwoń na policję do Edmonton, może oni coś wiedzą. Cornelius Vandenberg umarł zeszłego lata. U nich powinien być notarialny odpis testamentu. A na Queens Park jego metryka, akt ślubu i świadectwo rozwodu, jeśli rozwodził się w Ontario. Panna Coral Vandenberg powiedziała pani Fitzgerald, naszej bystrej Melissie, że jej ojciec pochodzi ze wschodu, to znaczy licho wie skąd, tyle tylko, że holenderscy lojaliści osiedlali się głównie nad zatoką Quinte, a Vandenberg to nazwisko holenderskie. Przede wszystkim musisz sprawdzić, czy Cornelius Vandenberg miał drugie dziecko, córkę urodzoną w Ontario jakieś trzydzieści lub więcej lat temu.

— Siostra przyrodnia Coral?

— Starsza siostra przyrodnia, Weronika. Musisz sprawdzić dosłowne brzmienie testamentu: czy spadek pozostawiono po prostu „córce”, czy ta córka jest wymieniona po imieniu. To

bardzo ważne. Poza tym, Dennis, daj jeszcze paru chłopców do szukania Sary Hansen. Hepple jest przeciążony. Mam cholernie dziwne uczucie, że... — zamilkł. — Ona jest bardzo sprytna. Kuta na cztery nogi.

I zmienia osobowość równie łatwo jak ja skarpetki. Musimy ją znaleźć.

— To nie będzie łatwe. Porę na zniknięcie wybrała bez pudła. Drugi lipca, zaraz po Dniu Dominiów, tuż przed amerykańskim świętem niepodległości...

— Ona zawsze wybierze najlepszą porę — powiedział ponuro Bill i wstał. — Jadę do Woods' Crossing.

— A co z Coral Vandenberg? Chyba powinniśmy ją mieć na oku.

— Nigdzie się nie wybiera. Jeszcze nie jest zdrowa — zachrypnięta, zabandażowana. Co prawda, może ją ktoś odwiedzić, nawet taki gość, na którym nam szczególnie zależy, ale jak to sprawdzić w tym tłumie ludzi?

Do szpitala dla umysłowo chorych w Woods' Crossing jechało się dwie godziny. Bill nie umiałby wiele powiedzieć o okolicach, przez które przejeżdżał. Był całkiem pochłonięty zestawianiem poszczególnych fragmentów łamigłówki Hood-Fitzgerald. W żaden sposób nie chciały ułożyć się sensownie. Nie tworzyły logicznej całości, niezależnie od tego, jak próbowało się je dopasować.

Melissa? Latourelle będzie nad nią czuwał. Jest w niej zakochany.

Za miasteczkiem droga skręcała w dół. Szpital w Woods' Crossing był dużym zakładem. Centralny gmach administracji miał dwa szerokie skrzydła i otoczony był mniejszymi budynkami.

Żadnych murów, żadnych drutów pod napięciem. Na uprawnej ziemi dokoła budynków pracowali ludzie. Zbierali pomidory, wrzucając je do wielkich koszy, i wyglądali zupełnie jak normalni robotnicy rolni, tyle tylko, że co dziesiąty człowiek był niewątpliwie strażnikiem, czujnie obserwującym swoich podopiecznych.

Czy łatwo było stąd uciec? Zabudowania stały daleko od

szosy, zbieg musiałby przebyć duży obszar otwartej przestrzeni. Ale ludzie uciekają z najlepiej strzeżonych warownych więzień. Przebiegłość, ostra klaustrofobia, decyzja ucieczki za wszelką cenę — w tych warunkach rzecz jest do przeprowadzenia. Chorzy umyślowo są czasem niezwykle bystrzy, bardzo pomysłowi i jeśli sytuacja tego wymaga, potrafią zdobyć się na precyzyjne planowanie. Strażnicy nie zarabiają zbyt wiele. Ich praca jest wyczerpująca, tak wyczerpująca, że mają niski wymiar godzin i z tego powodu mniejsze uposażenie. Żle opłacony strażnik, przebiegły pacjent, który potrafi go przechytrzyć, sztuczki, obiecanki....

Dyrektor szpitala był to spokojny mężczyzna, powściągliwy i powolny. Bardzo wysoki — przeszło sześć stóp wzrostu — z cierpliwym spojrzeniem i opanowanymi ruchami. Nazywał się Owen, był Walijszym.

— Inspektor Blake? — powtórzył doktor Owen powoli. — Sądzę, że chodzi panu o informacje dotyczące kogoś z naszych pacjentów?

— Wiem już, że pacjent, o którym chcę z panem porozmawiać, nie żyje. Chyba więc moja wizyta jest bezcelowa i niepotrzebnie pana trudzę. Ale mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe. Prowadzę ważne dochodzenie.

— Naturalnie. Ciągłe jakieś dochodzenia. My mamy takie same problemy. Zawsze grozi nam niebezpieczeństwo pomyłki, postawienia błędnej diagnozy, wyciągnięcia fałszywych wniosków. Ale śmierć... Czy to ja wystawiłem świadectwo zgonu? Czy pacjent umarł u nas?

— Tak mnie poinformowano. Pacjentka nazwiskiem Weronika Vandenberg. Przysłano ją tu dziesięć lat temu mniej więcej, nie wiem dokładnie kiedy. — Bill uświadomił sobie, że nie zna nawet przybliżonej daty, dziewczynę mogli tu przysłać dopiero w jakiś czas po śmierci matki Kima i po jego wyjeździe z Sugar River. — Powiedzmy, nie wcześniej niż dziesięć lat temu. Skierował ją niejaki doktor Marsh z Sugar River. Powiedziano mi, że umarła przed ośmiu laty.

Doktor Owen nie spuszczał wzroku z twarzy Billa zachowując kamienny spokój.

— Zdaję sobie sprawę, że przez wasz zakład przewijają się tysiące pacjentów, ale na pewno zachowaliście jej akta.

— Akta są do pana dyspozycji. Ale mogę panu od razu powiedzieć, co pan w nich znajdzie. Znałem tę sprawę aż za dobrze. Nie pamiętam, czy zetknąłem się z tą dziewczyną osobiście podczas jej pobytu u nas — była w złym stanie i pod ścisłą kontrolą, kiedy skierowano ją do szpitala, ale szybko się zaadaptowała. Stała się tak zwaną wzorową pacjentką. — Jego szeroka twarz na chwilę spochmurniała. — Otaczamy szczególną opieką wzorowych pacjentów. Zwłaszcza jeśli są inteligentni, a tamta dziewczyna była wybitnie inteligentna. Natychmiast opanowywała nowe umiejętności, okazała się niezmiernie przydatna w takim zakładzie jak nasz. Często praca okazuje się najwłaściwszą terapią.

— W jaki sposób umarła?

Doktor Owen nacisnął guzik wewnętrznego telefonu.

— Poproszę o akta Weroniki Vandenberg. Sprzed dziesięciu lat. — Spojrzał z namysłem na Billa. — Dziesięć lat to kawał czasu. Skąd zainteresowanie tą dziewczyną po tak długim okresie?

— Jeśli nie żyje, nasze zainteresowanie jest bezprzedmiotowe. Ale właśnie w tym rzecz, czy aby na pewno nie żyje.

— Na pewno — potwierdził łagodnie doktor Owen.

Do pokoju wszedł jakiś człowiek i położył na biurku niezbyt gruby skoroszyt. Doktor Owen nałożył okulary.

— Weronika Vandenberg... dwadzieścia jeden lat. Przyjęta piętnastego listopada dziesięć lat temu. Przedtem przebywała dwa miesiące w szpitalu psychiatrycznym w Toronto, gdzie została poddana badaniu. Skierowano ją do nas z orzeczeniem, że jest niebezpieczną paranoiczką i wymaga długiego leczenia.

— Piętnastego listopada? To znaczy, że do szpitala w Toronto przyjęto ją piętnastego września, jeśli była tam dwa miesiące?

— Tak. — Przebiegł wzrokiem tekst orzeczenia. — Paru naszych lekarzy kwestionowało diagnozę psychiatrów z Toronto. W ciągu dwóch miesięcy pobytu w tym bardzo zresztą dobrym szpitalu dziewczyna nauczyła się obiegowej terminologii. Wiedziała, czego lekarze po niej oczekują i jakie

wnioski wyciągną z jej zachowania. Problem był trudny. Odbyliśmy w jej sprawie szereg narad. W końcu uzgodniliśmy tryb postępowania. Rzadko zdarzało jej się pośliznąć, ale ostatecznie powód umieszczenia jej w szpitalu dla umysłowo chorych był wystarczająco poważny, abyśmy nie ośmielili się traktować przypadku lekkomyślnie, niezależnie od jej aktualnego stanu. — Odwrócił stronę. — Była bardzo użyteczna. Pod koniec pracowała w kuchni szpitalnej; jest to jedna z najodpowiedzialniejszych funkcji, jakie powierzamy pacjentom. Oczywiście nie kierowała pracą, ale zakres jej czynności był bardzo szeroki. Miała znakomitą pamięć. Usilnie starała się jak najlepiej wykonywać wszystkie polecenia zwierzchników. — Zdjął okulary. — W kuchni wybuchł pożar. Ekspłodował piec gazowy. Spłonęła ta dziewczyna i trzy inne. Tak, wystawiłem sam świadectwo zgonu, panie inspektorze. Dziewczyna umarła straszną śmiercią, na szczęście nie męczyła się długo.

Bill siedział bez ruchu. Dopiero po chwili odezwał się:

— Nie dopuszcza pan możliwości pomyłki?

— Pracowały tam tylko cztery kobiety. Nadzorująca pielęgniarka zamknęła się jak zwykle z trzema pomocnicami. Miała w kieszeni klucze. Dzięki nim została zidentyfikowana.

— Dzięki kluczom?

— Ogień był bardzo gwałtowny. Cudem udało nam się uratować inne budynki.

— A pozostałe trzy ciała? Jak zostały zidentyfikowane?

— Tylko te cztery kobiety mogły znajdować się w kuchni szpitalnej. Kelnerki odbierające tace przez okienko widziały je. Zresztą nikt inny nie miał ani potrzeby, ani możliwości dostania się tam. Cztery ciała i cztery kobiety, których było brak po pożarze. Tożsamość tej czwórki nie ulegała dla nas wątpliwości.

Bill powiedział ostrożnie:

— Po eksplozji nastąpiło na pewno straszne zamieszanie?

— Oczywiście. Musieliśmy ewakuować dwa oddziały. Przyjechały wozy strażackie, ambulanse, pożar ściągnął mnóstwo gapiów. W nocy większość naszego personelu ma naturalnie czas wolny od zajęć. Takie katastrofy zawsze

powodują poważne perturbacje. — W oczach doktora Owena pojawił się cień niezadowolenia. — Czy sugeruje pan, że dziewczyna, o którą pan pyta, nie zginęła od ognia i że w tym zamieszaniu udało jej się w jakiś sposób wymknąć?

— Nie miałbym śmiałości sugerować czegokolwiek.

— Panie inspektorze, czy ma pan istotny powód, by podejrzewać, że Weronika Vanderberg nie umarła?

— Nie wiem. Chyba nie. Ale Weronika Vandenberg nienawidziła pewnego człowieka. Nie wiem co prawda, czym zasłużył sobie na tak zawziętą nienawiść, ale trudno zrozumieć motywy postępowania ludzi chorych umysłowo. W każdym razie ten człowiek został teraz zaaresztowany pod zarzutem morderstwa i grozi mu szubienica. Istnieje domniemanie, że cała sprawa przeciw niemu została niezwykle sprytnie i podstępnie ukartowana. Ukartowana i zmontowana przez kogoś wyzutego ze skrupułów, szatańsko sprytnego i zuchwałego. Człowiek normalny, stanąwszy wobec konieczności wymyślenia zawilej i trudnej intrygi, gdzie każdy fałszywy krok grozi katastrofą i gdzie trzeba uwzględnić nieskończoną ilość drobnych szczegółów, na ogół nie potrafi iść wprost do celu, nie myśląc o konsekwencjach. W jakimś punkcie zwykle się poślizgnie. Ta osoba, nie pośliznęła się. Trafiłem na Weronikę Vandenberg właściwie przypadkiem. To znaczy, niezupełnie przypadkiem; żona oskarżonego, która bardzo go kocha, miała przebłysk intuicji... Historia jest długa i skomplikowana. Ten człowiek nie ma innych wrogów. I jeśli Weronika Vandenberg naprawdę nie żyje, to w ogóle żadnych wrogów mieć nie może. Istnieje tylko jedna alternatywa: albo ktoś jest jego wrogiem, albo on jest mordercą.

— A jesteście pewni, że nie jest?

— Nie, nie jesteśmy pewni. Dlatego tak mi przykro, że zabieram panu cenny czas. Ale mam jeszcze dodatkowe sygnały... Jednym słowem, gdybym opierał się na tych domysłach, twierdziłbym, że Weronika Vandenberg nie umarła, że wydostała się stąd, że w ciągu minionych lat z trudem utrzymywała się na powierzchni, pełna nienawiści i dysząca żądzą zemsty. Choć powtarzam: nie wiem. za co

miałaby się mścić.

Doktor Owem znowu zajrzał do dokumentów. Spytał powoli:

— Czy ten człowiek nazywa się Kimball Fitzgerald?

Bill czekał.

Owen zakrył dłonią oczy.

— Niech mi Bóg wybaczy... Jeśli popełniłem błąd, jeśli dałem się nabrać... Nie będę się usprawiedliwiał, że przedsięwzięłem wszelkie możliwe środki ostrożności. Bo jeżeli to prawda, co pan mówi, to ich nie przedsięwzięłem. Jeżeli to jest prawda, godzi to w podstawową zasadę naszej pracy. W naszą diagnostykę. W system terapeutyczny, jaki stosujemy. Podważa wszystko. Wszystko. — Spojrzał na Billa z rozpaczą. — Nie chcę powrotu do kaftanów bezpieczeństwa, do ciemnych, smrodliwych cel. Nie chcę. Nie wolno nam do tego wracać.

Bill przerwał łagodnie.

— Znaleźliście zwłoki czterech spalonych kobiet w zamkniętym pokoju...

— Tak. I tydzień przed pożarem, równo tydzień, ze szpitala uciekła pacjentka. Młoda, szesnastoletnia dziewczyna, ociężała umysłowo, niezdolna do zaplanowania ucieczki; tak w każdym razie sądziliśmy. Ale uciekła. Przypuszczaliśmy, że udało jej się przemycić do ciężarówki z żywnością. Szukano jej wszędzie, ale nigdy nie natrafiono na jej ślad. Więc gdzie się podziała?

— Czy myśli pan, panie doktorze, że ta zaginiona pacjentka...

— Weronika Vandenberg miała własny pokój, który sama sprzątała. Mogła ukryć tamtą dziewczynę, przechować ją. Pokój znajdował się w tym samym skrzydle, co kuchnia szpitalna. Czy zdołałaby przeszmuglować ją do kuchni? Możliwe. Odpowiedzialnej pielęgniarce w zasadzie nie wolno było dawać nikomu kluczy ani wypuszczać ich z rąk, ale zaufana pomocnica, taka jak Weronika... — podniósł zatroskany wzrok. — One są zdolne do wszystkiego. Każdy jest zdolny do wszystkiego. Te czwarte zwłoki to mogła być ta pacjentka, która zniknęła. A Weronika Vandenberg, zgodnie z pana hipotezą, skorzystała z zamieszania. Mogła na przykład ogłuszyć pielęgniarkę i przebrać się w jej strój. Kuchnia jest duża, ma wiele zakamarków, spiżarni, komórek. Tak, to jest możliwe. Na

litość boską... — Odsunął teczkę z dokumentami. — Jestem zupełnie załamany — powiedział głucho.

W pokoju zapanowała cisza. Stary lekarz był wstrząśnięty. Nagle usunął mu się grunt pod nogami.

— Czy wiecie, gdzie ona jest... jeśli nasze podejrzenia są słuszne?

— Szukamy jej. Nie, nie wiemy. Ale znajdziemy ją. Tym razem ma na swoim koncie morderstwo. — Bill spojrzął pytająco. — Ale i tak nie zostanie skazana na śmierć, prawda?

— Raczej nie. Doktor podniósł się ciężko z fotela. — Morderstwo. I znowu ten młody Fitzgerald został skrzywdzony i cierpi...

— Znowu?

— Może pan o tym nie wie. Dziewczyna została skierowana do szpitala przez domowego lekarza Fitzgeraldów. Mieszkała podobno w pobliżu ich posiadłości. Z jakichś powodów, których nie pamiętam czy też nigdy nie znałem, uniosła się gniewem na matkę młodego Fitzgeralda. Przyszła do niej do domu wieczorem — głęboko zaczerpnął tchu — i cisnęła pani Fitzgerald w twarz butelkę z kwasem.

Rozdział osiemnasty

Bill nie wrócił jeszcze z Woods' Crossing. Zapadł już zmrok, miasto odpoczywało i właściwie należało iść do domu. Ale pewne sprawy trzeba było przedyskutować z Billem, nim dzień się skończy.

Savage siedział przy biurku nad rozłożoną gazetą. Drugi styczeń; fotografie rozbawionych ludzi na balu noworocznym. Strona, która takie zrobiła wrażenie na dziewczynie w restauracji... na Sarze Hansen — bo to musiała być chyba ona. — Co ją tak zaskoczyło? Duże zdjęcie w prawym dolnym rogu „panny Coral Vandenberg, młodej milionerki, która przyjechała z terenów naftowych na wschód, żeby podjąć naukę muzyki, i śpiewu. Panna Vandenberg wynajęła apartament w hotelu «Coronation Arms»”.

Dziewczyna na fotografii była młoda. Coral Vandenberg była o piętnaście lat młodsza od Alvina Hooda. Ale kiedy tu przyjechała, nie знаła nikogo, poprosiła przecież recepcjonistę z „Coronation Arms”, żeby ją zabrał do klubu nocnego. Nie miała przyjaciół, towarzystwa — samotna dziewczyna z kupą forsy i czarnowłosa Hood ze swoją hiszpańską urodą. Jasna sprawa. Więc romans z Hoodem. Ale zaraz po Nowym Roku u Coral zaczęła pracować Sara Hansen i Hood nie mógł już być w hotelowym apartamencie. Wobec tego w pierwszych dniach stycznia wynajęła mieszkanie na Linton Lane. Chyba tak musiało być. Tylko że kobieta, którą opisał dozorca...

Poczuł dreszcz emocji. Łamigłówa zaczynała się układać. Ale do całości było jeszcze daleko i Bill nie omieszka mu tego wykazać.

Położył na biurku otwarty notes. Co wykrył dzisiaj, zbierając dane o Vandenbergach? Policja w Edmonton znalazła Corneliusa H. Vandenberg, który zmarł w sierpniu ubiegłego roku na wylew krwi do mózgu. Miał siedemdziesiąt cztery lata. Nieznane miejsce urodzenia. Cornelius Vandenberg ożenił się w Edmonton z niejaką Marią Lukovitch przed dwudziestu sześciu laty. W rok później urodziła się w miejscowym szpitalu ich córka Coral Maria.

Testament Corneliusa Vandenberg został legalnie zatwierdzony. Cały majątek zapisał w nim swojej córce Coral Marii. Majątek był duży. Egzekutorzy sprzedali wszystkie prosperujące przedsiębiorstwa i wypłacili jej po odliczeniu należności sumę miliona stu sześćdziesięciu siedmiu tysięcy czterystu trzech dolarów. Zatrzymała także akcje terenów jeszcze nie eksploatowanych, które w przyszłości mogły stać się dla niej źródłem nowych dochodów.

Dość kusząca fortunka — uznał Savage. Znowu spojrzął na zdjęcie Coral Vandenberg. Oczy bez wyrazu, przeciętne rysy, nijaka twarz. Tylko włosy gęste, długie, wijące się — wspaniałe włosy, dzięki którym wydawała się wręcz piękna.

W Queens Park znalazł miejsce urodzenia Corneliusa Vandenberg, Cornwall, Ontario, przed siedemdziesięciu czterema laty. Na pewno ten sam. Ożenił się trzydzieści dwa lata temu z

niejaką Sarą Potter i miał z nią córkę Sarę Weronikę w rok później.

W ewidencji nie było wzmianki o rozwodzie, chyba więc w ogóle się nie rozwiódł. Coral byłaby w tym wypadku nieślubną córką, ale ponieważ wymieniona jest w testamentie z imienia, i tak pozostaje legalną spadkobierczynią. Czy może w prawie kanadyjskim jest inaczej? Sara Weronika na pewno wiedziałaby, że Coral jest nieślubnym dzieckiem, i uważałaby, że cały majątek należy się jej, a nie Coral.

Rozmyślenia Savage'a przerwało otwarcie drzwi. Do pokoju wszedł Bill. Był blady, zmęczony, przybity. Już na schodach zdjął marynarkę i teraz powiesił ją starannie na wieszaku.

— Spotkałem na dole Hepple'a. Nie może znaleźć tej Sary Hansen. Wyszła z „Coronation Arms”, wsiadła do taksówki i pojechała na Union Station. Od tego momentu zniknęła jak kamień w wodę. Przypuszczam, że weszła do damskiej toalety, przebrała się w inny strój — miała na pewno w walizce plastikową torbę na zakupy — i wyszła jako inna osoba. Pustą walizkę po prostu zostawiła. W biurze rzeczy znalezionych jest granatowa pusta walizka, tie Hepple zbadał ją przez lupę cał po calu i nie trafił na najmniejszy ślad. Jeśli Hepple jej nie znajdzie, nikomu to się nie uda.

Savage wstał. Odłożył notes na biurko. Wyjął papierosy i poczęstował Billa, który wziął jednego machinalnie. Savage podsunął zapaloną zapalniczkę i Bill zaciągnął się głęboko jak człowiek, który zupełnie zapomniał, że istnieją papierosy. Dla siebie Savage wyjął fajkę. Zanosilo się na dłuższą rozmowę, wymagającą skupienia i namysłu.

— Czy ta Sara Hansen jest taka ważna?

— Sam chciałbym to wiedzieć na pewno.

— Czy Sara Hansen to Weronika Vandenberg? — I kiedy Bill zaskoczony utkwil w nim błyszczące oczy, wyjaśnił: — Cornelius Henry Vandenberg, urodzony w Cornwall, Ontario, siedemdziesiąt cztery lata temu, ożenił się z kobietą nazwiskiem Sara Potter. Ich córka Sara Weronika miałyby teraz trzydzieści jeden lat.

Po dłuższej chwili Bill powiedział:

— Tak. Należało się tego spodziewać. — Powoli podszedł do swojego biurka i opadł na skórzany fotel. — Ciągłe myślę o Melissie Fitzgerald. Mój Boże, Dennis, musimy znaleźć Sarę Hansen. Tak, Sara i Weronika to ta sama osoba, nie może być inaczej. Została uznana za zmarłą. Fitzgerald w to nie wątpi. Sam by chyba dostał kręćka, gdyby wiedział, że Weronika żyje. I że Melissa...

— Myślisz, że to Sara Hansen sfabrykowała te wszystkie dowody przeciw Fitzgeraldowi? Kobieta, która wzięła klucz od mieszkania na Linton Lane, przypomina o wiele bardziej Sarę niż Coral. W pierwszych dniach stycznia... drobna, skromnie ubrana, na pewno nie platynowa blondynka o wspaniałych, bujnych włosach. Czy Sara Hansen wynajęłaby mieszkanie na Linton Lane? Czy to Sara była tą kobietą Alvina Hooda?

Bill powiedział spokojnie:

— Na pewno nie umiemy dostrzec czegoś zupełnie oczywistego, co mamy tuż przed nosem.

— Co powiedziano ci w Woods' Crossing o tamtej dziewczynie?

— Oficjalnie nie żyje. Pożar. Osiem lat temu. Moim zdaniem, sama to wszystko uknuła i jest równie żywa jak ty czy ja, może nawet bardziej. Jest zła i niebezpieczna i nienawidzi Kima Fitzgeralda tak, jak potrafią nienawidzić szaleńcy. Paranoiczka. Rozumiesz, co to znaczy. Musimy ją znaleźć i przysięgam, że nie wiem, jak to zrobić. Wstydzę się do tego przyznać. To urodzona aktorka, umie grać każdą rolę. Na pewno pracowała w teatrach przy szyciu kostiumów czy może pomagała w charakteryzacji. Niewątpliwie była zatrudniona w hotelu „Meridian”. Po ucieczce z Woods' Crossing dziewczyna bez wykształcenia, bez kwalifikacji musiała zarabiać jako sprzątaczką albo coś w tym rodzaju. Stąd zna tak dobrze rozkład hotelu. Ale na nic się nie zdadzą prób/ odtworzenia jej losów po ucieczce. Na pewno często zmieniała pracę, bała się dłużej zostać w jednym miejscu. Nazwisko też chyba zmieniała dziesiątki razy. Nawet dopytywać się. o nią trudno, bo nie można jej opisać. Po prostu drobna, rzadkie, ciemne włosy, nijaka twarz, podobna do setek innych twarzy, przeciętne rysy,

żadnych znaków szczególnych. Nic. — Bill wstał, nie mogąc opanować zdenerwowania. — Jeśli to jest Sara Hansen, a inaczej być nie może, to skąd wzięła pięćset dolarów, żeby je przesłać Hoodowi? Hepple mówi, że miała konto w banku i zamknęła je w końcu czerwca. Trzysta siedemdziesiąt sześć dolarów — nie ponadto.

— Coral dysponuje każdą sumą — powiedział z zadumą Savage.

— To właśnie mnie przeraża. Czy są w zмовie? Nie mogę tego rozgryźć. Czy to Sara wynajęła mieszkanie na Linton Lane? I dla kogo? Dla tej utopionej dziewczyny? I czy ta dziewczyna była związana z Kimballem Fitzgeraldem? Nie natrafiliśmy na żaden ślad takie i sprawy w jego przeszłości. Czy Sara otworzyła rachunek w banku w Oschawie za pieniądze Coral i dlaczego? Czy Sara знаła Coral przed Nowym Rokiem, kiedy zgłosiła się u niej do pracy? Czy doszło między nimi do natychmiastowego porozumienia, dlatego że mają pokrewne dusze? Czy obie są paranoiczkami? Weronika jest dziedzicznie obciążona od strony matki, nie ojca. Nic tu się nie zgadza. I cały czas myślę, że Melissa Fitzgerald...

— Dlaczego myślisz o Melissie Fitzgerald, Bill?

Bill spojrział na niego oczami bez wyrazu. I powiedział, dlaczego niepokoi się o Melisę.

W pokoju zaległo nabrzmiałe grozą milczenie. Savage czuł się wprost chory na myśl o uroczej twarzy, o ufnym, niewinnym wejrzeniu głębokich, szarych oczu.

Zadzwoił telefon. Bill podniósł słuchawkę.

— Tak, Melisso — powiedział i bezwiednie odetchnął z ulgą.

— Nie rozumiem. Zaraz. Dostała pani list od doktora Pattersona. Od doktora Alexa Pattersona, który pisze, że chce się z panią spotkać i wszystko wytłumaczyć? I że to oczyści Kima? Chce się z panią umówić? Gdzie?

Znowu słuchał chwilę ze zmarszczonymi brwiami. Wreszcie powiedział:

— Tak, mogę sobie wyobrazić, co pani przeżywa, Melisso. W małym parku przy St. Clair? Spojrział na zegarek. — Dochodzi ósma. Jakim sposobem dostała pani teraz list od doktora

Pattersona wyznaczający spotkanie na wpół do dziewiątej? Aha, rozumiem. Dobrze, niech Latourelle panią zawiezie. Może pani wejść do parku. Ale proszę nie opuszczać go z nikim pod żadnym pozorem. Ja też tam będę, ale nie zobaczy mnie pani. Nie wyjdzie pani z ogrodu? Proszę iść wprost do posągu w centrum i tam czekać. Nigdzie indziej.

Odłożył słuchawkę.

— Słyszałeś? Podobno on może wyjaśnić straszną pomyłkę, wytłumaczy wszystko w rozmowie z nią, nie. chce mówić z nikim innym, boi się czegoś. Nie rozumiem — dodał gorzko. — Teraz już nic nie rozumiem.

— Jak ten list do niej dotarł?

— Wysłano go do Sugar River na adres domowy i stamtąd skierowano go do Toronto. Ekspres polecony. Nie wiem, o której godzinie tamtejszy wóz pocztowy przyjeżdża do Toronto, może wieczorem. W każdym razie tak to musiało być. Jedziesz ze mną? Chcę zobaczyć, kto pokaże się w tym parku, jeśli w ogóle ktoś się pokaże. Nie wyobrażam sobie, żeby to mogło być dla niej niebezpieczne. Ten park to właściwie niewielki skwer, nie ma tam drzew, tylko trochę krzewów i parę ławek. Nikt nie odważy się nic przedsięwziąć na otwartej przestrzeni. Dziwna historia. Jedziesz?

— Jadę. Jasne, że jadę.

Rozdział dziewiętnasty

— Może on mieszka blisko parku, Latourelle? Może ktoś mu przeszkadza? Ten list brzmiał tak, jakby ledwo śmiał go napisać.

— Co konkretnie powiedział Bill?

— Żebym z nikim nie wychodziła z parku. Bardzo na to nalegał. Nie wiem dlaczego. Jest taki niespokojny...

— Przypadł ci do gustu, prawda?

— Inspektor Blake? Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie policjanta. Jest ludzki. Wydaje się, że wie, co człowiek myśli, zanim sam sobie to uświadomi. Jestem pewna, że gdyby on

prowadził sprawę od początku, nie zaarrestowano by Kima. Jest bardzo delikatny i rozumny.

Latourelle odwrócił głowę w jej stronę. Sposób, w jaki na nią ostatnio patrzył, peszył ją nieco. Jakby się czegoś od niej domagał, rościł sobie jakieś prawa. Śmieszne. Nie było w tym nic osobistego. Chciał ją malować, mówił, że jest piękna, a piękno znaczy dla Latourelle'a więcej niż dla innych ludzi. Latourelle jest artystą.

— Jak Blake wygląda?

Melissa powiedziała z roztargnieniem:

— Jest bardzo duży. — Strapiła się, przypomniawszy sobie, że Latourelle nie jest wysoki, i dodała szybko: — Pomóż mi myśleć, Latourelle. Ustaliliśmy, że nie istnieje żaden doktor Patterson, a teraz ten list... Właśnie taki, jaki powinien być: cienki, tani papier, drżące, starcze pismo, obawa, która z niego przebija... To ja uznałam, że Alvin Hood sam zadzwonił do Kima udając doktora Pattersona. A co teraz?

— Zastanawiam się, dlaczego Blake zabronił ci opuszczać park z kimkolwiek. Co to znaczy „z kimkolwiek”? Czy spodziewa się jakiejś zasadzki?

Melissa nie odpowiedziała. Siedziała ze ściśniętym sercem, przejęta lękiem, ale przez otaczający ją zewsząd mrok przeblyskiwał teraz słaby promyk nadziei. Jeśli stary doktor Patterson pojawi się, a przecież usilnie zabiegał o spotkanie z nią, podkreślił w liście pewne słowa, napisał, że chce oczyścić Kima... Jeśli więc potrafi to zrobić, koszmar skończy się wreszcie. Cokolwiek ten człowiek jej powie, ona powtórzy inspektorowi i policja podejmie natychmiastowe kroki. Kim mógłby być wolny nawet dziś wieczór jeszcze. Mój Boże...

Samochód skręcił w ulicę zabudowaną wielkimi nowoczesnymi blokami. Nie wyglądało to na dzielnicę, w jakiej mógłby mieszkać ubogi człowiek. Po drugiej simulo był niewielki park z posągiem Piotrusia Pana na centralnym placu. Na ławkach w alejach parkowych nie było nikogo. Mrok gęstniał. O wpół do dziewiątej nie będzie jeszcze zupełnie ciemno, ale niewiele już będzie widać. Może tego właśnie chciał starzec.

Wysłał list do Sugar River. Ale wiedział, że ona mieszka teraz

w Toronto! Tutaj ustalili miejsce spotkania. Dlaczego zaryzykował wysłanie listu do Sugar River, skoro mógł nie dojść na czas? Przecież i tak zaledwie zdążyła. Wysłał go ekspresem i nie wymienił konkretnie dnia. Tylko „o wpół do dziewiętej dziś wieczorem”, więc gdyby dostała list dopiero jutro...

– Latourelle, może wcale nie dzisiaj miałam tu być?

Latourelle objechał park, zawrócił i zatrzymał wóz pod wysokim drzewem po przeciwnej stronie ulicy.

– Zobaczmy – jego głos brzmiał dziwnie. Na pewno nie wierzy w tego doktora Pattersona. Uważa to za szukanie wiatru w polu. Spełnia tylko jej prośbę, jak zawsze. Ale dlaczego nie wierzy? Czy wie coś, o czym ona nie wie?

Wysiadł, żeby otworzyć przed nią drzwiczki. Podziękowała, przeszła przez jezdnię do parku, po czym ruszyła powoli aleją do centralnego placyku z przykrą świadomością, że jest bardzo widoczna w swojej białej sukience.

Po przelotowych alejach jeździły w obie strony samochody. Dwie dziewczyny na bardzo wysokich obcasach, starannie umalowane, przeszły przez park w kierunku oświetlonych domów na St. Clair. Melissa czekała. Nie widziała białego buicka inspektora Blake’a. Zaledwie mogła rozróżnić zarys samochodu Latourelle’a pod wysokim drzewem. Zapadający mrok wzmagał atmosferę napięcia. Dlaczego inspektor nakazał, żeby nie opuszczała z nikim parku? Kogo miał na myśli?

Czekała długo. Od strony St. Clair nadeszła tęga kobieta w czerwonej sukni i opadłszy ciężko na ławkę, wachlowała się złożoną gazetą. Ale nie spojrzała nawet na przejętą Melisę; po chwili podniosła się i ruszyła w swoją drogę.

Już nie przyjdzie. A jutro wieczorem? Dlaczego nie podał dokładnej daty spotkania? Może ma sklerozę, jest stary i niedołężny, nie umie skupić myśli? Czy uda się go kiedyś znaleźć, przekonać, skłonić do zeznań? Melissa wstała i powoli wróciła przez park do Latourelle’a. Wsiadła do samochodu. Latourelle powiedział łagodnie:

– Może się boi i chce zyskać na czasie, żeby się ostatecznie zdecydować, kochanie. Dzisiaj chciał tylko na ciebie popatrzeć

z przejeżdżającego samochodu, chciał zobaczyć, jaka jesteś. Teraz już wie i przyjdzie jutro wieczór. Spróbujemy jeszcze raz.

— Nie, on nie przyjdzie. — Melissa ściągnęła brwi. — Ale dam inspektorowi ten list i on go odnajdzie. Odnajdzie go. Jestem pewna.

Rozdział dwudziesty

Nareszcie skończyła się fala upałów. W nocy zaczął padać deszcz, najpierw drobny, potem coraz gwałtowniejszy, a teraz kiedy Bill jechał do pracy, przerodził się w istną ulewę. Bill dość niejasno zdawał sobie sprawę, że pogoda jest dżdżysta. Przejeżdżał przez rwące potoki i głębokie stawy, wysiadł z samochodu wprost pod zimny prysznic, a kiedy dotarł do biura, miał przemoczone nogi i ociekające wodą spodnie. Ale ciągle jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że pada deszcz. Myślał bez przerwy o jednym i tym samym: głupi durniu, dlaczego Melissa dostała ten list? Dlaczego?

Może istnieje jakiś doktor Patterson, chociaż chłopcy nie trafili na jego ślad mimo starań i wysiłków. Nie można twierdzić, że ktoś w ogóle nie istnieje, tylko dlatego, że się go nie umiało znaleźć. Cała ta sprawa mogła mieć aspekty, o których nikomu się nawet nie śniła.

Savage był już w biurze i wieszał swój mokry trencz. Wyglądał w nim jak typowy agent Intelligence Service. Chyba byłby niezły w tej roli. Ale niestety — jak opowiadał — odkryto w nim zdolności do szyfrów i jego władze uparły się, aby zajmował się wyłącznie cyframi i słowami, a nie ludźmi. I gdyby się stamtąd nie wydostał, byłby wkrótce starym piernikiem z oczami krótkowidza i długimi wąsami morsa. „Dlaczego z wąsami”? — spytał Bill. Odpowiedź była dość rozsądna. Savage miał po prostu jasnowidzenie, wizję własnej osoby, która nie przypadła mu do gustu, i wyrwał się w porę.

— Trochę zmokłeś — mruknął przyglądając się, jak Bill ściąga płaszcz.

Jego uwaga pozostała bez odpowiedzi. Bill usiadł przy

biurku.

— Wczoraj przyszły wyniki ekspertyzy grafologicznej. To nie Hood zapisał nazwisko Fitzgeralda na bloczku przy telefonie. Ale ten, kto to zrobił, miał dostęp do próbki pisma Hooda. Mógł znaleźć ją w jego notesie po dokonaniu zbrodni. Na mój rozum przygotował to wcześniej, zupełnie gdzie indziej, bez pośpiechu, cierpliwie i starannie.

Savage wyjął grzebień i szesał krople wody ze swych ciemnych włosów. Obrzucił Billa szybkim spojrzeniem i czekał.

— W czwartek wieczorem, w przeddzień morderstwa, ktoś zadzwonił do Hooda. Nastraszył go czy zagroził, w każdym razie wydał polecenie w sprawie hotelu. Hood miał stawić się w hotelu „Meridian” o ósmej w piątek wieczorem i pójść do pokoju dwieście osiemnaście. Oczywiście kazano mu poprosić o klucz, to należało do planu. Miał zostać zauważony, kiedy pojawi się o ósmej. Ale to nie Hood zameldował się osobiście o pierwszej. Ktoś inny... I jeśli jestem przy zdrowych zmysłach, była to kobieta. Kobieta tak trudna do opisanie i do zapamiętania, jak ta, która wzięła klucze od mieszkania przy Linton Lane. Kapujesz?

— Coś mi świta.

— Tak więc osobą, która zameldowała się w tym pokoju, była kobieta i trzymam każdy zakład, że rzekomy podpis Hooda w recepcji okaże się identyczny z charakterem pisma na bloczku przy telefonie. Rozumiesz? Tak więc kobieta, pozwolisz, że będę nazywał ją Sarą, bo to musiała być Sara, zabrała ze sobą klucz od pokoju dwieście osiemnaście. I przed ósmą — niewiele przed ósmą, bo nie zostawiłaby na dłużej zatrutego rumu w pokoju, bojąc się, że ktoś inny, pokojówka na przykład, skusi się na mały łyk — tuż przed ósmą Sara wkrada się przez boczne drzwi, idzie do pokoju dwieście osiemnaście, zostawia butelkę do połowy napełnioną rumem, najprawdopodobniej ulubionym trunkiem Hooda, i dobrze zaprawioną chloralem. Skąd wiedziała, że Hood pija rum? Wie o Hoodzie wszystko, absolutnie wszystko.

— Chwileczkę, stary. Czy sugerujesz, że to Sara romansowała z Hoodem?

— Ależ skąd! To jest możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne. Nie, wygląda na to, że damą jego serca była Coral. Ale i tu, moim zdaniem, chodzi o dwie damy, a nie o jedną. Kapujesz? Coral przed Gwiazdką i może tuż po Gwiazdce, a potem ktoś inny. Kto? Dziewczyna, której zwłoki znaleziono w jeziorze. Była w ciąży od marca. Co się stało? Czyżby Hood palnął głupstwo i zabrał inną dziewczynę do mieszkania Coral? I Coral to odkryła?

— Coral była zajęta lekcjami muzyki. Mógł więc czuć się bezpiecznie znając jej rozkład dnia. Chociaż...

— Wiem, wiem. Ale jak wytłumaczyć udział Sary w romansie Coral z Hoodem? Dajmy na to, że Coral wpadła w furję, że oszalała z zazdrości. Wiemy już, że Sara Weronika jest gotowa na wszystko. Przypuśćmy, że podejmuje się zemsty, może za pieniądze? To by wyjaśniało, skąd wzięła forszę na wysłanie jej niby do Fitzgeralda, i z czego teraz żyje. Coral to w gruncie rzeczy nieskomplikowana dziewczyna. Może się ucieszyła, kiedy nagle spadła jej z nieba starsza siostra? To zupełnie możliwe. Ma dość pieniędzy, żeby perspektywa podziału jej nie przestraszyła. Jeśli usłyszała od Sary o ich pokrewieństwie, to kto wie? Może są do siebie podobne z charakteru i sposobu myślenia? Bardzo to jest, moim zdaniem, prawdopodobne. Melissa poczuła antypatię do Coral Vandenberg. Uważa, że jest opryskliwa. Może jest po prostu zła?

Savage wyjął fajkę z ust.

— Więc według ciebie Sara zostawiła zatruty rum w pokoju Hooda, Hood wypił go, Sara wróciła, wyliczywszy sobie, że stracił już przytomność, zadała mu rany nożem, zamieniła butelki, wrzuciła stłuczoną szklankę do kosza na śmieci, położyła przygotowany uprzednio bloczek z adresem Fitzgeralda, przezornie skradziony, kiedy szykowała się do ciosu i penetrowała teren?

— Tak bym to sobie właśnie wyobrażał.

— I wykombinowała sobie to wszystko, żeby zemścić się na Kimballu Fitzgeraldzie, bo z jego powodu została umieszczona w domu wariatów?

— Naturalnie. Sara powiedziała, że najstraszniejsza rzecz pod

słońcem zdarzyła się w Sugar River. Dla paranoików straszne są tylko te rzeczy, które dotyczą ich bezpośrednio, paranoicy myślą tylko o sobie. Kwas... — Bill zamilkł. Wzdragał się o tym myśleć. Za każdym razem widział przed sobą twarz Melissy. Matka Kima też była piękną kobietą. Kwas...

— Chyba wiem, o co ci chodzi — szepnął Savage.

— Nie umiem jeszcze złożyć tego wszystkiego do kupy. Dlaczego Sara zadzwoniła do Hooda akurat w czwartek wieczorem? Nie, to przecież nie Sara do niego dzwoniła. Co za dureń ze mnie, to musiała być Coral. Jasne. Nie widział jej ani nie rozmawiał z nią od maja. W maju odkryła chyba ten jego drugi romans. Na pewno. I w maju nie mogła mówić. Była chora. Z początku, kiedy stracił z nią kontakt, wpadł w popłoch. Nie przypuszczał, że wie o jego zdradzie, ale nie mógł ryzykować niejasnej sytuacji. Może wcale nie próbował telefonować, a może próbował, ale odkładał słuchawkę, kiedy odzywała się Sara. Wiesz, co myślę? Coral wspomniała mu o zamiarze wynajęcia domku w Muskoka. Dlatego tam pojechał. Szukał Coral w okolicy Sugar River. Śmiertelnie bał się ją spotkać, ale musiał ją jakoś znaleźć, nie mógł dalej żyć w stanie niepewności. Był przywiązany do żony i rodziny, zachował się jak idiota, ale...

— Czy podejrzewasz, że to Hood zabił tamtą dziewczynę i wrzucił zwłoki do wody?

— To chyba nie ma sensu, prawda?

— Jasne. Dziewczynę zabiła ta sama osoba, co Hooda. W obu wypadkach użyto' identycznej metody: najpierw narkotyk, potem morderstwo. — Savage zapatrzył się w swoją fajkę. — Sara Weronika była, to znaczy jest, raczej drobna.

— Tak. Musiałyby zdjąć z zabitej dziewczyny wierzchnie ubranie i przebrać ją w inne. Potem wrzucić ją do wody, licząc się z tym, że ciało trzeba Solidnie obciążyć. Zadanie dość trudne, nawet jeśli się ma do czynienia z trupem. I na pewno musiała z góry wykluczyć możliwość oporu. W wypadku Hooda Sara nie mogłaby dopuścić, żeby ją zobaczył. Bo jeśli Coral do niego dzwoniła, oczekiwałby Coral. Musiała więc mieć pewność, że kiedy się tam zjawi, Hood będzie nieprzytomny. A

nie bardzo orientowała się w dawkach narkotyku. Może nie miała nawet zamiaru go przedozować. Ale zrobiła to. — Przerwał. — Dennis, ty znasz teren. Gdzie ona zabiła tę dziewczynę?

— Naprzeciw Fitzgeraldów, po drugiej stronie rzeki, stoją dwa żółte domki. O ile się nie mylę, na gruncie, który kiedyś należał do matki Weroniki Vandenberg. Oba domki mają werandy wychodzące wprost nad rzekę.

— A więc sprowadziła ją tam pod jakim bądź pretekstem, zabiła, przywiązała powrósem ciężar do ciała...

— Powrósem?

— Tak, splecionym ze słomy, jakim wiąże się zboże w snopy. Wiedziała, że taki sznur rozłoży się w wodzie po pewnym czasie. I tak się stało. Ciężar poszedł na dno.

I kiedy silny wiatr wzburzył wodę, obciążone zwłoki uwolniły się i po dziesięciu tygodniach pobytu w wodzie uniosły się, żeby przez ironię losu wypłynąć na brzeg w posiadłości młodego Fitzgeralda.

— Sara nie marzyła o niczym innym — stwierdził trzeźwo Savage. — Wyobrażam sobie, jak się ucieszyła.

Drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wszedł zdenerwowany kierowca taksówki.

— Chcę złożyć meldunek o kradzieży. Dwanaście dolarów. Ten gość wyrwał mi portfel, kiedy wydawałem mu resztę. Gdzie mam iść?

— Parter na prawo — mruknął w roztargnieniu Bill, Drzwi zatrzasnęły się. — Spokojnie tu dzisiaj...

— Bill, ta Coral Vandenberg. Jeśli ufała Sarze, była z nią w zмовie...

— To co?

— Może dała jej pełnomocnictwo? Ma chore ręce, chyba nie może pisać. Jak wystawia czeki?

— Trafna uwaga — powiedział Bill i zaczął porządkować papiery na biurku, -j- Sara Weronika Vandenberg. Ta dziewczyna umie przeprowadzić swoją wolę. Założmy, że Coral... — Ocknął się nagle. — Słuchaj, Dennis, nie było mnie tu przez trzy tygodnie przed morderstwem. Nie rozeznaję się

dokładnie w następstwie zdarzeń. Ale musi to się jakoś logicznie układać. Hood został zamordowany czternastego sierpnia w piątek. W czwartek wieczorem, poprzedniego dnia, Coral zadzwoniła do niego i wyznaczyła mu spotkanie w hotelu. We wtorek jedenastego ktoś zapytał przez telefon panią Hood o nazwisko i adres. Czy nie wydaje ci się to dość dziwne?

— Piekielnie dziwne. Nie pomyślałem o tym dotychczas, ale to wywraca do góry nogami wszystko.

— Co stało się w poniedziałek dziesiątego sierpnia? Przed telefonem do pani Hood?

Savage zastanowił się.

— W poniedziałek dziesiątego sierpnia nie zdarzyło się nic nowego. Tylko w gazetach ukazała się wzmianka, że dziewczyna znaleziona w Sugar River była od dwóch miesięcy, w ciąży.

Dziewczyna znaleziona w jeziorze była w ciąży. Czy tu tkwił klucz do zagadki? Bill nalał sobie wody do papierowego kubka. Powiedział z udaną obojętnością:

— Chyba warto, żebyś wziął ten list od Melissy i dał go rzeczoznawcom. Może nam się to przydać. — Odstawił kubek i sięgnął po płaszcz.

— Czy masz jakąś koncepcję? — zapytał grzecznie Savage.

— Miałbym może koncepcję, gdyby nie była ona całkowicie, absolutnie, najzupełniej niemożliwa. Ponieważ jednak jest niemożliwa, muszę jasno zdać sobie sprawę dlaczego. Ale sam już wiem, że to nonsens.

Savage uśmiechnął się.

— Powodzenia.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Bill poprawił się na skórzanym fotelu stojącym koło biurka pana Calvina Johnsona, przypuszczalnie na użytek zamożnych lokatorów, którzy znaleźliby jakieś niedokładności w rachunkach. Rachunki dotyczyły wszelkiego rodzaju usług, opłacanych przez administrację „Coronation Arms” i zliczanych

w końcu każdego miesiąca. Hotel był spokojny i pogrążony w ciszy, ale za starannie zamkniętymi izolowanymi drzwiami roiło się jak w ulu. Na czynności związane z obsługą przeznaczony był wielki hall w suterenie na tyłach budynku, gdzie bez przerwy trwał gorączkowy ruch. Kręcili się służący, przynoszono kwiaty, jedzenie zamówione w restauracji, depesze dla gości i załatwiano setki różnych niezbędnych spraw. Z hallu, któremu Bill zdążył się już przyjrzeć, prowadziły na górę dwie windy służbowe: jedna towarowa i jedna dla istot ludzkich odzianych w liberię.

Znakomita organizacja. Hotel „Coronation Arms” miał swój własny personel, ale liczni lokatorzy korzystali ze stałej pomocy domowej lub różnego rodzaju usług: krawców i masażystów, pielęgniarek, manikurzystek i sekretarek, nie mówiąc już o damach do towarzystwa dla starszych pań i chłopcach do wyprowadzania psów. Każdy mógł dostać się do budynku przez służbowy hall; podczas gdy Bill stał niepostrzeżony, przewinęło się tam mnóstwo ludzi różnego autoramentu. Niektórzy przechodząc obok portiera mamrotali pod nosem nazwisko lokatora. Inni po prostu kierowali się od razu do windy.

Stopniowo w jego wyobraźni rysował się cały obraz. Ale nie wszystko w nim jeszcze było jasne.

— Tak, chciałbym panu pomóc odnaleźć pannę Sarę Hansen — powtórzył. — Proszę mi wierzyć. Przykro mi, że Wydział Osób Zaginionych okazał tak mało zainteresowania. Co prawda, panna Hansen jest dorosła i może sobie nie życzyć, żeby szukała jej policja.

— I tak dobrze, że w ogóle pan przyszedł. To już bardzo dużo, jeśli naprawdę chce się pan tym zająć.

— Bardzo mi na tym zależy. Wróćmy do sprawy. Mówi pan, że Sara zaczęła pracę u panny Vandenberg zaraz po Nowym Roku? Jak pan zawarł z nią znajomość? Jako pokojówka nie korzystała chyba często z frontowego wejścia. Wchodziła od strony oficyny? Zresztą drzwi od pana biura i tak są stale zamknięte. Jak więc poznaliście się?

— W bardzo prosty i uczciwy sposób. Może w tydzień potem, jak Sara zaczęła pracować, musiałem iść do panny Vandenberg.

Panna Vandenberg nigdy nie potrafiła utrzymać swoich rachunków w porządku. Nie dbała o to, nie zależało jej zresztą. Ale mnie zależało. Inaczej bilans by mi się nie zgadzał. Panna Vandenberg przed Gwiazdką, zanim zaangażowała Sarę, często korzystała z usług naszych pokojówek. Dziewczyna otrzymuje kwit od lokatora i na tej podstawie wypłacam jej należność. Lokatorzy przeważnie nie mają akurat drobnych lub nie chcą sobie zawracać tym głowy. Ale powinni przechowywać kopie kwitów. Bo jeśli coś się nie zgadza, nie mogę zamknąć bilansu. Musiałem więc porozmawiać z panną Vandenberg. Sara otworzyła mi drzwi i od razu sobie pomyślałem, że wygląda na bardzo miłą osobę, przyzwoitą i rozsądną. Ale nie liczyłem wcale, że się zaprzyjaźnimy. Nie do tego stopnia, w każdym razie. Rozmawialiśmy chwilę czekając na pannę Vandenberg — zawsze poprawiała makijaż, jak się potem dowiedziałem od Sary — a potem, nazajutrz, Sara zadzwoniła i spytała, czy nie przyszedłbym na kolację. Panna Vandenberg miała wyjść wieczorem i pozwoliła Sarze kogoś zaprosić, a Sara wybrała właśnie mnie. — Spojrzał na Billa z niepokojem. — Nie czułem się zupełnie w porządku, że przyjmuję zaproszenie od lokatora, ale panna Vandenberg nie była skąpa, w ogóle przecież nie dbała o pieniądze. Sara zrobiła kolację i było naprawdę przyjemnie, a potem oczywiście musiałem się zrewanżować. — Potrząsnął głową. — Chyba dokuczała jej samotność, tak mi się zdawało. Ja też byłem samotny i dobrze nam było razem.

Realizowała już wtedy swoje plany. Ten człowiek pasował jak ulał do nowej wersji jej osoby, jaką sobie wymyśliła. Posłużyła się nim bez skrępowań.

— A teraz przejdźmy do choroby panny Vandenberg. Kiedy to się dokładnie stało?

— Dwudziestego maja. Wyliczyłem to sobie. Myślałem o tym wiele, próbuję zrozumieć, dlaczego Sara... Ale dalej nie rozumiem. W każdym razie dwudziestego czwartego maja miałem pojechać od szwagra samochód i wziąć Sarę na dłuższą przejażdżkę. No i nie pojechaliśmy, bo panna Vandenberg właśnie wtedy okropnie się czuła. Była gdzieś na wsi ze znajomym — Sara nie wiedziała z kim — może usiadła na ziemi

i dotknęła trującego bluszczu... Musiało to być dwudziestego, bo to był ostatni ciepły dzień w maju. Dwudziestego czwartego Sara nie mogła jej zostawić samej, nawet jeść nie umiała bez pomocy, i zresztą trzeba było nad nią czuwać cały czas, bo gardło każdej chwili mogło jej spuchnąć. Człowiek może się wtedy udusić jak nic. To straszna historia. Sara nie spuszczała z niej oka i dwa razy musiała zrobić jej zastrzyk strzykawką, którą doktor specjalnie zostawił. Sara była naprawdę nadzwyczajna, panie inspektorze.

— Czy wie pan, jak się nazywał ten lekarz? Widział go pan?

— Nie, nigdy się z nim nie zetknąłem. Nazwisko miał takie dziwne — Sufferans — mówiła mi Sara, ale jej się podobał. Chwaliła go, że jest ostrożny i skrupulatny i że panna Vandenberg wiele mu zawdzięcza.

Bill zawahał się. Bał się zadać następane pytanie. Zbyt dużo od niego zależało. Trudno — raz kozie śmierć.

— A... czy widział pan pannę Vandenberg w początkach jej choroby? To znaczy, czy widział pan je obie razem z Sarą w ich apartamencie?

Johnson zdjął okulary. Miał mętne oczy o rozszerzonych źrenicach. Na pewno nie od narkotyków. Był po prostu krótkowidzem.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi. Przecież to nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Sary. Ale tak. Oczywiście, widziałem pannę Vandenberg. W końcu maja właśnie jej rachunki znowu się pogmatwały i zleciła Sarze, żeby mnie wezwała na górę. Poszedłem jej pomóc. Nawet udało mi się zamienić wtedy parę słów z Sarą.

— Jest pan więc całkiem pewny, że widział pan razem pannę Vandenberg i Sarę w końcu maja?

— Tak, naturalnie. I w czerwcu też tam byłem. Nie chodziło o rachunki, bo panna Vandenberg oczywiście nie mogła wychodzić, po zakupy i w ogóle, ale ktoś jej przysłał prospekty reklamowe jakiejś kopalni i chciała się mnie poradzić. Nie orientuję się wcale w akcjach kopalni i namawiałem ją, żeby lepiej zostawiła swoje pieniądze w banku, jak dotychczas. Tak właśnie jej powiedziałem.

— Kiedy to było? W początku czerwca czy później?

— Raczej w końcu. Potem, kiedy Sara zniknęła i Luke Bryant powiedział, że widział, jak wychodziła drugiego lipca, wyliczyłem sobie, że byłem tam akurat tydzień przedtem. To by było dwudziestego piątego czerwca.

— I Sara zachowywała się normalnie? Jak zawsze?

— Całkiem zwyczajnie.

— A panna Vandenberg?

— Tak samo. Była jakby trochę miłsza, może dlatego, że bardzo polubiła Sarę. Wiem, bo mi to sama powiedziała. Że Sara jest dla niej taka dobra, aż trudno uwierzyć. Że nigdy nie miała matki ani sióstr, nikt się nią nie opiekował i Sara jest wprost nadzwyczajna.

— Dziękuję. — Bill wstał. — Chyba porozmawiam teraz z panną Vandenberg. Nie wie pan, czy jest w domu?

— O tak. Na pewno. Jeszcze ciągle nie wychodzi. To już bardzo długo trwa, prawie trzy miesiące. Lepiej, żeby pan zatelefonował przedtem. Nie ma stałej pokojówki i trzeba trochę poczekać, zanim się przygotuje na przyjęcie gościa. Luke Bryant mi mówił. Chodzi tam do niej czasem wieczorem. Ale zawsze najpierw telefonuje. Dość często, kiedy z gardłem jest gorzej, nie podnosi słuchawki. To znaczy, że nie chce nikogo widzieć.

Bill pożegnał się z Calvinem Johnsonem i z głową pełną kłębiących się myśli przeszedł do recepcji, żeby porozmawiać z Luke'iem Bryantem.

Młody człowiek miał wyraźnie bardzo wysokie mniemanie o sobie. Światowiec znający życie.

— Sara Hansen? — powtórzył mierząc Billa domyślnym wzrokiem. — Policjant? O rety, ten Johnson ciągle nie daje za wygraną! To dopiero! Sam pan wie, inspektorze, że gdyby Sara chciała się znaleźć, to by się znalazła. A jak nie chce, to nikt jej nie znajdzie. Johnson całkowicie się co do niej myli. Ma ją za prostą dziewczynę, trochę naiwną, jak on sam, A ona taka nie jest. Bardzo dobrze umie wyciągnąć kasztany z ognia i rąk sobie nie poparzyć. W ogóle to kanalia. Nie lepiej położyć na niej krzyżyk?

Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż pan sobie wyobraża — powiedział uprzejmie Bill. — O ile mi wiadomo, jest pan zaprzyjaźniony z panną Coral Vandenberg?

Owszem, czemu nie? Prawdę mówiąc, jestem jej jedynym bliskim przyjacielem. Nikogo teraz nie ma. Dopiekło jej. Z tą całą forszą mogłaby robić, co jej się żywnie podoba, a tu masz, żyje zamknięta jak zwierzątko w klatce. Tak, jestem z nią zaprzyjaźniony. Chodzę do niej wieczorami pogadać sobie przy kieliszku. Bo co?

— Nic. Zapytałem o to, bo chcę pana poprosić o przysługę. Wolalbym, żeby pan nie mówił panie Vandenberg, że prowadzę śledztwo w sprawie Sary Hansen.

— Dlaczego? Wie przecież, że Johnson ma bzika na punkcie tej panienki.

— Może chodzi tu o pieniądze. Pieniądze panny Vandenberg. Rozumie pan?

Bryant otworzył szeroko oczy.

— To znaczy, że dziewczuszka dobrała się do jej forsy? Wie pan co? Myślałem o tym. Nawet tak to sobie kombinowałem. To ja powiedziałem Coral, że powinna dogadać się z bankiem. Bo przecież ona żyła z gotówki, jaką miała- w domu, a to nie mogło trwać wiecznie. Poza tym gotówka to wielka pokusa, szczególnie dla takiej kutwy jak Sara. Bo widzi pan, Coral nie mogła pisać. Ręce tak jej spuchły, że nawet pióra by nie utrzymała, a o podpisie to już mowy nie było. Na czekach, rozumie pan? Ale nie mogła przecież obejść się bez forsy. Więc wymyśliłem, jak to wszystkim załatwić.

— I co, udało się?

— Bez pudła. Nie było po co z jej czekami chodzić do banku. Znają mnie tam, naturalnie, sami też tam mamy konto, to Royal Bank tutaj na rogu. Ale podpis Coral był do niczego, Więc powiedziałem, że nie ma rady, trzeba tu sprowadzić dyrektora. Zobaczy, jak się sprawy mają, i po kłopotcie.

— I tak się stało?

— Dokładnie tak. Poszedłem do niego, nazywa się Jordan, przyzwoity facet, sympatyczny, opowiedziałem mu, co i jak, o chorobie Coral i jak jej te ręce spuchły — twarz zresztą też.

Wcale nie miała ochoty mu się tak pokazywać, nawet mnie się krępować, ale przekonałem ją, że ta cała opuchlizna i bandaże, i wysypka nic a nic mi nie przeszkadzają. W każdym razie Jordan zgodził się przyjść. Nie było to' całkiem przepisowe, ale w końcu co mają robić, jeśli klient złamie prawą rękę lub coś w tym rodzaju i nie może pisać? Więc Jordan przyszedł.

— Kiedy?

— Kiedy? Zaraz. Jakoś w pierwszym tygodniu czerwca. Za mieszkanie miała płacić piętnastego, zresztą około pierwszego gotówka już się wyczerpała. Czy to właśnie Sara maczała w tym palce?

— Cicho, ostrożnie.

— Przepraszam. Dyskrecja, tak? Bo potem to już jej się nic nie mogło przylepić do ręki. Pan Jordan i Coral pięknie się dogadali. Wypili razem parę kieliszków sherry, wiem, bo sam im nalewałem. U Coral było trunków, ile dusza zapagnie. A potem Coral podpisała czek, tak jak potrafiła, w obecności pana Jordana i obaj poświadczyliśmy podpis. Później, jakby rękę trochę wydobrzały, podpis by się znów zmienił, ale na razie jeszcze do tego nie doszło. I teraz może już spokojnie wystawiać tyle czeków, ile zechce.

— Bardzo sprytnie pomyślane — powiedział Bill. — Gratuluję panu, Bryant. Więc to było w pierwszym tygodniu czerwca? Czy Sara też przy tym była?

— Sara? Jasne. Otworzyła nam drzwi. Zawsze siedziała w domu, dopóki nie zniknęła drugiego lipca. Żeby wyjść za mąż za jakiegoś złodziejaszka. Wiem to od Coral. Johnsonowi nic nie mówiła, chociaż moim zdaniem należało. Nie wybije sobie jej z głowy, dopóki nie otworzy mu się oczu. Mnie się już niedobrze robi, kiedy słyszę o Sarze Hansen. — Spojrzał na Billa z namysłem. — Czy Coral podejrzewa Sarę? Ani słowem się nigdy nie zająknęła.

— Ja też nie — przypomniał mu Bill i podkreśliwszy raz jeszcze absolutną konieczność trzymania gęby na kłódkę (postarał się sformułować to grzeczniej, ale sens był właśnie taki), skierował się przez hall do wyjścia.

Czego się dowiedział? Jakie ma nowe dane? I do czego to

prowadzi? Kręciło mu się w głowie od natłoku dziwnych, absurdalnych hipotez. Czy ktoś wreszcie powie cokolwiek, co miałyby jakiś sens? Czy z tego chaosu wyłoni się porządek?

Royal Bank mieścił się o parę kroków na rogu. Bardzo przyzwoity bank, w miarę nowoczesny, z klimatyzacją i abstrakcyjnymi obrazami na ścianach. Biuro dyrektora było na prawo od wejścia; błyszcząca tabliczka na drzwiach głosiła:

„A. J. Jordan — Dyrektor”. Bill stanął w otwartych drzwiach niewielkiego pokoju. Pan Jordan skończył podpisywać jakieś dokumenty, oddał je czekającemu gońcowi i podniósł wzrok. Był dobrze ubrany, nawet elegancki. Szare spodnie, ciemna marynarka, spokojny jedwabny krawat w dobrym gatunku. Miał przyjazny, serdeczny uśmiech, utwierdzający ludzi w przekonaniu, że miło jest składać pieniądze w jego przyjaznym, serdecznym banku.

— Pan Jordan? — Bill wyjął znaczek. — Czy mogę zadać panu parę pytań?

Twarz pana Jordana straciła wyraz przyjaznej serdeczności. Szybko zrobił w pamięci rachunek sumienia, własny i swego banku. Jeśli coś było nie w porządku, on o tym w każdym razie nic nie wiedział.

— Proszę spocząć. Czy to oficjalna sprawa? Nic poważnego, mam nadzieję.

— Ja także mam nadzieję, że nic poważnego. Szukamy młodej kobiety, która zaginęła, to znaczy przyjaciele stracili z nią kontakt od drugiego lipca. Miała konto w waszym banku — co sprawdził już jeden z moich ludzi — zlikwidowane parę dni przed jej zniknięciem. Panna Sara Hansen.

— Sara Hansen? Nie przypominam sobie tego nazwiska, panie inspektorze.

— Jej rachunek był skromniutki. To pokojówka z „Coronation Arms”.

W twarzy pana Jordana zaszła subtelna zmiana, jakby przesłonił ją leciutki cień. Pan Jordan nie kupował swoich wytwornych ubrań, by robić dobre wrażenie na pokojówkach. Jego bank nie powstał dla tak skromnych istot.

— W czym mogę panu być pomocny?

— Pracowała u panny Coral Vandenberg.

Brwi pana Jordana uniosły się szybko.

— Coral Vandenberg? Rozumiem. To jedna z naszych najpoważniejszych klientek. Czy coś jest nie w porządku?

Czy to Sara Hansen naraziła pannę Vandenberg na jakieś straty? Finansowe?

— Nie jestem pewien. Pan zna pannę Vandenberg?

— O tak, naturalnie. Poznałem ją przelotnie, kiedy po raz pierwszy tu przyszła. Wtedy jeszcze — było to w październiku, sprawdziłem potem datę — nie zdawałem sobie sprawy, jaki to ważny nabytek dla banku, i rozmawiałem z nią tylko chwilę. Zajrzała tu do mnie, oświadczyła, że chce otworzyć konto, i spytała, gdzie ma się zwrócić. Gdybym wiedział... Ale nie miałem pojęcia. — Zaczerpnął tchu. — Jedna z najhojniej obdarzonych przez los kobiet w Kanadzie, jak pan z pewnością wie, bo to przecież nie tajemnica.

— Tak, wiem. Więc nie znał jej pan dobrze? Raz tylko ją pan widział przed wizytą w jej apartamencie, parę miesięcy temu, jak były kłopoty z jej podpisem?

— Doprawdy, inspektorze, w pana ustach brzmi to tak, jakbym działał pochopnie. A wcale tak nie było. Recepcjonista z „Coronation Arms” znał ją, odkąd tam zamieszkała. Sam też ją widziałem, nie mogłem jej z nikim pomylić. Przede wszystkim ma bardzo charakterystyczne, niezwykle piękne włosy. Świetnie orientuje się w sprawach finansowych, aż zadziwiła mnie bystrością. Dotknęło ją poważne nieszczęście w postaci tej dziwnej choroby. Byłem zadowolony, że mogłem jej pomóc.

— Poświadczając jej nowy podpis?

— Czy sugeruje pan, że moje postępowanie było niezgodne z przepisami? Proszę mi wierzyć, że to nie pierwszy raz nasz klient utracił możliwość złożenia swojego normalnego podpisu. Wypadki chodzą po ludziach. Musiał pan się już zetknąć z podobnymi sprawami. Tym razem wszystko było zupełnie jasne. Odwiedziłem pannę Vandenberg w jej własnym pięknym apartamencie, znało ją kierownictwo hotelu, sam ją widziałem i rozmawiałem z nią przed paru miesiącami i chodziło po prostu o to, żeby umożliwić jej wystawianie czeków. W owym czasie jej

prawa ręka była tak spuchnięta, że trzeba było wetknąć jej pióro między palce. Oczywiście, obaj z panem Bryantem poświadczyliśmy podpis. Panna Vandenberg potrzebowała pieniędzy na bieżące wydatki. Rachunki lekarza na przykład były bardzo wysokie. Miałem wgląd w czeki, jakie mu posyłała. — Jego powieki opadły i znowu się podniosły. Miał więc to konto jakby pod specjalną kontrolą. Nie stracił zainteresowania dla najlepszej klientki banku.

— Czy te czeki zostały tu wypłacone? Czy dokonano przelewu? Przekazano gotówkę do banku lekarza? Nie znalazłem jego nazwiska w książce telefonicznej. Nie ma żadnego doktora Sufferansa.

— Panie inspektorze, nie znam doktora Sufferansa, może nie mieszka w Toronto. Może jako specjalista przyjeżdża tu na konsultacje. W każdym razie nie przechowujemy skasowanych czeków. Panna Vandenberg ma konto bieżące, nie oszczędnościowe. Pod koniec każdego miesiąca zwracamy jej wszystkie wypłacone czeki. W chwili obecnej mamy jeszcze kilka, które wystawiła w sierpniu, ale bez nakazu... — Zerknął pytająco na Billa. — Prawdę mówiąc inspektorze, kompletnie nie rozumiem, co to wszystko może mieć wspólnego z Sarą Hansen.

— Nie wie pan, czy Sara Hansen w okresie obłożnej choroby panny Vandenberg miała jej pełnomocnictwo?

— Jestem niemal pewien, że nie. Jakim cudem? Panna Vandenberg musiałyby osobiście taki dokument podpisać, a nie była do tego zdolna. Dlatego przecież musiałem tam pójść. Czy ma pan powody, żeby przypuszczać, że Sara Hansen w jakiś sposób przywłaszczyła sobie lub próbowała przywłaszczyć coś, co stanowiło własność panny Vandenberg?

— Nie wiem. Nie będę przed panem. ukrywał, że na razie błędę po omacku. Już mi się zdaje, że widzę przed sobą prostą drogę, a tu nagle wyłania się nowy zakręt. Sądzę, że Sara Hansen dobrałaby się do pieniędzy panny Vandenberg, gdyby miała możliwość. Dlatego pytam pana, czy miała tego rodzaju okazję.

Pan Jordan uśmiechnął się.

— Wykluczone. Widzi pan, panna Vandenberg ma zmysł do interesów. W ciągu ubiegłych dwóch miesięcy powzięła parę rozsądnych decyzji. Zwróciłem jej uwagę, że ma za dużo gotówki, że pieniądze leżą bezczynnie i nie przynoszą jej zysku. Spore sumy pozostawiła też w Edmonton; zebraliśmy to wszystko razem i przedstawiliśmy jej do rozważenia projekt opracowany przez naszego doradcę inwestycyjnego. W konsekwencji zakupiliśmy dla niej znaczną ilość znakomitych, bezwzględnie pewnych i wysoko procentujących papierów wartościowych. Jeśli chce pan zobaczyć listę, będę dumny, mogąc ją panu okazać. Najbezpieczniejsza i najlepsza lokata, jaką sobie można wyobrazić. W paru wypadkach zrezygnowaliśmy z drobnego zysku, żeby uniknąć ryzyka. Panna Vandenberg jest w pełni zabezpieczona.

— Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

— Kiedy ją widziałem? — zastanowił się. — Pod koniec czerwca. Tak, w ostatnich dniach czerwca. Musiałem wziąć od niej podpisy na rozmaitych dokumentach w związku z dużym zakupem obligacji. Sam do niej poszedłem. Ponieważ to była tak poważna transakcja i nastąpiła z mojej inicjatywy, czułem się w obowiązku osobiście jej dopilnować.

— Czy podczas tej wizyty — spytał spokojnie Bill — widział pan też pokojówkę? Sarę Hansen?

— Tak — odpowiedź padła szybko. — Oczywiście. Otworzyła mi drzwi. Podała napoje chłodzące. Nie powiem, żebym zwrócił na nią szczególną uwagę; drobna, schludna, ciemna — to wszystko, co pamiętam. O co chodzi? Muszę przyznać, że jestem ciekaw, inspektorze.

Bill wstał.

— I ja też — powiedział pośpiesznie.

Wyszedł z banku. Deszcz już ustał, ale kiedy Bill znalazł się na ulicy, jakaś zablakana chmura nagle wylała z siebie kilka wiader wody. I znów przestało padać.

Na rogu stała budka telefoniczna. Bill starannie zamknął za sobą drzwi. Nakręcił numer komendy. Poprosił doktora Crockera.

— Pamiętasz zwłoki dziewczyny znalezione w Sugar River? Ty

i tamtejszy lekarz stwierdziliście, że leżała w wodzie od maja. Pamiętasz?

— Tak. Chcesz, żebym zmienił orzeczenie? — Głos doktora był szorstki. Nigdy jeszcze nie zmienił raz wydanego orzeczenia. Nie było potrzeby. Nigdy się nie mylił.

— Czy mogła zajść tu pomyłka?

— Jaka pomyłka?

— Powiedzmy, od końca czerwca.

— Sześć tygodni? Co ty wygadujesz? Nie. W żaden sposób. Wykluczone. Nie wygłupiaj się. Wybij sobie ten nonsens z głowy. — Odwiesił słuchawkę.

A więc tak.

Bill stał na rogu ulicy z podniesionym kołnierzem płaszcza i rozmyślał. Spojrzał w stronę „Coronation Arms”. Za długo już koncentrował się na tym zagadnieniu. Na tej jednej stronie zagadnienia. Był tylko tym pochłonięty. A dziś rano zaczął przecież od pytania, dlaczego rzekomy doktor Patterson nalegał na spotkanie z Melissą? Dlaczego się nie stawił? Dlaczego? Teraz dochodzi czwarta. Wyrzucił to pytanie z głowy, goniąc za urojeniami, polując na bzdury.

Dlaczego?

Nie było żadnego doktora Pattersona. Była tylko Sara Weronika! I Sara Weronika nie wiedziała, gdzie mieszka Melissa. Dlatego.

Ruszył ku jezdni, niemal pod koła samochodów, wpadł do swojego wozu i skierował go w stronę Rosedale. Sara Weronika koniecznie chciała się dowiedzieć, gdzie jest Melissa. Wpadła na sposób. Napisała list tu w Toronto. List poszedł do Sugar River i poczta przesłała go dalej. Melissa dała się nabrać za jego, Billa, wiedzą i nawet aprobatą. Poszła do parku. Zawiózł ją tam Latourelle.

I Latourelle odwiózł ją z powrotem do domu.

Sara Weronika dowiedziała się wczoraj wieczorem, gdzie mieszka Melissa.

Rozdział dwudziesty drugi

Bill przekroczył wszystkie przepisy drogowe jadąc do domu Latourelle'a w Rosedale. Nie przejeżdżał tylko przy czerwonych światłach, jako że jego nagła śmierć nie przyniosłaby nikomu korzyści, w każdym razie nie natychmiast. Nie pomogłaby na pewno Melissie Fitzgerald, Melissie o cerze jak płatki białej róży. Zbrodniarze zawsze posługują się tymi samymi metodami. Chloral okazał się skuteczny — dwa razy spełnił swoje zadanie. Sara Weronika zamordowała dziewczynę, której zwłoki znaleziono w jeziorze, i Sara Weronika zamordowała Alwina Hooda. Kim nie kochał Sary Weroniki. Wiedziała o tym i musiała przyznać się do klęski, na co żaden paranoik nie potrafi się zdobyć. Kim uważał starszą od siebie dziewczynę po prostu za przyjaciółkę, ale dla niej był on jedyną szansą wejścia w świat, ten świat, który ją zawsze odpychał i zamykał się przed nią. Kim mówił prawdę; nigdy jej nie kochał.

Co zmarła pani Fitzgerald powiedziała tej dziewczynie? Sarze Weronice, żyjącej na dnie nędzy, z obłąkaną matką, niechlujną i odrażającą, którą ukrywała przed ludzkim wzrokiem, nawet przed wzrokiem Kima?

Matka Kima musiała czuć się poniżona i przerażona na samą myśl o jakiegokolwiek zażyłości między Kimem i tą dziewczyną. Tym bardziej jeśli chodziłoby o małżeństwo... Może dziewczyna groziła jej tym, twierdziła, że pobiorą się z Kimem — sama mogła zresztą w to wierzyć. Chciała wyjść za niego, więc uważała, że tak się stanie.

A odpowiedź matki Kima? Jej postawa, pogarda, całkowita niemożność zaakceptowania Sary Weroniki? Na pewno nie ukrywała swojego wstrętu i obrzydzenia. Nie byłaby zdolna do ukrycia tego, jej uczucia malowałyby się jasno na jej twarzy. A więc należało tę twarz zniszczyć. Unicestwić.

Bill gwałtownie nacisnął hamulec przed znakiem „Stop”. Na dojazd do Willi Latourelle'a trzeba było co najmniej pół godziny, a nie miał tyle czasu. Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale czuł, że w ogóle nie ma już czasu. Wczoraj wieczór Sara Weronika dowiedziała się, gdzie mieszka Melissa. Jak łatwo!

Sara też siedziała w samochodzie na ciemnej uliczce... Na pewno pojechała tam dość wcześnie i widziała, jak nadjeżdża Latourelle z Melissą, jak Melissa wysiada z wozu. Może nawet nie czekała, żeby sprawdzić, dokąd Melissa pojedzie; niewątpliwie zna Latourelle'a i wystarczyło jej rzucić na niego okiem, żeby domyślić się reszty. Skąd znała Latourelle'a? O, ta dziewczyna wiedziała wszystko. Na pewno pojechała do Sugar River, żeby wysłać pieniądze do Toronto do Alvina Hooda. Chciała wywołać wrażenie, że chodzi jej o to, żeby dotarły do Hooda w piątek, ale bynajmniej nie leżało to w jej zamiarach. Gdyby Hood zdążył je dostać, mógłby się zdziwić, a nawet zawiadomić policję. Nie, mowy nie ma, nie ryzykowałyby. Pieniądze miały nadejść dopiero po śmierci Hooda i stać się ostatnim gwoździem do trumny Kima Fitzgeralda. I dostarczyć policji motywu morderstwa Hooda, nawet gdyby powody szantażu nie były jeszcze jasne. Najprawdopodobniej ma w zanadru coś jeszcze, co ma naprowadzić policję na właściwy trop.

Czy myślała, że policja dopatry się związku między Fitzgeraldem i zmarłą dziewczyną? Dziewczyną w ciąży, której istnienie, jeśli była kochanką Kima, przeszkodziłoby mu w małżeństwie z Melissą? Czy spodziewała się, że i to morderstwo obciążą konto Kima?

Wreszcie wjechał w kręte uliczki w pobliżu willi Latourelle'a. Podświadomie wypatrywał oznak katastrofy. Czego? Wozów policyjnych, karetki pogotowia, straży ogniowej? Nie, nic tu się takiego nie działo.

Ledwie zdążył się zatrzymać, wyskoczył z samochodu i pognął cementowym chodnikiem między zroszonymi deszczem klombami. Jednym susem przeskoczył schody wiodące na ganek i zadzwonił do drzwi. Biło mu serce. Bał się. Przyjechał za późno. Zbyt wolno się ruszał. Był przerażony.

Drzwi otworzył Latourelle. Spokojny, nie zatroskany. Był w brązowej aksamitnej bonzurce, pod pachą miał wieczorną gazetę. Spojrzał na Billa z wyraźną antypatią, ale bez popłochu.

— Pani Fitzgerald? — zapytał Bill.

— Czy coś się stało?

— Gdzie ona jest?

— Chyba w swoim pokoju.

— Sama?

— Doprawdy, inspektorze... Naturalnie, że jest sama. Co się stało? Czy młody bohater uciekł z więzienia? I myśli pan, że ukrył się u niej?

— Muszę się z nią zobaczyć. Jest w niebezpieczeństwie. Muszę z nią natychmiast porozmawiać. Gdzie jest jej pokój?

Twarz Latourelle'a zmieniła się. Bill zaraził go swoim niepokojem.

— W niebezpieczeństwie? — powtórzył cicho. Odwrócił się, zostawiając drzwi otwarte i szybko pobiegł przez hall. Pokój Melissy był od tyłu... daleko od reszty mieszkania. Może za daleko... Jak długo jest tam zupełnie sama?...

Latourelle zapukał do drzwi. Znowu spojrzął na Billa i nerwowo zapukał raz jeszcze. Odezwał się głos Melissy:

— O co chodzi?

Inspektor Blake chce się z tobą widzieć. W nagiej sprawie. Możesz wyjść?

— Chwileczkę. — Po sekundzie uchyliły się drzwi. — Leżałam sobie. — Melissa spojrzała pytająco na obu mężczyzn i zatrzymała niespokojne oczy na Billu. — Czy Kimowi coś się stało? Proszę powiedzieć!

— Nic nie stało się Kimowi — odrzekł Bill i głęboko odetchnął. Jak głupi lustrował Melissę wzrokiem; liczył nogi, ręce i oczy, jeszcze raz się upewniając.

Wyszła do hallu i zamknęła drzwi.

— Może usiądziemy — zaproponował swobodnie Latourelle. — Zdaje mi się, że inspektor Blake doznał szoku. Napijemy się czegoś?

Bill potrząsnął głową. Nie miał czasu na towarzyskie pogawędki. Melissa stała na wyprost niego wyczekująca, przejęta, wystraszona.

— Czy były dziś do pani jakieś listy lub telefony? Od Pattersona czy kogoś innego?

— Dzisiaj? Nie, od nikogo.

— Czy ktoś był tutaj? Czy ktokolwiek przychodził dziś do was

– wszystko jedno kto?

– Nie było żywej duszy – odpowiedział Latourelle.— Cały dzień lało jak z cebra. Pogoda nie bardzo zachęcająca do wizyt. Nie mieliśmy żadnych gości.

– A poczta? Nie przyszły żadne paczki? Może jakieś przesyłki ze sklepu?

– Czy to coś poważnego, Blake?

– Chyba tak.

Latourelle wyszedł do hallu i zawołał niezbyt głośno:

– Lea?

Po chwili ukazała się Lea Faunce z ręcznikiem przewieszonym przez rękę. Była bez okularów. Lekko uniosła brwi na widok Billa.

– Co się stało?

– Lea, czy doręczono nam dzisiaj jakieś przesyłki? Z poczty lub ze sklepu?

– Nie, dziś nic nie przyszło.

– A żywność? – spytał Bill.

– Oczywiście, żywność przyniesiono właśnie -przed chwilą. Jeszcze nawet nie wypakowałam wszystkiego.

O co chodzi? Czy ktoś ma nam przesłać bombę? – Zerknęła ukradkiem na Melisę. Dla Billa było jasne, że jej nie lubi. Trudno się dziwić; jakże by mogła lubić Melisę ta nieładną, starsza od niej kobieta z niezgrabną figurą i rzadkimi włosami. Przyjrzał się Lei uważniej.

– Chciałbym obejrzyć té dzisiejsze sprawunki.

Lea Faunce wzruszyła ramionami i zaprowadziła ich do kuchni. Na kuchennym stole stało kartonowe pudło. Na podłodze rozłożono gazety dla ochrony świeżo umytego linoleum. Bill wyciągnął po kolei wszystkie paczki z kartonu, każdą ostrożnie rozpakowując. Właściwie nie oczekiwał niespodzianek. Nie taki miał być schemat...

Wyłożył na stół niewinny udziec barani, wiązkę zielonych brokułów, sześć cytryn, funt masła i pudełko z brzoskwiniami. Każdy papier oglądał dokładnie z obu stron i odkładał. Powodowało to pewien nieporządek w nieskazitelnie czystej kuchni. Bo kuchnia była rzeczywiście nieskazitelnie czysta.

Biała kuchenka lśniła, jakby ją wypolerowano, chromowe okucia błyszcząły, rząd miedzianych rondli na ścianie połyskiwał czerwono. Miedź traci ten czerwony połysk bardzo szybko po oczyszczeniu... W zeszłym roku miał sprawę, w której decydującym czynnikiem był stopień czystości miedzianego garnka.

— I co? — spytał Latourelle.

Melissa nie spuszczała wzroku z Billa.

— Sądzi pan, że ten wczorajszy list był zapowiedzią?...

— Tak. Zaraz postaram się to wytłumaczyć. Nie bardzo wiem, co należałoby zrobić, ale chyba Melissa nie powinna tu zostać. Tuman ze mnie. Potrzebowałam całego dnia, żeby się domyślić, po co ją ściągnięto do tego parku. Widzicie, nasz chytry morderca nie wiedział, gdzie Melissa teraz mieszka. Skąd zresztą mogła wiedzieć?

— Mogła? — powtórzyli jednogłośnie.

— Aha. Tak, to kobieta. Jestem prawie pewien, że się nie mylę i że wiem, kto to jest. — Spojrzał w oczy Lei. — Nie mamy już czasu na zachowywanie pozorów. Zechce mi pani łaskawie powiedzieć, kim pani jest? Po prostu dla świętego spokoju i żeby oczyścić atmosferę.

Latourelle wyjął z szafy szklanę, nalał wody z kranu i wychylił duszkiem. Lea zarumieniła się. Rzuciła gniewne spojrzenie na Melisę, która odezwała się ze zdziwieniem:

— To siostra Latourelle'a, inspektorze. Mówiłam panu.

— Tak oni twierdzą. Ale to nieprawda.

— Nie — powiedział spokojnie Latourelle — to nieprawda. Lea to moja przyjaciółka. Znałem ją, kiedy była jeszcze bardzo młodziutka, zanim wyszła za męża.

Lea dorzuciła z przejęciem:

— Zawsze był dla mnie bardzo dobry. Kiedy Jeremy, mój mąż... — przerwała. — Nie zrobiłam nic złego. Ona by nie rozumiała. Lance mi to wytłumaczył. Zresztą spokojnie mogłam podawać się za jego siostrę — dodała z goryczą.

— Nie rozumiem — powiedziała cicho Melissa.

Latourelle wziął ją za rękę.

— To proste. Chciałem się tobą zaopiekować. Nie miałaś

gdzie się podziac. Potrzebni ci byli przyjaciele. A nie mogłaś zamieszkać tu ze mną sam na sam. Wiedziałem, że na to byś się nie zgodziła. Ze względu na Kima chociażby. Nie mam siostry, nawet kuzynki. Nie zrozumiałabyś tego, gdybym po prostu powiedział, że Lea jest moją dobrą znajomą. Więc przedstawiłem ci ją jako siostrę.

Melissa delikatnie wyjęła rękę z jego dłoni.

Byłeś dla mnie bardzo dobry, Latourelle, jestem ci wdzięczna. Tyle życzliwości mi okazałeś i troski. Ale... czy Kim wie, że nie masz siostry?

— Och, Kim, ciągle Kim. Niech go licha! Nie wiedziałby, gdybym miał pół tuzina sióstr, bo skądże? Melisso, nie uzależniaj do tego stopnia siebie od Kima... To nie jest bezpieczne, nigdy nie jest bezpiecznie dawać z siebie wszystko, ufać tak bez zastrzeżeń, kochać tak bezgranicznie. Nigdy!

— Wcale tak nie myślisz — odpowiedziała łagodnie. — Wiem, że wcale tak nie myślisz, Latourelle. — Zwróciła się znowu do Billa: — Dlaczego mam się stąd wyprowadzić?

Ale Bill nie skończył jeszcze z Leą Faunce. Niepozorna, schludna, rzadkie włosy... Jego hipoteza mogła być przecież całkiem fałszywa. Właściwie była zgola absurdalna.

— Czy ma pani jakieś dokumenty?

Obojętnie wyszła z kuchni, gdzieś w mieszkaniu trzasnęły drzwi, po chwili wróciła z plikiem papierów w ręce.

— Oto moja metryka. Akt ślubu. Różne dokumenty, które potrzebne mi były do rozwodu. Mam okazać panu może prawo jazdy?

— Nie, przepraszam.

— O co pan podejrzewa Leę? — zapytał głucho Latourelle. — Po co pan sprawdza jej tożsamość?

— Tożsamość to rzecz zmienna. — Bill stał ze ściągniętymi brwiami. Korciły go gazety na podłodze. Matka zawsze kładła gazety na świeżo wymytej i zapastowanej podłodze, dopóki całkiem nie wyschła. Zwrócił się do Lei: — Czy wymyła pani właśnie podłogę? Sprzątnęła pani kuchnię?

— Owszem, kuchnia została sprzątnięta. Ale nie przeze mnie. Ja się do tego nie nadaję.

— Mówiła pani, że przez cały dzień nie było tutaj nikogo obcego.. Nikogo.

— To ja powiedziałem — wtrącił Latourelle. — I nikogo nie było. Tylko posługaczka. Może pan nie wie, że pomoc domowa jest teraz na wagę złota i że bardzo trudno ją zdobyć? Co posługaczka ma z tym wspólnego?

— Mój Boże — westchnął nabożnie Bill — może wszystko, a może nic. Ta kobieta była już u pani przedtem?

— Prawdę mówiąc nie. Dziś rano zapukała do kuchennych drzwi. W czasie tej strasznej ulewy. Miała nasz adres: ktoś zamówił ją telefonicznie. Omyłka na pewno, ja jej nie wzywałam, a nikt inny też nie mógł. Ale o co chodzi? Dlaczego?

— Jak wyglądała?

— Nijako. Niezgrabna, rozczochrana. Straszna jaskrawa sukienka z niebieskiego kretonu, siwo włosy, skręcone po taniej trwałej ondulacji. Duże stopy w rozczłapanych pantoflach. Nie miała płaszcza nieprzemakalnego, tylko zwyczajny. I przemokła do suchej nitki. Nie wiedziała, dokąd pójść, chciała zarobić i zresztą w tym deszczu nie chciało jej się dalej szukać. Do przystanku autobusowego jest kawał drogi. Uznałam ją za dar niebios.

Wpatrywali się w niego wszyscy troje.

— Czy sprzątnęła tylko kuchnię?

— I łazienki. Świetna pracownica. Bardzo staranna. Wyczyściła wszystko: lodówkę, kuchenkę, rondle, umyła podłogę. Nie widziałam jeszcze takiej roboty. Kuchnia zajęła jej całe przedpołudnie, taka była dokładna. Nie marnowała czasu na rozmowę, nawet kiedy dałam jej tu lunch, zjadła piorunem i znowu wzięła się do pracy.

— Łazienki?

— Są tu trzy. Przy każdej sypialni. Każdy ma osobną. Melissa ma oddzielną łazienkę, której nikt inny nie' używa.

— Czy ktoś z was korzystał z łazienki już po sprzątaniu?

— Ja tak. Aż błyszczy od czystości. Właśnie miałam się przebrać, kiedy pań przyszedł. Powiesiła czyste ręczniki...

— Ja nie pamiętam — powiedział Latourelle.

— Twoją łazienkę sprzątnęła zaraz po lunchu. Około wpół do

drugiej. Później moją i na końcu Melissy.

— A potem?

— Zapłaciłam jej. Ma przyjść znowu w przyszłym tygodniu.

— Gdzie jest łazienka Melissy?

Melissa poszła pierwsza.

— Właśnie miałam się wykąpać i przebrać w inną suknię. Leżałam, kiedy ta kobieta robiła porządki.

Bill ostrożnie otworzył wąskie, białe drzwi. Łazienka była obszerna, z wysoką szafą ścienną w jednym rogu.

Podłogę stanowiła mozaika z niebieskich i białych kafli, firanki na podłużnym oknie też były niebieskie. Wszedł do środka. Czego ma szukać? Nie wiedział. Czy robi z siebie idiotę? Możliwe. Bardzo możliwe. Ale sprzątaczką, bardzo dokładną... Przypomniał sobie przytulne gniazdko Hooda, tak starannie wyczyszczone i uporządkowane. Pomyślał o biurze Kima Fitzgeralda i o trudnościach ze sprzątaczkami. Sprzątaczką to tak jak listonosz czy kelner. — Nikt ich w gruncie rzeczy nie zauważa. Siwe włosy? Mocno skręcone? No to co?

W tym momencie ostatni element łamigłówki znalazł się na właściwym miejscu. Wiedział. Wiedział wszystko. Było to niemożliwe, ale jeśli po starannym rozpatrzeniu każdej ewentualności jedyne rozwiązanie jest niemożliwe, trzeba dopasować do niego inne dane.

— Proszę tu nie wchodzić — nakazał.

— Czego pan szuka? — spytał Latourelle.

— Nie wiem. — Otworzył drzwi wysokiej szafy, powoli, w skupieniu... Na wysokości jego czoła była półka, na której leżały ułożone ręczniki... Wystarczy wyciągnąć rękę, wyjąć jeden ręcznik ze sterty i... Czy wtedy właśnie to się stanie?

Przysunął do szafy stół, stanął na nim, przyjrzał się uważnie niewinnie wyglądającym ręcznikom. Podnosił jeden po drugim i odkładał na bok, aż półka się opróżniła. Na niższych półkach leżała mata kąpielowa, dwa niebieskie wełniane koce, zwinięta zasłona od prysznica. Rozkładał systematycznie wszystko, upewniając się, czy nic nie ma w środku.

Na progu Latourelle zaśmiał się nerwowo.

— Przychodzi mi na myśl skorpion Jamesa Bonda. Czy może była to tarantula?

— Przykro mi, że jestem melodramatyczny — powiedział chłodno Bill. Zamknął drzwi szafy. Wanna... mydelniczka... mydło owinięte w fioletowy papier... nowe mydło? Położył je na stołku i wyjął nóż. Rozciął papier na końcach. Mydło wypadło. Świeży, nienapoczęty kawałek mydła. Powąchał. Podniósł je w dwóch palcach. Położył znowu na stołku, wbił nóż w środek i przekroił na pół.

Melissa powiedziała ściszym głosem:

— On jest taki poważny. Chyba trochę się boję. Czy powinnam się bać?

— Och, policjanci czasem lubią działać na efekt — mruknął Latourelle. Ale jego głos nie brzmiał całkiem normalnie. I on był przestraszony.

Ręczniki na wieszaku? Świeże, nie pogniecione ręczniki. Bill uniósł każdy po kolei. Nic.

Apteczka nad umywalką. Dobre lustro ze światłem po obu stronach. Lustro do makijażu. Melissa stanęłaby tutaj... otworzyłaby lustrzane drzwi, wyjęłaby krem, czy czego tam używa, żeby posmarować twarz...

Krem?

— Pani kosmetyki są w tej apteczce?

— Niewiele. Tylko szminka i puder.

— A lekarstwa?

— Płyn do ust. Tubka z aspiryną.

Płyn do ust. Aspiryna. Niewinne białe tabletki...

Położył rękę na chromowej gałce od drzwiczek. Poruszał się niezmiernie ostrożnie, bardzo wolno. Jego wzrok padł na szarą jedwabną nitkę, niemal niewidoczną na powierzchni lustra. Nitka była owinięta wokół gałki. Szła w górę na wyższą półkę apteczki, wąziutką półkę, może trzycalową. Sięgnął tam, wzmagając czujność. Na półeczce stała niewielka szklanka z grubego szkła. Zdjął ją wolniutko, najwolniej, jak mógł. Nitka przylepiona była do dna szklanki skrawkiem leukoplastu. Prawą ręką trzymał szklankę, a lewą pomalą odwijął nitkę z

gałki. Melissa, Latourelle i Lea wstrzymali oddech.

Szklanka napełniona była po brzegi płynem wyglądającym jak woda.

Wziął zwiniętą ściereczkę z brzegu umywalki, położył na dnie i wylał na nią parę kropli płynu ze szklanki.

W zetknięciu z materiałem ciecz zaczęła dymić. Rozległ się cichy syk i nagle w ścierce powstały dziury.

No tak, cóż by innego? Chloral i kwas... oczywiście.

Kiedy tak stał, patrząc pochmurnie na podziurawiony kawałek sukna, uderzyła go nowa myśl.

— Jak dawno odeszła? Ta sprzątaczką? Parę godzin temu?

Lea odparła słabo:

— Pięć minut przed pana przyjściem. Czy ten płyn w szklance...

— Proszę mi dać pusty słoik — zażądał Bill i Lea poszła do kuchni. Ruszył w ślad za nią. Przelał kwas do małego słoika po marynatach, który mu podała. Zakręcił mocno pokrywkę. Powtórzył bezmyślnie:

— Przepraszam, że jestem taki melodramatyczny.

— Gdybym otworzyła te drzwiczki — szepnęła Melissa — moja twarz... oczy...

— Przestań! — wykrztusił Latourelle. — Nie myśl o tym. Dzięki Bogu nie otworzyłaś tych drzwiczek. Dzięki Bogu.

Bill włożył słoik do kieszeni. Szklankę też zabrał, choć wiedział, że nie będzie na niej odcisków palców. Z hallu zadzwonił do Dennisa.

— Poproś o nakaz aresztowania. Na nazwisko Weroniki Vandenberg pod zarzutem zamordowania Alvina Hooda. Tylko szybko. Spotkamy się w „Coronation Arms”. Powinieneś znaleźć się tam równocześnie ze mną, jesteś o wiele bliżej. Jeśli nie będzie mnie w hallu, spytaj w recepcji. — Odwrócił się, musnął dłonią ramię Melissy, przez chwilę miał jakby ochotę pochylić się i pocałować ją, ale zrezygnował. — Prawie dobijamy do końca, Melisso. Ani się obejrzymy, a już będzie po wszystkim.

Latourelle dogonił go, zanim wszedł do samochodu.

— Nie wiem, jak mam panu dziękować. Domyśla się pan

chyba, że ją Kocham.

— Czy ona wie?

— W pewnym sensie. Raczej niejasno czuje. Nie warto by jej było o tym mówić. — Uśmiechnął się. — To zupełnie nowe dla mnie doświadczenie, ale ta jej uroda... Tak jakbym przez całe życie nosił w duszy ten obraz i nagle ideał się urzeczywistnił. Nie marzyłem nawet o tym. Więc... dziękuję, Blake. Mój Boże...

— Wyszliśmy już na prostą. Ale proszę nie zostawiać jej samej. Dopóki nie zawiadomię, że niebezpieczeństwo minęło.

— Gdzie znalazł pan Weronikę Vandenberg?

— Nie znaleźliśmy jej jeszcze.

— Nie znaleźliście? Zażądał pan nakazu aresztowania i nie wie pan, gdzie ona jest?

Bill powiedział z namysłem:

— W tylu miejscach jej nie ma, że chyba jest tylko jedno miejsce, gdzie należy jej szukać, jedno jedyne. Latourelle, pan jest człowiekiem doświadczonym. Gdyby żył pan z dziewczyną przez kilka miesięcy, czy mógłby pan potem pomylić ją z inną? Czy zawsze potem by ją pan poznał?

Latourelle zastanowił się.

— To jedyny wypadek, w którym niemożliwe są pomyłki. Jeśli spałbym z dziewczyną przez parę miesięcy i potem zetknąłbym się z inną podobną... — zawahał się. — Czy do tego pan zmierza? Nie, żaden mężczyzna nie dałby się nabrać.

— Nie — powiedział Bill. — Na pewno nie. I na tym rzecz polega. To jest klucz do tej historii.

Rozdział dwudziesty trzeci

Savage wysiadał właśnie ze swego vauxhalla, kiedy z dużą szybkością nadjechał Bill. Bill Blake zawsze w tym samym białym buicku przywoził mu na myśl Sir Galahada na białym koniu, pokonującego smoki i ocalającego dziewice. Smoki co prawda zabijał święty Jerzy, ale Dennis postanowił się tym nie przejmować. Bill zresztą wyglądał, jakby właśnie przed chwilą ujarzmił smoka. Miał zaciśnięte usta i stężałą twarz. Obrzucił

Dennisa ponurym spojrzeniem, ale nie odezwał się słowem. W milczeniu przeszli przez szeroki chodnik do obrotowych drzwi hotelu.

Czyżby nieuchwytna Sara Weronika ukrywała się w tym przybytku bogactwa i elegancji? Czy zawarła sojusz ze swoją siostrą Coral?

Bill skierował się do recepcji. Za biurkiem stał jak zwykle Bryant w krzykliwej sportowej marynarce i ręcznie malowanym krawacie. Bryant z krótkim zadartym nosem cwaniaka i nienagannie przylegającymi włosami.

— Poproszę o klucz do apartamentu panny Coral Vandenberg — zażądał Bill tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

— Klucz? Nikomu nie wydaję kluczy naszych lokatorów.

— Bryant, to kryminalna sprawa. Proszę nie rezonować, tylko po prostu dać mi klucz. Zaraz. Szybko. To znaczy natychmiast.

— Nie — trwał przy swoim Bryant. — Zresztą po co panu klucz? Coral jest u siebie. Niech pan zadzwoni do drzwi. Jej sprawa, czy zechce pana wpuścić. A ja nie mam zamiaru się wtrącać.

Bill podniósł słuchawkę i podał ją Bryantowi.

— Będę panu wdzięczny, jeśli pan zadzwoni do panny Vandenberg. Proszę nic o mnie nie mówić, tylko wdać się w pogawędkę i zapytać, jak się czuje czy coś w tym rodzaju. Zdarza się panu czasem do niej dzwonić, prawda? Choć może nie tak często, jakby pan chciał, żebyśmy myśleli. Bardzo proszę. Nic pan nie ryzykuje.

Bryant wzruszył ramionami.

— Nie lubię tych waszych policyjnych interesów — powiedział, ale nakręcił numer. Odezwał się sygnał, ale nikt nie podjął słuchawki.

— Bardzo często nie odpowiada. To zależy od stanu gardła. Chce odzyskać głos i jeśli boli ją gardło, z nikim nie rozmawia.

— Proszę o klucz.

Ale Bryant nadal nie chciał ustąpić.

— Nie może pan ni z tego ni z owego włączyć komuś do mieszkania, nawet jeśli jest pan policjantem — zmierzył wzrokiem Savage'a. — Musi pan mieć nakaz. Trochę się znam

na tych sprawach, jak pan widzi inspektorze.

Bill skinął na Savage'a. Dennis wyjął z kieszeni złożony papier i podsunął Bryantowi pod nos.

— Nakaz — mruknął.

Ale Bryant był bystry. Zdążył dostrzec imię i nazwisko.

— Pomylił pan adres albo coś w tym rodzaju. Tu nie mieszka żadna Weronika Vandenberg, tylko panna Coral Vandenberg — roześmiał się. — Ładna historia, kiedy już gliny myślą imiona i adresy. Koniec świata!

Bill włożył nakaz do kieszeni.

— Panna Weronika Vandenberg jest siostrą panny Coral Vandenberg. I niech pan nie próbuje się ze mną spierać. Proszę o klucz, chłopcze, bo będę musiał wezwać dyrektora i narobić szumu. Klucz! I to już! Śpieszy nam się.

Bryant sięgnął do wąskiej szufladki pod blatem biurka.

— To jest zapasowy klucz — powiedział zimno. — Odda pan go mnie do rąk, zresztą nie będzie panu potrzebny. Mówiłem, że Coral jest na górze. Nie wychodzi z domu od dobrych trzech miesięcy.

— Bardzo się musiała wynudzić — rzekł lekko Bill. Wziął klucz i skierował się do windy na prawo przez obszerny pięknie urządzonej hall. Puszysty dywan tłumił ich kroki, dokoła stały wygodne kanapki, w wazonach ustawionych na niskich stolikach do kawy były świeże kwiaty. Bryant obserwował, jak idą, ale był za daleko, żeby usłyszeć ich przyciszoną rozmowę. Savage nie czuł się na siłach dłużej czekać na parę przynajmniej słów wyjaśnienia.

— Czuję się jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Wypadłem z kursu. Jeśli raczysz pamiętać, podczas naszego ostatniego spotkania szafowałeś słówkiem „niemożliwe”.

— Sherlock Holmes — mruknął Bill. Spojrzał na połączoną tarczę nad windą. Wskazówka sygnalizowała, że windę zatrzymano na dziesiątym piętrze. Nacisnął energicznie guzik, ale nic się nie poruszyło. Wskazówka ani drgnęła.

— Sherlock Holmes?

— Wiesz, jak postępował ze sprawami niemożliwymi. Odwracał je do góry nogami. Jeśli nie ma innego rozwiązania,

to trzeba zrewidować założenia. — Spojrzał wściekły na tarczę. — Wózek dziecienny — burknął — czy inwalidzki? Ktoś o kulach. Niech to diabli!

Wskazówka podskoczyła i zaczęła się cofać. Winda zjechała na dół i masywne złote drzwi rozsunęły się cicho. Był to istotnie ktoś o kulach. Tęgi starszawy mężczyzna z purpurową twarzą, który usiłował jakoś nimi manewrować. Razem z nim w windzie znajdował się strapiony młodzieniec, składający się wyłącznie z rąk i nóg, których było za dużo — tak w każdym razie na pewno uważał starszy pan. Winda stanęła, ale on nie zdradzał zamiaru opuszczenia jej.

— Nie dam rady z tymi przeklętymi przyrządami — oświadczył na cały głos. — Naciśnij guzik, Barker, wracamy na górę. Trudno.

Bill zręcznie wcisnął się do windy, a w ślad za nim Savage. Stary pan zachnął się gniewnie, ale Bill nacisnął już guzik na czternaste piętro. Naturalnie nie obeszło się bez jeszcze paru minut zwłoki, kiedy wściekły i pokonany stary zrzęda wysiadał na dziesiątym piętrze z Barkerem, próbującym bezskutecznie mu pomóc, co narażało go na nieustanne kolizje z kulami. Wreszcie drzwi zamknęły się powoli, dyskretnie, żeby nie urazić uszu co wrażliwszych lokatorów.

Bill spojrzął na Dennisa.

— Przepraszam. Wydarzenia potoczyły się dziś szybko. I jeszcze ciągle się toczą. Może zachowuję się jak wariat, ale sądzę, że nie. Nie ma innego wytłumaczenia. Wykluczone. I nie możemy już dłużej ryzykować. W porównaniu z tą dziewczyną tygrys-ludojad to niewinny baranek. — Twarz mu zmierzchła. — To zbrodniarka. Wiem, do czego może się posunąć. Przekonałem się o tym przed godziną. Nawet jeśli się całkowicie mylę, jeśli poniosła mnie fantazja, nie wolno nam ryzykować.

Winda stanęła, drzwi otworzyły się i znaleźli się w długim korytarzu.

— To jest z drugiej strony — mruknął Bill i skierował się na lewo.

— O którą dziewczynę chodzi?

— Nie ma dwóch do wyboru.

Minęli liczne drzwi i zatrzymali się pod numerem 1402. Bill wahał się długo, jakby odwlekał decyzję. Dennis obserwował go uważnie. Boi się, że się pomylił? I nie chce popełnić błędu. Ale o jaki błąd mu chodzi? Aresztowanie niewłaściwej osoby? To niebezpieczne. W aktach Weroniki Vandenberg jest świadectwo zgonu. Czy można zaaresztować zmarłą? Jak udowodnić, że Sara Hansen jest Weroniką Vandenberg? Czy to go właśnie tak niepokoi?

Trzymał klucz w ręce, ale się nim nie posłużył. Zadzwoił do drzwi i czekał. Upłynęły długie dwie minuty. Nikt nie odpowiadał. Zadzwoił po raz drugi. Wreszcie zaczerpnął głęboko tchu i włożył klucz w zamek. Obrócił klucz i drzwi uchyliły się bez szmeru na dobrze naoliwionych zawiasach. Znaleźli się w obszernym kwadratowym hallu. Na prawo był spory salon, na wprost przytulna jadalnia, gdzie na niskim kredensie pod przeciwległą ścianą stały karafki i kieliszki. Na lewo drugi hall oddzielał dalsze pomieszczenia.

Bill wszedł do salonu i rozejrzał się. Wzrok Dennisa powędrował w stronę wielkiego biało-złotego fortepianu. W pokoju nie było nikogo. Bill zajrzał do jadalni i przeszedł do drugiego hallu. Wszystkie drzwi były pozamykane. Zapukał ostrożnie do pierwszych, odczekał chwilę i wszedł. Mały korytarzyk prowadził do dużej zbytkownie urządzonej sypialni. Szerokie miękkie łóżko, na którym piętrzyło się mnóstwo poduszek różowych i fioletowych, z aksamitu i satyny — typowe dla profesjonalnych dekoratorów. Na przeciwległej ścianie dwoje drzwi. Bill szybko podszedł, zapukał i otworzył jedno z nich. Wiodły do łazienki z fioletowymi ręcznikami na wieszaku i bardzo dużą toaletą, na której stały niezliczone słoiki i butelki. Drugie prowadziły do ubieralni; po wewnętrznej stronie stała tam długa szafa na ubrania, z rozsuwanymi drzwiami. Całą ścianę naprzeciwko zajmowało lustro. Na bocznej ścianie były jeszcze jedno drzwi. Bill otworzył je powolutku i znaleźli się w innym, znacznie mniejszym hallu. Na prawo stały otworem drzwi do kuchni, obok, naprzeciw ubieralni, był jeszcze jeden pokój, niechybnie służbówka.

Bill zapukał, najpierw lekko, potem głośniej. Cisza. Była to mała, skromna służbówka z wąskim łóżkiem, zwykłym biureczkiem i komodą. Żadnych różowych i fioletowych poduszek, żadnego zapachu perfum w powietrzu. Bill przeszedł do kuchni i stanął na środku zamyślony. Oczy utkwili w drzwiach wyjściowych. Kuchenne wyjście. Nie we wszystkich apartamentach drzwi od kuchni wychodzą bezpośrednio na korytarz. Z punktu widzenia architektury nie było to możliwe, chociaż bardzo pożyteczne.

Savage nadal czekał zaintrygowany. Gdzie może być Coral Vandenberg, tak schorowana i osłabiona, że od trzech miesięcy nie rusza się krokiem z domu? Bill powiedział zniżając głos:

— Świetny rozkład, co? Idealny. Do sypialni można dostać się od tyłu, wśliznąć się tak, żeby nikt w salonie nie zauważył. Co za wygoda. — Spojrzał na wewnętrzne drzwi od kuchni. — Nawet nie. znajdują się na wprost hallu. Nic dziwnego, ludziom siedzącym w salonie niepotrzebne są takie widoki. Bardzo logicznie pomyślane i rozplanowane. Ktoś może być w kuchni, przejść do małego hallu, stamtąd do służbówki, do sypialni, ubieralni i łazienki i nikt w salonie tego nie zauważy. Prawda?

— Rzeczywiście — zgodził się Savage.

— Gdyby było inaczej, cała moja koncepcja zdałaby się psu na budę. No więc, w końcu nie jestem obłąkany. Na pewno nie. Dennis, wiesz dlaczego Hood został zamordowany? Cały czas mieliśmy motyw przed nosem. Pamiętasz fakty w chronologicznym porządku? Hooda zabito w piątek w nocy. W poprzedni poniedziałek gazety doniosły, że dziewczyna, której zwłoki znaleziono w jeziorze, była w ciąży. Do tego momentu nasza sprytna panienska nic o nim nie wiedziała. Sarze Weronice nie śniło się, że ktoś taki istnieje. We wtorek rano mamy zagadkowy telefon do pani Hood, niby z urzędu telegraficznego z zapytaniem o adres i nazwisko abonenta. Rozumiesz? Tajemnicza osoba miała tylko numer telefonu, nic więcej. Nie wiedziała, do kogo telefon należy. Ale kiedy usłyszała nazwisko, dośpiewała sobie resztę. Musiało tak być. Może wiedziała, że Alvin Hood sprzedał Coral fortepian, mogła nawet się z nim zetknąć. Teraz nagle stał się dla niej szalenie

niebezpieczny. Ułożyła plan — potrzebny był kozioł ofiarny, a kto mógł jej się nadać lepiej niż Kim Fitzgerald? Cudowny pomysł. Ściągnęła więc szklankę i nóż z biura Fitzgeralda, wystarala się o chloral, może miała gdzieś ukryty zapas albo dostała receptę od lekarza — używa się go czasem jako środka nasennego. Jasne? A jeśli chodzi o rum... — zastanowił się. — Jak myślisz, skąd wiedziała, że Hood lubi rum? Tylko dlatego, że pochodzi z wybrzeża, gdzie zawsze szmuglowano masę rumu z Indii Zachodnich? Nie, to za mało. — Spojrzał ostro na Dennisa. — Czy na Linton Lane nie było przypadkiem pustych butelek po rumie?

— Nie znaleźliśmy tam przecież dosłownie nic.

— Tego mieszkania też nie znała. Jeszcze nie. Naturalnie! Nic o nim nie wiedziała. Na pewno intrygowały ją wpłaty za komorne, ale nie próbowała niczego dociekać, bo uznała to za zbyt niebezpieczne. Ale po poniedziałku musiała sprawdzić, o co tu chodzi. Nie miała rady. I znalazła gniazdko. Znalazła rum. Na próbkę pisma Hooda też tam trafiła. Rozumiesz, Dennis? Musiała gruntownie posprzątać całe mieszkanie, nie wolno jej było zostawić nic, co naprowadziłoby na ślad ludzi, którzy je zajmowali. Bo...

Savage poczuł dreszcz emocji.

— Bo dziewczyna w jeziorze to kochanka Hooda? On miał być ojcem jej dziecka?

— Nie mogło być inaczej. A więc, jak widzisz, on by ją poznał. W każdej sytuacji poznałby dziewczynę, z którą spał.

— Ale przecież nie żyła — powiedział Savage z namysłem.

— Tak, nie żyła. — Bill zamilkł nagle i nasłuchiwał przez chwilę. Bezszelestnie podszedł do drzwi kuchennych i przyłożył do nich ucho. Nie dochodził zza nich żaden odgłos.

Przez kuchnię i hall wrócił do ubieralni. Rozsunął drzwi szafy wypełnionej różnymi strojami; na górnej półce stało kilkanaście par butów, wszystkie na bardzo wysokich obcasach, jedna na zielonych, wysadzanych brylantami.

Na widocznym miejscu wisiała długa suknia domowa z kwiecistego jedwabiu. Wyciągnął rękę i odchylił kołnierz. Od wewnątrz przyczepiony był do sukni szeroki zwitek gazy.

— Wystarczy narzucić suknię i owinąć szyję gazą — stwierdził spokojnie. Z kieszeni sukni wyciągnął dziwny przedmiot: rękawiczkę, a raczej coś, co kiedyś było rękawiczką, której palce i górna część oblepione były kawałkiem plastra.

— Bandaże — mruknał. — Wystarczy wsunąć rękę w rękawiczkę i już gotowe. — Odwiesił suknię. — Jesteśmy w domu, chłopcze. Myślę, że potrafimy to wyklarować nawet ludziom, którzy widzą to, co myślą, że widzą, chociaż wcale tego nie widzą, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Od strony kuchni dobiegł ich odgłos przekręcanego klucza. Bill błyskawicznie zgasił światło i przeszli do sypialni. Tam ukryli się za uchylonymi drzwiami, przez szparę obserwując część głównego hallu. Wstrzymali oddech.

Przez hall przeszła kobieta, po drodze ściągając rękawiczki. Miała na sobie długą, szarą pelerynę pielęgniarki i obcisły ciemny kapelusik na głowie. W ręku trzymała niewielką plastikową walizeczkę, z tych poręcznych, które można płasko złożyć. Weszła do sypialni, rzuciła walizkę i rękawiczki na łóżko, zdjęła kapelusz i pelerynę. Stała tyłem do nich, daleka od myśli, że znajdują się zaledwie o sześć stóp i obserwują ją bacznie, wyciągając szyje. Była To Sara Hansen. Dennis nie miał wątpliwości. Drobną, schludną, o płaskim biuście, rzadkich, ciemnych włosach. Tak, to musiała być Sara Hansen. A zarazem Weronika Vandenberg. Nieświadoma, że ktoś na nią patrzy, wyciągnęła ramiona w radosnym geście triumfu, w zwycięskim geście człowieka, który, osiągnął cel i jest z tego powodu szczęśliwy. Och, była szczęśliwa. Roześmiała się sama do siebie. Dziwny był to śmiech: brzydki, obleśny, pełen niewymownej pychy. Powiedziała na głos:

— Nareszcie! Nareszcie! Do diabła z jej czystą duszyczką, z oczami, włosami i twarzą... Do diabła... A jak on będzie płakał... Ach, jak będzie płakał! Udało się...

I ja to zrobiłam. Ja, ja...

Bill poruszył się. Postąpił naprzód. Kobieta odwróciła się gwałtownie i stanęła z nim twarzą w twarz. Nie wierzyła, że jest tutaj. Niewidzącymi, obłąkanymi oczyma dostrzegła Savage'a zbliżającego się w ślad za Billem. Potrząsnęła głową, mówiąc

sobie, że to nieprawda, że w sypialni nikogo nie ma... Savage nie poznał głosu Billa, który się wreszcie odezwał: był to najzimniejszy i najtwardszy głos, jaki w życiu słyszał:

Nie, wcale się nie udało. Pomieszałem ci szyki. — Wyjął z kieszeni nakaz. — Panno Weroniko Vandenberg, jest pani arestowana. Na razie za morderstwo dokonane na osobie Alvina Hooda. Będą i dalsze zarzuty.

Dziewczyna skamieniała. Utkwiła w nim wzrok, jakby jeszcze raz próbowała wmówić w siebie, że za chwilę zniknie. Jej oczy powoli oprzytomniały. Powiedziała dobitnie:

— Myli się pan całkowicie. Nazywam się Coral Vandenberg. Nie wiem, o kim pan mówi. Ja jestem Coral Vandenberg.

Bill zbliżył się do łóżka i otworzył plastikową walizeczkę. Spodziewał się, że znajdzie tam coś ważnego.

W walizce były tylko trzy paczuski z jedzeniem. Duży stek, torebka z mrożonym groszkiem, grubo lukrowana babka czekoladowa. Nic poza tym. Bill przez chwilę wydawał się stropiony, ale zaraz się ocknął.

— I tak znajdziemy. Płaszcz, tanią sukienkę, siwą perukę — ekwipunek sprzątaczk. Gdzie? Może w sejfie na stacji autobusowej? Łatwo dostępnym w razie potrzeby? Mniejsza o to. Poszukamy potem.

— Nie wiem, o czym pan mówi. Jaki płaszcz? Jaka siwa peruka? Mam jedną tylko perukę, którą zawsze noszę, chyba, że pada deszcz i wkładam kapelusz. Mam ją od dawna. Wszyscy noszą peruki. Ale na moją nie pasuje kapelusz. Musiałam iść kupić coś do jedzenia. Po co mi siwa peruka?

Bill odpowiedział zmęczonym głosem:

— Naprawdę, nie warto. Pani pójdzie z nami. Musimy zadać pani około tysiąca pytań. A to zajmie dużo czasu.

— Nigdzie nie pójdę. Byłam chora. W ogóle nie wychodzę z domu. Wskoczyłam dzisiaj na chwilę, bo czuję się trochę lepiej. Pierwszy raz od miesięcy. Pan może nie wie? Ále mnóstwo ludzi wie, wszyscy, którzy mnie znają. Wysłałam po coś do jedzenia i włożyłam kapelusz i pelerynę, bo pada deszcz. Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem, mam dość siedzenia w domu. Co to zresztą pana obchodzi? Mówi pan, że Weronika

Vandenberg zabiła jakiegoś Alvina Hooda. Nie jestem Weronika Vandenberg, nigdy o takiej nie słyszałam. Nazywam się Coral Vandenberg.

Bill podniósł z łóżka pelerynę. Zarzucił jej na ramiona. Weźmie ją z sobą, choćby miał wepchnąć ją do tej plastikowej walizki i zanieść. Nie ustąpi.

Bardzo szybko uświadomiła sobie, że będzie musiała jednak iść z nimi.

Rozdział dwudziesty czwarty

Panna Coral Vandenberg siedziała spokojnie w biurze pana, o którym wiedziała, że nazywa się Harrison i jest komisarzem policji w Toronto. Był to duży mężczyzna o byczym karku, wyglądający nie tylko niezbyt bystro, ale nawet nieco sennie. Siedział za biurkiem paląc fajkę i rzadko się odzywał. Mówił głównie inspektor Blake, którego wszyscy nazywali Billem, jakby taki nieokrzesany prostak zasługiwał na zdrobniałe imię. I nic dziwnego, że on mówił; urobił sobie przy tej sprawie ręce po łokcie.

Poprzedniego wieczoru przesłuchiwał ją przez trzy godziny. I nic nie wskórał. Zresztą w ogóle nic nie wskóra. Im więcej gadał, tym wyraźniej było widać, że opiera się wyłącznie na domysłach, nie potrafi przedstawić żadnych faktów.

O co mu chodzi? Sam to co prawda wyjaśnił dziś, zaraz na początku, kiedy ten Anglik Savage sprowadził ją tutaj z tego śmierdzącego więzienia. Byli tu tylko we dwójkę — ten komisarz policji i Blake. Weszła i usiadła sobie swobodnie, spokojna i wcale nie zdenerwowana. Domysły w obliczu prawa nie mają żadnego znaczenia. A czym Blake dysponował poza tym? Niczym. Samymi teoryjkami.

Spojrzał na nią i rzekł do komisarza:

— Oto ta kobieta. — Weronika Vandenberg, proszę pana. Nie Coral Vandenberg. Sytuacja jest nieco skomplikowana. Kimball Fitzgerald został aresztowany i czeka go proces za zabicie człowieka nazwiskiem Alvin Hood. Fitzgerald jest niewinny.

Morderczynią jest ta kobieta. Nie możemy aresztować dwojga ludzi pod tym samym zarzutem. Musimy więc wykazać, że ta kobieta jest winna, zanim zwolnimy Fitzgeralda i musimy zwolnić Fitzgeralda, zanim ją zaaresztujemy.

Komisarz ściągnął brwi. Wyjął z ust fajkę.

— Użył pan właściwego określenia, Blake, mówiąc, że sytuacja jest skomplikowana. Jest. A musi być jasna. Całkiem jednoznaczna.

Oczywiście, Miał rację. A mowy nie było, żeby była jednoznaczna w tym sensie, o jakim myślał Blake. O nie. Powtarzał dziesiątki razy słowa, które podsluchali wczoraj razem z tym drugim w jej własnej sypialni. No i co? Mógł je powtarzać do śmierci — i tak nikt nie uwierzy, że znaczą to, co on uważa, że znaczą. W żaden żywy sposób. Inspektor Blake wpadł w tarapaty i zwyczajnie się ośmieszył. Ona jest panną Coral Vandenberg z grubą forszą w banku i ma zamiar pozostać panną Coral Vandenberg.

Zżymała się, że jest bez swojej złocistej peruki. Zupełnie jakby widzieli ją nago. Peruka leżała na biurku komisarza. Piękna peruka. Kupiła ją zaraz po przyjeździe na wschód, w październiku w salonie fryzjerskim, na Bloor Street. Może to udowodnić. Ma kwit i skasowany czek na trzysta dziewięćdziesiąt pięć dolarów. W „Starze” zamieszczono jej zdjęcie zrobione na balu noworocznym. Figurowało pod nim jej nazwisko. Coral Vandenberg w peruce. Nikt nie wiedział, że to peruka. No bo skąd? Nie cierpiała swoich włosów, cienkich, rzadkich, do niczego. Wszystkie wielkie aktorki noszą peruki, mają ich pełno w szafach.

W jej apartamencie nie było żadnej innej peruki. Inspektor Blake musiał sam to przyznać. Przeszukał wczoraj w nocy wszystkie zakamarki, niczego nie ominął. Razem z Savage'em. Komisarz zadał mu mnóstwo pytań na ten temat. Tak, przeprowadził rewizję, ale co znalazł? Nic.

Usiłował wmówić wszystkim, że ona jest nie Coral, ale Weronika. Bzdura. Weronika nie żyje. Coral nigdy jej nie знаła, w ogóle nie wiedziała o jej istnieniu. Próbował wykręcić kota ogonem: że to niby Weronika mieszkała w „Coronation Arms”.

Nie może tego udowodnić. Nie **j** znalazł ani skrawka papieru, najmniejszego śladu, że przebywał tam ktokolwiek poza Coral i, oczywiście do lipca, pokojówką Sarą Hansen, po której też nic zresztą nie zostało.

Żadna z wiszących w szafie sukien nie była ani o numer za duża na nią — Coral. Posłała kilka paczek z używaną garderobą na doroczną wentę dobroczynną w operze. Każdy może zapakować rzeczy do kartonowego pudła, zaadresować i zostawić w służbowej windzie, a portier prześle je, gdzie należy... lub zanieś do domu dla żony. Mniejsza o to. I tak się do tego nie przyzna. Sam zresztą, nie może wiedzieć, kto jest ofiarodawcą. Każdy lokator ma prawo korzystać ze służbowej windy. A co do peruki... Jeśli się zdarzy, że ktoś już nie chce czy nie potrzebuje sztucznych włosów, nic prostszego niż się ich pozbyć. Najpierw nożyczki, a potem spuszcza się wodę w ubikacji. Załatwione. Czysta szuflada, żadnego śladu.

Kiedy komisarz stwierdził, że sytuacja musi być jednoznaczna, Blake powiedział:

— Dla mnie wszystko jest jasne, proszę pana. Przedstawię panu przebieg wydarzeń. Postaram się ująć to krótko. Dziesięć lat temu młoda dziewczyna, nazwiskiem Weronika Vandenberg, poznała Kimballa Fitzgeralda. Chciała za niego wyjść za mąż, liczyła, na to, domagała się tego. Teraz już Fitzgerald tego nie kryje.

Domagała się? Wzbierała w niej wściekłość, ale stłumiła ją całą siłą woli. Wszyscy mężczyźni to kłamcy i Fitzgerald też kłamie.

— Matka Fitzgeralda dowiedziała się o ich przyjaźni. Udała się do tej dziewczyny, rozmawiała z nią i najpewniej powiedziała rzeczy, które lepiej byłoby pominąć milczeniem. Fitzgerald nie wie, co mówiła; nie wspomniała mu o tej wizycie, zna tylko wersję dziewczyny, ale nie wątpi, że matka musiała być wstrząśnięta, przerażona i może nawet niechcący okrutna — nie tyle w słowach, ile w sposobie bycia.

Coral Vandenberg zacisnęła dłonie. Jest bardzo spokojna. Słucha opowieści o zupełnie obcej dziewczynie.

Weronika Vandenberg jest odpowiedzialna za śmierć pani

Fitzgerald. Przyszła do domu Fitzgeraldów, weszła przez nie zamknięte drzwi i oblała matkę Kima kwasem. Chlusnęła jej kwasem w twarz.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Twarz komisarza nie była już obojętna.

— Kwasem? Spojrzał na Coral i odwrócił wzrok. — Słucham dalej.

— Pani Fitzgerald umarła tejże nocy, na szczęście, można powiedzieć. Oślepla i była straszliwie poparzona. Fitzgerald złapał dziewczynę, zamknął ją w ściennej szafie i wezwał lekarza, który z kolei zawiadomił policję. Karetka pogotowia zabrała panią Fitzgerald do Toronto. Dziewczynę też przewieziono do Toronto, gdzie została zaaresztowana; przesiedziała w areszcie trzy dni, po czym skierowano ją do szpitala psychiatrycznego w Toronto. Stamtąd na podstawie orzeczenia psychiatrów wysłano ją do Woods' Crossing, gdzie szybko stała się wzorową pacjentką. — Zawahał się. — Jest niezwykle bystrą i przenikliwą obserwatorką. Dostrzega każdy szczegół i potrafi go wykorzystać. To bardzo istotne w tej sprawie. Weronika Vandenberg zginęła jakoby podczas pożaru szpitala w Woods' Crossing. Wystawiono świadectwo jej zgonu. W owym czasie nikt nie wątpił, że jest jedną z czterech kobiet, których spalone zwłoki znaleziono po pożarze. Ja osobiście w to nie wierzę.

— Nie wierzy pan, że umarła? — powtórzył komisarz. — A ma pan dowody, że żyje?

Przypuszczam, że cała pana teoria opiera się na założeniu, że ta kobieta nie jest Coral, tylko Weroniką Vandenberg, prawda? Ale nie wystarczy, że pan sam w to wierzy. To nie jest kwestia wiary. Musi pan umieć tego dowieść. Czy może pan przedstawić dowody, że Weronika Vandenberg nie umarła, że przeżyła pożar, uciekła ze szpitala i udało jej się zmienić tożsamość?

No właśnie. Niełatwy orzech do zgryzienia. Jakie masz dowody? Żadnych. Ciżba ludzi rozbieganych jak mrówki, gdy ktoś wetknie kij w mrowisko... Pacjenci w domu wariatów potrafią być niebezpieczni, zwłaszcza jeżeli są podnieceni. A pożar jest podniecający. Mnóstwo obcych przychodzi i

odchodzi. Kto tu może cokolwiek udowodnić?

— Dowiodę tego — powiedział zdecydowanie Blake.

— Proszę, słucham dalej.

— Wiem; że przeżyła pożar i uciekła, i wiem, że trawiła ją zjadła nienawiść do Fitzgeralda, który nie spełnił jej marzenia o małżeństwie i przez którego, co najgorsze, zamknięto ją w szpitalu. Na pewno snuła różne plany zemsty, ale jak je wprowadzić w czyn? I nagle, na początku Nowego Roku, natyka się na coś, co gruntownie zmieni jej życie. Zobaczyła w gazecie zdjęcie swojej przyrodniej siostry, o której istnieniu nie miała pojęcia. Panny Coral Vandenberg, bogatej dziedziczki.

I patrząc na fotografię zdaje sobie sprawę, że ich rysy są niemal identyczne. Drobną twarz, żadnych znaków szczególnych, nic, co by rzuciło się w oczy. Weronika była o siedem lat starsza, ale nie miała zmarszczek, teraz też ich nie ma, jak pan może łatwo stwierdzić.

— W każdym razie ta dziewczyna nie ma zmarszczek — zgodził się komisarz.

— Myślę, że tej samej nocy ułożyła sobie z góry cały plan postępowania. Nie wiedziała jeszcze w tym momencie, że niezwykle piękne włosy Coral to peruka, że w rzeczywistości włosy też mają takie same. Peruka była dodatkowym ułatwieniem. Nie wątpię, że później skorzystała z pierwszej okazji, żeby ją przymierzyć, podczas kąpieli Coral na przykład. Ale już przedtem jasne było dla niej, że jest do przyrodniej siostry ludzako podobna i że różnią je tylko włosy. Była pewna, że w peruce, mocno umalowana, znakomicie może udawać Coral. Otworzyły się przed nią zupełnie nowe perspektywy. Chciała zagarnąć pieniądze Coral. Kto wie, czy nie uważała, że prawnie jej się należą, bo natychmiast zorientowała się, że Coral jest córką jej ojca Corneliusa, z nielegalnego związku. Poszła do niej jako Sara Hansen. Poprosiła ją o pracę. Robiła w życiu rzeczy rozmaitego typu i świetnie znała się na prowadzeniu gospodarstwa. Między innymi miała dwa lata praktyki w Woods' Crossing, gdzie sprzątała i gotowała. Była wykwalifikowaną pokojówką.

— A trzecia dziewczyna, ta Sara Hansen?

— Trzecia tylko pozornie. Twierdę z całą stanowczością, że Sara Hansen i Weronika Vandenberg to jedna i ta sama osoba.

Komisarz opróżnił z irytacją fajkę do popielniczki.

— To wszystko są hipotezy, Blake. Czy ma pan dowody? Ta cała historia z każdym słowem robi się coraz bardziej mętna. Może pan udowodnić, że Sara Hansen i Weronika Vandenberg to ta sama osoba? I coś mi się zdaje, że ma pan jeszcze jakieś niespodzianki w zanadrzu. Czy nie próbuje pan przypadkiem wykazać, że te wszystkie trzy kobiety to właściwie jedna? Do tego pan zmierza?

— Właśnie do tego. — Wyjął papierosa i zapalił. — Chwileczkę cierpliwości, panie komisarzu. Nie będę gołosłowny. Nikt inny nie miał motywu, żeby zamordować Alvina Hooda. Nikt prócz Weroniki Vandenberg. Ponieważ, widzi pan, ona już poprzednio zamordowała swoją przyrodnią siostrę i zajęła jej miejsce. Musiała sobie to miejsce zapewnić na zawsze.

Patrzył teraz wprost na nią. Wmawia w siebie, że to wszystko prawda. Głupi. Nie może mieć żadnej pewności. Nigdy nie będzie miał pewności.

Sugar River... Co za piękny zakątek! Kawalek nieba, który spadł na ziemię. Cudowne wakacje nad rzeką. Dziewczynę, która całe życie spędziła na płaskich, nagich preriach, łatwo było skusić lasami i wodą. Wystarczyło jej powiedzieć, że trzeba wcześniej zarezerwować wolny domek, bo potem wszystko będzie zajęte. I że trzeba rozejrzeć się już w maju.

Naturalnie domek znalazły bez trudu. Ustronny domek na półwyspie, do którego prowadziła droga od czterdziestu lat przez nikogo nie używana, stary szlak wozów jadących do rzeki. Przy drodze nikt nie mieszkał. Nie miało się żadnych domów, nawet tej starej walącej się chałupy. Może już teraz była wyremontowana, tak samo jak oba żółte domki.

W pierwszych dniach maja było tam puściuteńko. Klucz pasował jeszcze do zamka. A potem? No cóż, dzień był raczej chłodny i oczywiście zadbała o to, żeby przywieźć coś do jedzenia. Na początek należało się czegoś napić. Domek nie prezentował się zbyt olśniewająco. Był już teraz czysty, ale dość zaniedbany i absolutnie nie nadawał się do wynajęcia na lato.

Kieliszek alkoholu trochę je pocieszy po doznanym zawodzie. W planie nie było żadnych luk. Do przytrzymywania drzwi wejściowych służył zawsze duży kamień, który i teraz leżał za progiem. W torebce miała cienką podniszczoną linkę...

Linkę, która zgnije w wodzie i po dłuższym czasie, po miesiącach może, po prostu opadnie z ciała bez śladu.

Komisarz wyjął z ust fajkę.

— Zabiła już swoją przyrodnią siostrę? Dość daleko się pan posuwa, Bill. Kiedy to miało nastąpić?

— Koło połowy maja. Widzi pan, ta dziewczyna ułożyła naprawdę niezwykle sprytny plan, uwzględniający każdą ewentualność. Wymyśliła nawet sposób, żeby przejąć pieniądze Coral w banku, co wydawałoby się zgoła niemożliwe do załatwienia. Jeszcze do tego wróć, jeśli pan pozwoli. Udało jej się. Obecnie ta kobieta dysponuje całym pokaźnym majątkiem Coral Vandenberg.

— Skąd wziął się w tym wszystkim Hood?

— Hood miał od pewnego czasu romans z Coral. Zaczęło się to przed Gwiazdką, zanim Sara się pojawiła. Po Nowym Roku, mając Sarę w domu, Coral wynajęła małe mieszkanie na Linton Lane, gdzie spotykała się z Hoodem.

Szatan wcielony! Okrutny, podły sadysta! Jeszcze niedawno łamała sobie głowę nad tym adresem na Linton Lane. I wymyśliła! Nikt inny by na to nie wpadł. Jakie miała dane, na których mogłaby się oprzeć? Żadnych prawie. Parę skasowanych czeków jako opłatę za czynsz. Ale sądziła, że chodzi o pokój do ćwiczeń muzycznych... Kiedy dziewczyna uczy się muzyki, a ma w tym kierunku ambicje, potrzebuje pokoju do ćwiczeń w pobliżu nauczyciela — dała się na to nabrać. Potrzebuje miejsca, w którym może ćwiczyć całymi godzinami, jeśli ma na to ochotę, i gdzie nikt nie będzie uskarżał się na hałas. Pokoje w „Coronation Arms” były dźwiękoszczelne, ale kiedy śpiewa się pełnym głosem lub wali w pianino, człowiek jest trochę zażenowany, nie może czuć się naprawdę swobodnie. Potrzebny jest więc specjalny pokój do ćwiczeń.

Popęlniła błąd wierząc w to bez zastrzeżeń. Ale dlaczego

miałaby wątpić? Nic nie wskazywało na to, że może chodzić o coś innego.

Te czeki... I administracja podała jej oczywiście adres. Mieli mnóstwo pytań, bo czynsz nie był zapłacony od dziesiątego maja. Klucz był taki sam jak ten dodatkowy na kółku z kluczami do samochodu i apartamentu... Poszła tam i od progu zdębiała. Jeszcze ciągle oczekiwała pokoju do ćwiczeń muzycznych, a to było zupełnie co innego. Żadnego pianina. Szeroka otomana i mnóstwo smakołyków w lodówce. Puszka kawioru, zepsuty homar, spleśniały chleb i zjełczałe masło. A w spiżarce pół tuzina pustych butelek po rumie i trzy pełne. I pół butelki wódki. Amatorem rumu musiał być mężczyzna, bo rum ma mocny zapach i poczułaby, gdyby Coral piła.

A w biurku w „Coronation Arms” tajemniczy skrawek papieru z nieznanym pismem. Numer telefonu i notatka „Tylko w czwartek wieczorem”. Drukowane litery, takie same jak na kartce z notesu, którą znalazła na Linton Lane. I wreszcie podpis – na kwicie za pianino.

Przez krótki moment nie wiedziała, co ma zrobić.

Gazety doniosły, że dziewczyna była w ciąży.

Mężczyzna... obojętne, kto to był... stanowił groźne niebezpieczeństwo. Nie dałby się zmylić. Każdej chwili mogłoby się coś zdarzyć i zorientowałby się... Co wtedy? Pieniądze, cudowne pieniądze... A nawet jeszcze gorzej, gdyby się domyślił...

Zamknęła oczy, przełknęła ślinę, opanowała przyspieszone bicie serca. Wszystko w porządku, ułożyła genialny plan i przeprowadziła go.

A Blake gadał dalej. Mówił i mówił.

– Rozumie pan, panie komisarzu, Sarze nie śniło się nawet o tym romansie. Gdyby cokolwiek wiedziała, nie wstrząsnęłaby nią do tego stopnia nowina o ciąży Coral. Do głowy jej nie przyszło, że Coral z kimś żyje. I na wiadomość o jej stanie wpadła w popłoch. Musiała działać, i to natychmiast, bez zwłoki. Wysilić pamięć, prze- wertować wszystkie kwity, dokumenty i notatniki, żeby dojść, kto to mógł być. Słyszała chyba o nim, widziała go może, tylko nie jako kochanka Coral.

Jako sprzedawcę pianin po prostu. Ale jest bardzo sprytna i kiedy zaczęła szukać, szybko wpadła na trop Hooda. Twierdzą z całą pewnością, że w dzień przed śmiercią Hooda zadzwoniła do niego wieczorem, udając Coral, i wyznaczyła mu spotkanie w hotelu „Meridian”. Dobrze naśladuje głosy, jak świadczy choćby łatwość, z jaką zagrała rolę schorowanego starca, mitycznego doktora Pattersona. Może powiedziała mu, że jest w ciąży, że musi się z nim zobaczyć. Nie miał z nią kontaktu dłuższy czas, od połowy maja. Myślał, że puściła go kantem, sądził, że jest w Muskoka. Napomknęła chyba, że zamierza wynająć letnisko w Sugar River. Ponura nowina na pewno go przerażyła, widać to było po jego zachowaniu, potwierdzi to w razie potrzeby jego żona.

— Ciągłe jeszcze operuje pan przypuszczeniami, teoriami, domysłami, podejrzeniami — powiedział stanowczo komisarz.

Coral uśmiechnęła się do niego leciutko. Ten człowiek przynajmniej nigdy nie stworzy żadnej teorii, jest na to za mało inteligentny. Wszystko musi mieć czarno na białym, solidnie udokumentowane. U niego dwa plus dwa nigdy nie da pięciu. O, nie. Blake — ten jest biegły w dodawaniu. Nie potrzebuje nawet konkretnych liczb, potrafi wyczytać je z sufitu. Ale nic mu nie pomoże. Nic nie wskóra. Każdy byle zręczniejszy prawnik roześmieje mu się w nos.

Komisarz nie zareagował na jej uśmiech. W jego spojrzeniu nie było nawet cienia życzliwości. Co on sobie teraz myśli? Czy doprawdy bierze na serio chorobliwe majaczenia Blake'a? Poczula, że znowu zaciska dłonie. Nie wolno jej ogryzać paznokci. Nie wolno jej okazać niepokoju. Może być trochę zła... kto nie byłby na jej miejscu? Ale nic ponadto. Żadnego strachu. Ani cienia strachu.

Inspektor Blake zaciągnął się głęboko papierosem.

— Notatka na bloczku w pokoju hotelowym Hooda została napisana przez tę kobietę — spojrzał na nią po raz pierwszy tego dnia. Drukowane litery w obecnych czasach nie, są bezpieczne — dodał sucho.

— Co wam posłużyło jako materiał porównawczy?

— Jej czeki. Bank ma jeszcze czeki sierpniowe. Rzeczoznawcy

nie mają żadnych wątpliwości.

Komisarz kiwnął głową.

— Ale opinie rzeczoznawców często się różnią, zwłaszcza w grafologii. Co jeszcze?

Blake spojrział na Savage'a, który siedział pod ścianą. Savage wstał i wyszedł z pokoju. Coral odprowadziła go wzrokiem. Czy poszedł po kogoś? Czy zaraz tu kogoś przyprowadzi? Nie miało to co prawda większego znaczenia, ale są ludzie, których nie chciała zobaczyć. Nigdy. Przenigdy. Za nic w świecie. Nie mają prawa jej zmuszać. Trzymają ją w tym pokoju wbrew woli, zamkniętą prawie. A zresztą co za różnica. To straszne być zamkniętym. Kiedy jest wolna i jak inni ludzie, może robić, co chce, nie ma nic przeciw widzeniu kogo bądź. Jeśli jej ktoś nie odpowiada, da sobie radę. Nigdy jej nie brakuje pomysłów. Potrafi załatwić sprawę w sposób definitywny i ostateczny. A jeszcze teraz, z tymi pieniędzmi... Na przykład sprawa samochodów. Ma wspaniałego białego cadillaka, ale nikt o nim nie wie. Kanada to bardzo głupi kraj. Robią wielkie historie o prawo jazdy. Ale można zdać tyle egzaminów, ile się chce, i po każdym dostać nowe prawo jazdy, na coraz inne nazwisko. Nikt od dorosłych ludzi nie żąda metryki, tylko od młodzieży. Ona ma trzy prawa jazdy... Jedno na cadillaka, drugie na podniszczonego małego volkswagena, trzecie na mercedesa, stojącego w garażu „Coronation Arms”. I co? Żywa dusza o tym nie wie i nie może wiedzieć. Pieniądze też można trzymać w różnych bankach na różne nazwiska i płacić za wszystko czekami. Kto to wykryje? Nawet takiej szczonej sztuce jak Bill Blake to się nie uda, choćby wietrzył na wszystkie strony.

Otworzyły się drzwi. Wszedł dyrektor jej banku, pan Jordan. Był speszony, zaskoczony, zaintrygowany, po co go tu ściągnięto. No więc? Od pana Jordana nic się nie dowiecie.

Obrzucił ją obojętnym spojrzeniem i odwrócił wzrok. Komisarz obserwował go. Blake powiedział:

— Czy zna pan tę kobietę?

Jordan znowu na nią spojrział. Zobaczył skromną czarną sukienkę — włożyła ją wczoraj pod wzorzysty kreton — nie umalowaną twarz, rzadkie, krótkie włosy. Potrząsnął głową.

— Mogłem ją gdzieś widzieć, w banku na przykład, ale nie znam jej.

Coral zachnęła się.

— To nieuczciwe. Oczywiście nie może mnie poznać. Przez włosy. Pan nie wie o tym — zwróciła się do Jordana — ale ja zawsze nosiłam perukę.

Blake podał jej perukę. Nałożyła ją. Doskonale wiedziała, jak ją nałożyć; nauczyła się robić to w mgnieniu oka. Uśmiechnęła się do Jordana.

— A teraz?

Zareagował natychmiast, jak się tego spodziewała.

— Panna Vandenberg!

— Coral Vandenberg — poprawiła. — Naturalnie pan Jordan mnie zna. Zajmuje się moimi finansami.

— Może pan przysiąc, że to jest Coral Vandenberg? — spytał Blake.

— Jak to? — wyjąknął Jordan, stropiony nieco głupią historią z peruką. — Chyba tak. Oczywiście. Na pewno.

— Coral Vandenberg, którą poznał pan jesienią, zaraz po jej przyjeździe na wschód?

— Właściwie nie zawarłem z nią wtedy bliższej znajomości. Ale pamiętam to spotkanie. Tak.

— Pamięta pan pannę Vandenberg czy tylko jej włosy?

Jordan zmarszczył brwi.

— Wygląda zupełnie inaczej bez peruki. To piękne włosy. Zwracają uwagę. Dlatego nie poznałem jej na pierwszy rzut oka. Ale teraz nie mam już żadnych wątpliwości...

— To znaczy — przerwał Blake — jest pan pewien, że to ta sama kobieta, u której pan był, żeby potwierdzić jej podpis? Podpis bardzo różniący się od dawnego z powodu opuchlizny rąk?

Jordan przeniósł wzrok na jej dłonie. Nie były już spuchnięte ani zabandażowane. Ale upłynęło przecież sześć tygodni, odkąd ją ostatnio widział... Chyba zrozumie, że zdążyła wyzdrowieć.

— Tak — powiedział pan Jordan.

— Nie może więc pan przysiąc, że jest to kobieta, którą widział pan jesienią, kiedy przyszła po raz pierwszy do waszego

banku? Tylko, że jest to kobieta, którą pan widział w apartamencie w „Coronation Arms”?

— Nie bardzo rozumiem, inspektorze. O co panu chodzi?

— Panie dyrektorze, zadam panu teraz pytanie dużej wagi. Wiele zależy od pańskiej odpowiedzi. Będzie miała ogromne znaczenie nie tylko dla policji i dla tej kobiety, ale także dla pana i pańskiego banku.

— Bardzo proszę, postaram się odpowiedzieć w miarę możliwości.

— Mówił pan, że kiedy odwiedził pan pannę Vandenberg w jej apartamencie, była tam także pokojówka Sara Hansen?

— Tak. Naturalnie. Widziałem ją podczas pierwszej wizyty w maju i potem w końcu czerwca, kiedy przyniosłem pannie Vandenberg do podpisu bardzo ważne dokumenty inwestycyjne. Tak.

— Dziękuję. Teraz moje pytanie. Proszę sobie dokładnie przypomnieć okoliczności obu wizyt. Widział pan pokojówkę. Otworzyła panu drzwi i przyniosła poczęstunek. Mówił mi pan to poprzednim razem. Czy był moment, w którym obie — pokojówka i pani domu — znajdowały się razem w pokoju?

Diabeł wcielony. Ale nawet jeśli Jordan powie nie to, co trzeba, czego to dowodzi? Nie widział jednocześnie obu kobiet w tym samym pokoju i co z tego?

Oczywiście powiedział nie to, co trzeba. Jasne. Matoł, nie pilnuje własnych interesów.

— Nie mógłbym przysiąc. Nie zastanawiałem się nad tym. Czy to ważne? Dlaczego? Nic nie rozumiem.

— Tak, to ważne. Proszę pomyśleć. Powiedział pan, że pokojówka podała do stołu. Czy panna Vandenberg była z panem w pokoju, kiedy ona weszła z tacą?

Po dłuższej chwili pan Jordan oświadczył:

— Nie wiem. Po prostu nie mam pojęcia. Pamiętam, że podczas jednej z wizyt, chyba za drugim razem, panna Vandenberg przeprosiła mnie na chwilę, bo musiała zmienić sobie opatrunek. Może pokojówka weszła właśnie pod jej nieobecność. — Potrząsnął głową. — Dalej nic nie rozumiem. Czy sugeruje pan?... Nie, to niemożliwe... — Utkwił spojrzenie

w twarzy Coral. — Nie przyglądałem się pokojówce, nie bardzo wiem, jak wyglądała. Schludna, drobna, cicha — to wszystko, co pamiętam. Nie zwracałem najmniejszej uwagi, czy jest w pokoju, czy jej nie ma.

— Rozumiem — rzekł Blake. — Dziękuję panu.

Jordan wszedł, a za nim Savage.

— Same dowody negatywne, Bill — rzekł komisarz. — Próbuje pan dowieść, że pokojówka i pani to jedna i ta sama osoba. Rozumiem. Bardzo to zagmatwane, ale połapałem się, na czym rzecz polega. Na razie jednak nie posunęliśmy się naprzód, prawda? Nie mamy w rękach żadnych dowodów pozytywnych.

— Mógłbym, zanim zjawi się następny świadek, przedstawić parę nowych argumentów. W związku z wcześniejszymi zeznaniami pana Jordana. Pan Jordan jest przekonany, że panna Vandenberg przekazywała czeku na pokaźne sumy swojemu lekarzowi, niejakiemu doktorowi Sufferansowi. Widział te czeku na własne oczy. Otóż twierdzę, że taki lekarz w ogóle nie istnieje. Bo i skądże? Kiedy Sara zawiadomiła wszystkich, że Coral jest obłożnie chora, Coral już nie żyła. Lekarz był fikcją, jeszcze jednym wytworem płodnej wyobraźni Sary, To Sara zdawała „sprawę ze stanu Coral Calvinowi Johnsonowi, Luke Bryantowi i, jak potem odkryłem, nauczycielom muzyki Coral. Tym pierwszym osobiście. Innym telefonicznie, z przekonywającymi szczegółami. Później sama Coral mogła zmienionym głosem rozmawiać przez telefon, a nawet podejmować Luke’a, otulona w szeroką suknię, obandażowana, zachrypnięta, z wysypką na twarzy. Cała sprawa przygotowana była po mistrzowsku. Świadczy o tym zręczność, z jaką wystrychnęła na dudka Johnsona i Bryanta. Zamydliła im oczy, grając na próżności i chciwości jednego i niepokoju drugiego. Jej zuchwałość zapewniła jej sukces. Sam pan widział, jakich cudów dokonuje peruka.

Oczy komisarza spoczęły na chwilę na Blake’u, po czym przeniosły się na kobietę. Przyglądał jej się uważnie, badawczo. Wrócił Savage, a za nim wszedł Calvin Johnson. Oczywiście. Wsunął się do pokoju, kościsty i niezdarny, jak zawsze.

Obrzucił ją roztargnionym spojrzeniem. Nagle poznał ją i spojrzał po raz drugi. Co za dureń, śmieszny, tępy dureń. Był bardzo użyteczny. Typ mężczyzny wymarzony dla Sary Hansen. Ale prawdziwy matoł. Poczowała lekkie bicie serca. Przypomniała sobie jednak o peruce. Miała ją teraz na głowie. Własną perukę, własne przepiękne rudozłote włosy. Jest panną Coral Vandenberg i Johnson ją zna.

— Kto to jest, panie Johnson? — spytał Blake.

— Jak to, panie inspektorze? To przecież jest panna Coral Vandenberg.

— Może pan to zeznać pod przysięgą?

— Oczywiście.

Coral roześmiała się.

— Dlaczego nie miałby na to przysiąc? — powiedziała słodko.

— Przecież to prawda.

— Prawda? — powtórzył Blake. Zbliżył się do niej, wyciągnął rękę i szybkim gestem zdjął jej z głowy perukę. — A teraz, panie Johnson? — zapytał.

Calvin Johnson wybałuszył oczy. Z początku na jego twarzy odmalowało się tylko kompletne osłupienie. Potem w ogłupiałym mózgu zaczęło coś powoli świtać. Kiedy siedział, jak sowa, gapiąc się na nią spoza okularów, nagle przypomniała sobie. Tam, w Sugar River, wysoki mężczyzna w starym samochodzie, który mignął jej na drodze do domu Fitzgeralda. Co robił Calvin Johnson w Sugar River? Szukał Sary. Na pewno. Sara niepotrzebnie kiedyś wspomniała przy nim Sugar River. Nie powinna była nigdy, za nic w świecie. Ale jak mógł to zapamiętać ten dureń, ten głupi, śmieszny strach na wróble? I po co go tam poniosło? Czy przywidziało mu się, że nie zidentyfikowane zwłoki w jeziorze mogą być zwłokami jego kochanej Sary? Kretyński pomysł, ale właśnie tylko idiocie mógł przyjść do głowy. A więc ta zabita dziewczyna... zamiast żeby ludzie łączyli ją z Kimem Fitzgeraldem, ta zabita dziewczyna mimo wszystko...

Johnson ocknął się. Powiedział niepewnie, pytająco:

— Sara? — I zwrócił się do Blake'a: — nie ma okularów. Sara zawsze nosiła okulary. Musiała, była bardzo krótkowzroczna,

tak jak ja. Ale... to przecież na pewno Sara. Co ona tu robi? Co to wszystko znaczy? Przedtem z tymi włosami wyglądała jak panna Vandenberg, ale teraz jest taka jak zawsze. Czy to Sara? Wróciła wreszcie? Czy wszystko jest w porządku? Zupełnie mi się pomieszało. Nic nie rozumiem.

— Nie jestem Sarą — powiedziała zimno Coral. — Jestem Coral Vandenberg i pan o tym świetnie wie.

— Tak też myślałem. Ale teraz widzę... To jest twarz panny Coral, ale to jest też twarz Sary. I panna Vandenberg nigdy tak się nie ubiera. I zawsze ma mocno umalowane usta, a Sara nie używa szminki. I nosi niskie obcasy... takie właśnie. — Nagle zdecydował się: — To jest Sara. Co ty wyprawiasz? Dlaczego podajesz się za pannę Vandenberg?

Bill powiedział łagodnie:

— Zaraz wszystko wyjaśnimy, Johnson, chwilę cierpliwości. Ale odpowie mi pan jeszcze na jedno pytanie. Był pan kilkakrotnie w apartamencie panny Vandenberg, kiedy Sara u niej pracowała. Czy począwszy od połowy maja widział pan choćby raz obie panie jednocześnie w tym samym pokoju?

Komisarz czekał. Obserwował twarz Johnsona. Jego odpowiedź będzie miała dla niego znaczenie. Nie, nie! Niczego przecież nie potwierdzi, znowu będzie to najwyżej dowód negatywny. Nic więcej. I nie znajdą nikogo innego, kto mógłby zidentyfikować Sarę Hansen.

Luke Bryant. Obaj — Bryant i Johnson — bardzo jej się przydali. Czasem potrzebny jest ktoś, kto powie co należy i zachowa się jak należy.

Zrobiło jej się zimno. Jeśli nie pozwolą jej włożyć peruki... Luke powie... Luke też rozpozna w niej Sarę. Nie, nie będzie o tym myśleć. To niemożliwe. Nie dopuści do tego. Coś już wykombinuje. Zawsze umiała coś wykombinować, znaleźć wyjście z sytuacji.

Johnson nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

— Nie, razem ich nie widziałem. Sara otwierała mi drzwi, po czym szła zawiadomić pannę Vandenberg, a ja czekałem w saloniku. I naturalnie nie była obecna podczas naszej rozmowy. A panna Vandenberg jest bardzo uprzejma i odprowadzała

mnie zawsze sama do drzwi.

— Więc jest pan całkiem pewien, że nie widział ich pan nigdy obu naraz?

— Nie przysięgnę na to. Sara mogła mignąć mi w hallu, kiedy rozmawiałem z panną Vandenberg. Ale wiem, że nigdy nie były jednocześnie w tym samym pokoju. Tego jestem pewien.

— Jakie to ma znaczenie, inspektorze? — spytała chłodno Coral. — Do niczego to jakoś nie prowadzi. Całe wczorajsze przesłuchanie i cała ta dzisiejsza heca. Zaczyna mnie to męczyć. Nic z tego nie będzie, to jasne jak słońce. Nigdy nie znajdzie pan nikogo, kto stwierdzi, że nie jestem panną Coral Vandenberg, choćby się pan nie wiem jak starał.

— Wkrótce przyjdzie tu z Edmonton pewien prawnik. Egzekutor testamentu Corneliusa Vandenberg. Znał Coral Vandenberg. Wielokrotnie z nią rozmawiał. Czy wie pani, na jakie tematy? Zna go pani? Przecież zdaje sobie pani sprawę, że na zachodzie jest sporo ludzi, którzy stykali się z Coral Vandenberg. Miała pani zamiar jechać do Anglii. Nawet wystąpiła pani o paszport. Bardzo słusznie, należało wyjechać, i to możliwie daleko. Ale za długo pani zwlekała. Cóż, nie spodziewała się pani, że trzeba będzie zabić Alvina Hooda. A nie mogła pani za wcześnie wyzdrowieć po tak silnym ataku alergii. Mogło się to komuś wydać podejrzanę, prawda?

Wszyscy jej się teraz przyglądali, obserwowali ją, patrzyli na nią: komisarz, Blake, Savage, zbaraniały Calvin Johnson. Na nią! Jak na dzikie zwierzę w klatce, za obejrzenie którego ludzie płacą i patrzą, patrzą. W klatce. Musi zachować spokój, musi się opanować, nie wolno jej się teraz odezwać. Ani słowem. Musi pomyśleć. Na pewno wymyśli coś, co ją uratuje, wszystko jedno co...

Zapukano do drzwi i wszedł młody policjant, a za nim dwoje ludzi. Policjant odsunął się na bok.

Dziewczyna i Kimball Fitzgerald:

Dziewczyna? Tak, to Melissa Starr! Więc jednak...

Coral utkwiała w niej wzrok. Co Blake powiedział wczoraj w jej sypialni? Wtedy nie uświadamiała sobie znaczenia jego słów, nie słuchała właściwie. Nie zwróciła uwagi na to, co mówił,

rozważała tylko, jak się go pozbyć. „Nie, wcale się nie udało, pomieszałem ci szyki”. Tak właśnie powiedział.

I oto jest ta dziewczyna — żadnego znaku, żadnej skazy. Widzi, nie jest ślepa, puszyste, nie spalone włosy, cera jak płatki białych róż i oczy jak woda w jeziorze.

Przejęło ją drżenie, którego nie zdołała opanować. Wkradł się tu jakiś błąd. Patrzyła na dziewczynę i trzęsła się z wściekłości. A potem spojrzała na Kimballa Fitzgeralda i musiała mocno przycisnąć dłonią usta. Upłynęło tyle czasu, tyle czasu i jak on na nią patrzy... Oskarżająco, twardo, zimno... jakby nigdy, jakby ona wcale... Oboje przyglądali się jej jak dzikiemu zwierzęciu w klatce. Co oni sobie myślą? Ze jest dzikim zwierzęciem wystawionym na pokaz?

Wstała z krzesła.

— Nie zostanę tu dłużej. Chcę iść do domu, do mojego hotelu. Mam prawo iść do domu. Powtarza pan uporczywie rzeczy, których nie może pan dowieść, torturuje mnie pan, chce wymusić zeznania, wmawia mi pan, że jestem kim innym. Nic to panu nie da. Rozumie pan? Jestem Coral Vandenberg, może pan sprowadzić z zachodu tyle ludzi, ile pan chce, wszyscy potwierdzą, że jestem Coral Vandenberg, muszą to potwierdzić,

Blake zwrócił się z niemym zapytaniem w stronę nowo przybyłych.

Kim Fitzgerald powiedział głuchym głosem:

— To jest Weronika Vandenberg, nie mam żadnej wątpliwości. Doktor Marsh też ją zidentyfikuje. Przyniesie mu to ulgę. Nigdy nie miał spokojnego sumienia że osadzono ją w Woods' Crossing. Bał się jej. Tak jak i ja się boję i zawsze będę się bał, wiedząc, że ona żyje. Będę się bał o Melissę. — Objął żonę ramieniem. — Inspektorze, jakie to szczęście, że pan wziął sprawę w swoje ręce.

W pokoju było cicho. Wreszcie komisarz powiedział powoli:

— Ta kobieta została zidentyfikowana po kolei jako każda z trzech kobiet zamieszanych w tę skomplikowaną aferę. Jako Sara Hansen, Weronika Vandenberg i Coral Vandenberg. Jeśli istotnie potrafiła uchodzić za wszystkie trzy, musi być bardzo zdolna. Bardzo zuchwała, sprytna i wyjątkowo zdolna.

Czuła, jak narasta w niej wściekłość, wypełnia ją, dusi niemal. Powiedziała z pasją:

— To nieprawda. Jestem zdolna, bardzo zdolna, ale nie udawałam tamtych kobiet, jestem tylko sobą, Coral Vandenberg i moje są te wszystkie pieniądze, słyszycie? Nie zabiłam Alvina Hooda, Kim Fitzgerald zabił Alvina Hooda. Kim Fitzgerald żył z tamtą dziewczyną, a jak zaszła w ciążę, zawiózł ją do Sugar River i zamordował, żeby ożenić się z tą kretynką. Dlaczego pan się tym nie zajmie, inspektorze? Tak przecież było! Jak można być tak ślepy! Hood go szantażował, więc Kim go zabił, musiał go zabić, zawsze się tak załatwia szantażystę, bo inaczej nie można się od niego uwolnić... — Zacisnęła pięści, zachłystywała się potokiem słów. — Popatrzcie na niego. Stoi tu dumny jak paw, gardzi zwykłymi ludźmi, na wszystkich patrzy z góry. On i jego matka... nikt nie był dla nich dosyć dobry... Ale to on nie jest dobry! — krzyknęła prosto w twarz Melissie. — Co teraz o nim myślisz, kiedy już wiesz, co zrobił? Zafundował dziecko innej i zabił ją, żeby się z tobą ożenić! Ładnie, co? Dlaczego nie zrzucisz jego ramienia i nie uciekniesz? Chcesz żyć z takim człowiekiem? Chcesz? Chcesz? Chcesz?

Inspektor Blake powiedział spokojnym głosem:

— On i jego matka... Nikt nie był dla nich dosyć dobry... No i cóż, panie komisarzu?

— Tak — rzekł komisarz. — Tak, oczywiście. Proszę ją odprowadzić, Blake.

Blake skierował się w jej stronę. Czuła, że ma oczy pełne łez, nic nie widziała przez łzy. Duże okno, a za nim...

Ale obok niej znalazł się już Savage. Ujął ją za przeguby rąk. Miał palce jak ze stali. I kiedy usiłowała się wyrwać, zamieniły się w prawdziwą stał. Założył jej kajdanki. Kajdanki? Na rękach Coral Vandenberg?

Rozejrzała się dziko wokół siebie. Ta dziewczyna ciągle na nią patrzy i w jej oczach maluje się litość.

Litość?

Weronika Vandenberg pomyślała nagle, że nikt jeszcze nie patrzył na nią z litością. Nigdy. Krzyknęła.

— Każ im mnie puścić! Ja nie zniosę zamknięcia, nie mogę być zamknięta! Och, każ mnie puścić, wytłumacz im, powiedz im! Nie mogę tego znieść, nie mogę!

Melissa poruszyła się bezradnie. Spojrzała na komisarza i szepnęła:

— Ona też przeżywa koszmar. Żyje w koszmarze od bardzo, bardzo dawna.

Odpowiedział jej Bill Blake. Od jego słów powiało grozą.

— I nie może się z niego obudzić, Melisso. Rozumiesz? Już nigdy się z niego nie ocknie.



«Wiadomość o morderstwie podana, została przez wszystkie rozgłośnie radiowe, a dziś rano nawet w dzienniku telewizyjnym. Nie,—ani słowa o mordercy — jeszcze nie. Tylko informacja o znalezieniu w zamkniętym pokoju podrzędnego hoteliku — starego hotelu „Meridian” w północnym Toronto — zwłok mężczyzny z pięcioma ranami zadanyymi nożem w plecy.

Zbrodnia w afekcie — napisał jeden z reporterów; bo nie trzeba aż pięć razy ugodzić człowieka nożem, żeby go zabić. (...) Kto chciałby zabić Alvina Hooda?»

Wobec takiego pytania staje policja Toronto, wobec takiego pytania staje piękna, młoda Melissa Fitzgerald, dla której znalezienie na nie odpowiedzi staje się sprawą życia i śmierci.

Cena zł 20.—

